

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/476

1987



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

R. KOSTRZEWA:

**AMERYKAŃSKA POLITYKA ZAGRANICZNA NA
ROZDROŻU-ROZMOWA Z IRVINGIEM KRISTOLEM**

J. W. GADOMSKI: **MODLITEWNIK GASZTOŁDA**

K. GAWLIKOWSKI: **STUDENCI A PRZYSZŁOŚĆ
CHIŃSKIEJ REFORMY**

M. DANILEWICZ ZIELIŃSKA:

GORZKIE ŻALE PRZYBYWAJCIE...

SPIS RZECZY

Józef Szrett:	<i>Drzwi zamknięte</i>	3
Józef Wojciech Gadowski:	<i>Modlitevník Gasztolda</i>	19

ARCHIWUM POLITYCZNE

Krzysztof Gawlikowski:	<i>Studenci a przyszłość chińskiej reformy</i>	31
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	41
Janusz Mondry:	<i>Pięć lat „Porando Geppo” w Tokio</i> ..	50

WYWIADY „KULTURY”

Robert Kostrzewa:	<i>Amerykańska polityka zagraniczna na rozdrożu (Rozmowa z Irvingiem Kristolem)</i>	52
Ewa Berberysz:	<i>Rozmowa z Bogdanem Borusewiczem</i>	66

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	79
-------------------	-------------------------------------	----

K R A J

Witold Chałcamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	85
Tomasz Łomża:	<i>Polska telewizja a zgoda narodowa</i> ..	90

SĄSIEDZI

T. Maćkiw:	<i>Problem ukraińskiej państwowości w publicystyce polskiej</i>	93
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	99
Andrzej J. Chylecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	105

KRONIKA KULTURALNA

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Gorzkie żale przybywajcie...</i>	111
-----------------------------	---	-----

K S I A Ż K I

Mikołaj Ruskowski:	<i>Nowości literatury krajowej</i>	129
Janina Katz-Hewetson:	<i>„Ja jestem drobiazgowym realistą...”</i>	142
Kamila Chylińska:	<i>Ludzkie uczucia w piekle</i>	146
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	149



—	<i>Wydarzenia miesiąca i kronika szwedz- ka</i>	151
Redakcja Kultury:	<i>35-lecie Rozgłośni Polskiej Radia Wol- na Europa</i>	156



M. Chojecki, M. Chlebowicz, Cz. Miłosz, M. Sas-Sko- wroński, Z. E. Wałaszew- ski:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1987

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Hanna Cwynar, Nottingham (Wielka Brytania) — dla uczczenia pamięci śp. płk. pil. Stanisława Cwynara, w 5-tą rocznicę Jego śmierci — £ 50,00	F. 475,00
Kamila i Jan Halpernowie — dla uczczenia pamięci przyjaciela, Stefana Strelcyna, w 6-tą rocznicę Jego śmierci	F. 400,00
Jacek Hejnar, St. Hubert, Qué. (Kanada)	F. 160,00
Dr J. Jędruch, Summit, N.J. (USA), po raz 12-ty. — \$ 20,00	F. 120,00
Leszek Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 8-my	F. 560,00
(ten dar został przekazany w ub. roku i przez niedopatrzenie nie odnotowany w Kulturze, za co Ofiarodawcę przepraszamy).	
Maryla, Andrzej i Siuna — zamiast kwiatów na grób Janiny Piaseckiej, zmarłej 6 marca br. w Kopenhadze (nadesłała M. Hansen)	F. 88,30
Zbigniew Okołowicz, Millbrook, N.Y. (USA) — \$ 20,00	F. 120,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 20-ty — \$ 100,00	F. 600,00
Wanda Trzos, Etobicoke, Ont. (Kanada), po raz 9-ty	F. 156,00
Płk Jan Woźniak, Londyn, po raz 23-ci — £ 20,00	F. 190,00
W szóstą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna, dla uczczenia Jego pamięci — żona i syn z rodziną (Manchester-Londyn) — £ 30,00	F. 285,00
W szóstą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna — syn, synowa i wnuczka z Paryża	F. 150,00
Adela i Władysław Żelęnsy, Paryż — zamiast kwiatów na grób Stefana Benedykta	F. 200,00
Bezimiennie, Sarnia, Ont. (Kanada) — \$ c. 25,00	F. 112,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

A.A., NYC — \$ 30,00; E.E., NYC — \$ 15,00; Małgorzata i Paweł Nassalscy — \$ 25,00 — razem: \$ 70,00	F. 410,00
Jadwiga Buko-Szreder z RFN — DM 10,00	F. 33,00
Ewa F. i Marian Małolepszy, Rancho Palos Verdes, CA (USA) — sumę przekazaną przez ich gości, Stanisławę Szymańską, Jolantę Widuch, Izabellę Wardas i Gabrielę Małolepszą — \$ 110,00	F. 650,00
Grupa „Przyjaciół Solidarności” (Friends of Solidarity) w Kitchener, Ontario — sumę uzyskaną ze składek członków Grupy, przesyłają na działalność podziemnych struktur NSZZ „Solidarność” (nadesłali T. Durlak i Teresa Gromek) — \$ c. 1.000,00	F. 4.500,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity), Winnipeg, Man. (Kanada): na „Solidarność” — \$ c. 200,00 i na „Solidarność Walczącą” — \$ c. 200,00 — razem: \$ c. 400,00 (nadesłała Anna Howiecka)	F. 1.800,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Drzwi zamknięte

Tytuł jest oczywiście zapożyczony od nieboszczyka Sartre'a. Sytuacja wykazuje jednak istotne podobieństwa: siedzimy naprzeciw siebie, nie możemy wyjść, nie możemy się wzajem polubić, nie potrafimy się porozumieć, a wreszcie i wymordować się nawzajem nie sposób. Gapimy się więc — zafrasowani niemożnością. Piekło w karykaturze.

Ale piekło to jest socjalistyczne, więc nie funkcjonuje tak, jakby funkcjonowało, gdyby je organizowali sumienni, kapitalistyczni dajmy na to Niemcy. Drzwi są zamknięte, ale niezupełnie, można by powiedzieć — niedomknięte. Niepotrzebne jest wstawianictwo w zaświatach („Zaświaty to my” — zdają się mówić ci z naprzeciwka), niepotrzebne porywanie samolotów — to sztuczka dla gówniarzy nafaszerowanych telewizją, tą najgorszą sprawczynią zatrucia ekologii społecznej naszych czasów.

Więc i owszem: nie tyle wyjść, co wymknąć da się bez nadmiernych trudności. Być gdzieś tam *Gastarbeiter*'em, być mniejszością u obcych. To też dla gówniarzy. Proszę zresztą zauważyć, że wyciekają stąd ludzie w większości mało wartościowi, ci, którzy cokolwiek reprezentują, czynią to z rozmysłem i wówczas, gdy już nic innego nie pozostaje do zrobienia.

Więc piekło i nie-piekło zarazem, taki może raczej czyścić, po którym *nota bene* nic nie czeka: ani awans, ani strącenie głębiej. Tak można scharakteryzować sytuację PRL w początkach roku 1987, ogród botaniczny WRON-ów i PRON-ów, do których dołączono ostatnio i SRAK-ę (Społeczna Rada Konsultacyjna). Więć co: mamy tak siedzieć zafrasowani i zagapieni?

W ostatnim półroczu 1986 reżim Jaruzelskiego uprawiał swoją gimnastykę na drążku w dziedzinie polityki wewnętrznej.

Była wyraźna liberalizacja, manifestująca się przede wszystkim wypuszczeniem z więzień politycznych. Ale można ją było obserwować w rozmaitych zakresach, nawet w cenzurowaniu tekstów w *Tygodniku Powszechnym*: przechodziło więcej niż mogło przejść dotychczas. Jednakże we wszystkich tych posunięciach wyczuwa się coś pozorowego lub pozorowanego. Czerdziestolecie przeżyte w PRL nauczyło podejrzliwości, ale chyba nie jest ona w tym przypadku nieuzasadniona. Z jednej strony reżim dąży — w sekwencji gestów — do wywołania wrażenia, że sam i nieprzymuszony dąży do liberalizacji wewnętrznych stosunków w kraju. To na wynos, aby mieć lepsze dojście do Zachodu i jego walutowych zasobów. A na wewnątrz — takie to trochę jakby mizdrzenie się, gdy ekipa świadoma jest powszechnej do siebie niechęci i stara się ją przewalczyć pewną ilością umizgów i prezentów. Nie z miłości oczywiście, lecz ze strachu. Bowiem w tej krainie pozoru, jaką jest PRL, realny naprawdę jest tylko strach. Strach rządzących przed rządzonymi i *vice versa*.

Ekipa Jaruzelskiego jest zdecydowanie inteligentniejsza od ekip poprzednich — to tylko za Bieruta byli na czubku ludzkie równie sprytni i doświadczeni, a w każdym razie nie ma porównania z półinteligencją ekipy gomułkowskiej i tanim gangsteryzmem gierkowskiej. Nie oznacza to oczywiście, że ekipa obecna składa się z samych orłów — wręcz przeciwnie: wróbbi w niej nadal sporo i takie zupacko-koszarowe obciążenie myślenia, w związku z czym działaniom nie przyświeca ani konsekwencja, a czasami wręcz i logika staje na głowie. Niemniej średnia przeciętna znacznie wzrosła i z tym należy się liczyć przy rozważaniu zaistniałej sytuacji.

Otóż dzięki podwyższonej „średniej przeciętnej” obecna ekipa udoskonalila jeden z oręży działania: grę pozorów. Oczywiście samą zasadę wymyślili jeszcze Lenin i Trocki wspólnie z innymi twórcami (ale czy można tworzyć niszczenie?) rewolucji bolszewickiej. Czynieć użytek z działania pozorowanego, nazywać górnolotnie coś, czego nie ma albo co istnieje w karykaturalnym przeciwieństwie, budować rzeczywistość z fikcji — oto główne metody działania taktyki pozorów. W jakim stopniu amnestia należy do repertuaru pozorów — zobaczmy. Nieznaczna liberalizacja cenzury jest z całą pewnością zjawiskiem przejściowym. Trzecia wizyta papieża będzie kupiona i sprzedana, jako wielka impreza przeciwko zbrojeniom... amerykańskim. Urban powiedział to wyraźnie i Watykan powinien z tej enuncjacji wyciągnąć wnioski. Drobnym ale znamienym przejawem z ogrodu „so-cjalistycznych” pozorów jest wspomniana już SRAK-a. Zajmijmy się nią przez moment.

Materializm, nie bardzo radzący sobie z materialistyczną egzegezą świata zjawisk (a już szczególnie społecznych), zastępuje

w praktyce brak naukowo sprawdzalnych rezultatów tworzeniem pozorowanych faktów „materialnych”, a więc do ulubionych czynności poszczególnych reżimów („ze Związkiem Radzieckim na czele”) należy powoływanie do pozornej egzystencji „ciał” stanowiących materię pozorną. A więc cała ontologiczna strona zjawiska należy do sfery metapsychicznej raczej niż społecznej. SRAK-a to takie właśnie klasyczne ciało, które ma zastąpić całkowicie skompromitowane już dotychczasowe działanie pozorowe, określone górnolotnie „konsultacjami społecznymi”. Ponieważ nikt nigdy nie wiedział w jaki sposób, gdzie, kiedy i przez kogo (chyba że przez ZOMO) społeczeństwo jest konsultowane, powołano więc grono ludzi „z nazwiskami”. Przy okazji pieczono jakby pieczeń porozumienia narodowego — jeszcze jedno z owych działań pozornych.

Ekipa obecna niestety (czy może właśnie „stety”) nie potrafi się zdobyć ani na dziebko szczerości, ani na konsekwencję, w wyniku czego ani o porozumieniu nie może być mowy, ani o wiarygodności nowego „ciała”, zwłaszcza, że nie ma żadnych uprawnień i jak się zdaje będzie tylko SRAK-ą paradną. Na początku w ogóle chciano ją zmontować przy pomocy nestorów kolaboracji polskiej spod znaku Suchodolskiego i Dobraczyńskiego. Prowadził w tej materii rozmowy z rozmaitymi kandydatami tow. Barcikowski, którego inteligencja, jak się zdaje, jest jednak zbyt sławiona — to tylko skamielina dawnej epoki, mechanik niedotrzymanych porozumień, sprytniejszy od drugiego mechanika — Jagielskiego, który od tamtych czasów zdążył bez reszty pograć się w mroku łaskawego zapomnienia¹. Otóż na zadane mu, niewątpliwie nietaktowne pytanie, dlaczego to nowe ciało ma się dublować z dotychczasowym PRON-em, Barcikowski się zacukał i tylko tyle umiał wydukać, że „do tych ludzi partia ma zaufanie”. Obracanie stale tym samym garniturem politycznych rupieci świadczy doskonale o tym, jak wielu PZPR posiada „zaufanych”.

Ostatecznie do SRAK-i weszli ludzie rozmaici, z grupą profesorów o „dobrych nazwiskach”, ale są oni maleńką częścią całości, w której zgromadzono PRON-owców, PAX-owców i innych „katolików instrumentalnych”, pseudosolidarnościowców z do reszty ogłupiałym Kułajem i do reszty ujawnionymi Zawadą i Sienkiewiczem, a poza tym dopchano własnych funkcjonariuszy. Charakterystyczne, że po wstępnych rozmowach odpadli kandydaci z grona katolików wiarygodnych: Turowicz, Stomma, Wiewiórowski i na placu boju pozostał tylko Święcicki z warszaw-

1. Jest to jednak postęp niezwykle od czasów, gdy tych, co popadli w niełaskę, po prostu likwidowało się fizycznie. Teraz wystarcza likwidacja publiczna.

skiego KIK-u, który go zresztą za tę decyzję pozbawił prezesury. Ale *casus* Świąteczkiego, któremu Pan Bóg osobiście kazał podjąć się „misji”, wykracza poza rozważania polityczne, należy bowiem do zjawisk transcendentnych. Inny przypadek to obecność w nowym „ciele” mecenasa Siły-Nowickiego, tak zasłużonego niegdyś obrońcy w procesach politycznych, którego też więziono w czasach stalinizmu (ponoć wyratowało go wówczas dalekie pokrewieństwo z Dzierżyńskim). Był też ten prawnik doradcą „Solidarności” i swego czasu jaruzelczycy rozwalali specjalnie Radę Adwokacką, by go z sądownictwa wyślizgać. Teraz coś starszemu panu jak gdyby „odbiło” — nieprzyjemnym zgrzytem była nie tak dawna podróż do USA, gdzie mecenas Siła-Nowicki wychwalał praworządność PRL. Teraz wypłynął obok Kułaja i Zawady. To przykre, ale chyba niczego innego nie da się do diałozno wprowadzić, jak tylko to słowo: skleroza.

Podstawowe pytanie brzmi: co robią w tym towarzystwie profesorowie o „dobrych nazwiskach”? Zamiast szukać wyjaśnienia, wystarczy przytoczyć (niedyskretnie) prywatną wypowiedź jednego z nich: „Ja wiem, że ta cała Rada nic nie załatwi, niczego pozytywnego nie przeprowadzi, będzie instytucją fasadową, ale ja poprzez uczestnictwo w niej mam nadzieję załatwić kilka spraw dla mojej uczelni”. Ta wypowiedź jest dostatecznie cyniczna i zarazem w tej cyniczności... uczciwa, by nie musieć sobie dalej łamać głowy. Warto jedynie zwrócić uwagę na określenie „moja uczelnia”. Specyfika patriotyzmu a nawet egoizmu instytucjonalnego to temat do podjęcia. Może ktoś zechciałby na to spojrzeć o strony psychologii społecznej, rzecz bowiem jest o wiele szersza — dotyczy bardzo wielu instytucji: zakładów pracy, biur, instytutów itd.

Ostatecznie obecność profesorów o „dobrych nazwiskach” w SRACe można skwitować jako objaw pewnego rodzaju bebueryzacji² współczesnych Polaków z „wyższych sfer” (dziś bowiem rolę tę pełnią intelektualisci). Ciekawe, że owe „wyższe sfery” były zawsze bardziej gotowe do wszelkiej współpracy z rządzącymi, jakiegokolwiek byli oni maści i narodowości. Ale samo zjawisko jest tylko czapką znacznie szerszego, któremu na imię: milcząca kolaboracja. Do sprawy tej przyjdzie jeszcze powrócić.

Tak więc u progu 1987 roku mamy nadal w PRL sytuację patową: teatr pozorów, pomimo doskonalenia metod, nie przestaje być teatrem i widzowie doskonale wiedzą, że widzą i słyszą aktorów, a nie — że obserwują rzeczywistość. Ani ekipa, ani naród

2. Warto przypomnieć młodszym, że BBWR — Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem — był tworem sanacyjnym z późnych lat trzydziestych. Była to próba, podjęta pod dowództwem płk. Adama Koca, by doprowadzić do szerokiej kolaboracji z tamtą, o ileż uczciwszą ekipą rządzącą.

nie mają w tej chwili przed sobą żadnego sensownego ruchu. Jednocześnie trwanie w bezruchu jest, jak wiadomo, dla społeczeństwa stanem zabójczym. Ale jest niemniej zabójczym dla rządzących, choć oni, nie zdając sobie z tego sprawy, dążą do petryfikacji społeczeństwa w karbach totalitarnego państwa. A więc: co dalej szary (a także: czerwony) człowieku?

Pat ekonomiczny jest w sytuacji PRL elementem podstawowym, ale zarazem jedyną drogą wyjścia z pata przynajmniej na etapie sytuacji obecnej. Wojna zbrojeniowa, prowadzona przez USA w kadencji Ronalda Reagana — a nie omamiamy się: to jest wojna, tyle że bez frontów i masowych rzezi — pomyślana jest przez stronę amerykańską nie jako czynnik agresji terytorialnej, ale walki o prymat we współczesnym świecie. Amerykanom agresja nie jest potrzebna: to chyba pierwszy kraj naszego świata, gdzie zrozumiano, że nie rozległość terytorialna i miliony zniewolonych innych narodów, ale zdynamizowanie ekonomiczne własnego kraju i ekonomiczne uzależnienie państw słabszych, zachowujących (to też gra pozorów) jakąś niezależność, prymat ten gwarantuje. Tak więc obecna wojna amerykańska nie jest też w pełni wojną obronną. Istnieje oczywiście dla USA problem militarnego zagrożenia, bowiem zjawiskiem odwiecznym jest apetyt na cudze, taki sam w wymiarze zbiorowym, jak indywidualnym. W chwili obecnej należy jednak przypuszczać, że najgroźniejszy rywal, ZSSR, nie jest w stanie pierwszy nacisnąć guzika (synonim starożytnego: pociągnąć za cyngiel).

Ta wojna jest wojną przede wszystkim dlatego, że Amerykanie, wykorzystując czynnik strachu, ten podstawowy czynnik polityki ZSSR, wzmagając własne zbrojenia, wciągają kontrmocarstwo w wyścig zbrojeń, który ono — zważywszy niedorozwój gospodarczy i techniczne zacofanie — musi przegrać. Nie na darmo USA prowadzi od lat charakterystyczny drenaż w międzynarodowych kręgach naukowców. „Świat się podbija głową — głową — głową!” replikował przed wielu laty Słonimski Majakowskiemu z jego „Lewą marsz”.

My stoimy na marginesie wielkiej kampanii zbrojeniowej, którą prowadzi od lat, a w kadencji reaganowskiej musiał znacznie zintensyfikować Pakt zwany (o wstydzie!) Warszawskim, co właściwie powinien zwać się Sowieckim, ponieważ zatrudnia w tej „wojnie” wszystkie lenne narody. Ale dla nas nasze sprawy marginesem nie są, są tą wystaną w kolejkach koszulą na zgarbionych od wysiłku plecach. W PRL nieustannie dyskutuje się i wygrywa... propagandowo (i to z obu stron: rządu oraz opozycji) kryzys ekonomiczny. Szuka się dróg, które żadnymi drogami nie są, tylko argumentami w polemice lub narzędziem w osiągnięciu doraźnych celów politycznych (a nie gospodarczych). Tylko wyjątkowo słyszy się przy okazji tych swarów coś, co

wykraczałoby poza dopuszczony sektor rozważań: gospodarka produkcyjna cywilna, rolnictwo, handel (oczywiście ten wewnętrzny krajowy). W rzeczywistości niemożność wyjścia PRL z bezdenności ekonomicznego regresu polega na przeciążeniu naszego kraju świadczeniami na rzecz sowieckiego zbrojenia się. Wojna zbrojeniowa jest, jak zaznaczono, wojną bez frontu i trupów. To przeżośń. Trup ściele się gęsto, ale też metaforycznie: niewidzialne pole walki usłane jest trupami ekonomii państw wasalnych ZSSR.

Nikt, poza najwyżej wtajemniczonymi, nie wie naprawdę jaki procent budżetu idzie na owe zbrojenia — jedno jest pewne: ogromny. To dla tego celu zaśmiecano nas nieopłacalnym (bowiem nie popartym własnymi złożami rud) hutnictwem, to na ten cel pracują ogromne kombinaty, ulokowane w niegdyśniejszym COP-ie (Stalowa Wola, Mielec, Ostrowiec Świętokrzyski, Rzeszów i in.), który „zła” sanacja stworzyła dla ratowania gospodarki krajowej. Teraz są to gigantyczne ssawki sowieckiej ośmiornicy. Proszę zresztą pomyśleć, jaka stąd płynie korzyść dla ZSSR: doją wasali ile się da, a przy okazji rzucają na kolana odwiecznych polskich *miatieżników*.

Nie jesteśmy wcale biedni, bo mamy za mało surowców i za mało uprzemysłowienia. Mamy znakomity surowiec: urodzajną ziemię, eksploatowaną rabunkowo węgiel, mamy miedź, siarkę i wiele innych cennych ziemskich wnętrności. Nie jesteśmy też biedni, bowiem nie umiemy pracować, skoro pracować potrafimy wytrwale i wydajnie. Oczywiście bezwład polskiej gospodarki wynika z niedorozwoju gospodarczego samego systemu, ale także i dlatego, że obarczeni jesteśmy ogromnymi świadczeniami wojennymi. W kraju, gdzie bez znajomości kupić nie można uszczelki i łożyska, produkuje się wspaniałe samoloty, doskonałe czołgi i inne narzędzia mordowania.

Raz jeszcze wypadnie powtórzyć: jesteśmy na marginesie świata. Obok państw rozwiniętych i rozwijających się, powstała — z łaski realnego socjalizmu — kategoria trzecia: państw wtórnie niedorozwiniętych. Więc jesteśmy na marginesie tego zbiorowego niedorozwinięcia. Ale my ten margines widzieć musimy jako pępek, każdy bowiem obserwuje pępek świata tam, gdzie mu życie wypadło. I nie jest to takie w naszym przypadku megalomańskie, bowiem nasz margines umiejscowiony jest na styku, na bardzo zapalnym styku przeciwstawnych postaw i interesów. I zapominać nie wolno, że owa reaganowska wojna bez frontów i zabitych może w rezultacie doprowadzić kandydata do ekonomicznej śmierci. Z jednej strony robione to jest z pełną świadomością i nawet zadowoleniem, z drugiej — z obojętnością (Amerykanie bowiem wpędzają nas przez wojnę zbrojeniową nie

tylko w gospodarczy dołek, ale ponadto drenują, obficie wylaniając co zdolniejszych specjalistów).

A także zapominać nie należy, że im głośniejsze rozlega się wrzask propagandy o niemieckim militarystycznym, tym bardziej służy on do zaśmiania innego militarystycznego — sowieckiego. I wykształciło się w tej materii tabu szczególne: nawet prasa podziemna rzadko porusza temat naszych militarystycznych świadczeń dla Paktu Warszawsko-Sowieckiego. Tak jakbyśmy się nadal cenzurowali wewnętrznie. Tak jakbyśmy uwierzyli, że wolno i trzeba walczyć o wolność, ale międzynarodowe umowy i pakt są święte i nieetykalne.

W chwili obecnej polemiki gospodarcze robią wrażenie nieco infantylnych zabaw towarzyskich. Piszący te słowa ekonomista nie jest, ale jak wszyscy współcześni Polacy — sprawą interesuje się, tym bardziej, im gorszy wybór towarów w sklepach. Niemniej piszący te słowa nie podziela ani opinii post-socjałów, że wybawić nas mogą rady robotnicze (zakładowe), ani opinii post-endeków, że uratują nas prywatne bułeczki, ani opinii eksliberałów, że wszystkiemu winna centralizacja i brak wolnej konkurencji. Tyle że własnej opinii nie ma, bowiem w odróżnieniu od reszty rodaków nie uważa się za proroka i wszechwiedzącego superspeca. Jest po prostu przygnębiony i spogląda na to wszystko, jak na opustoszałą szachownicę, na której do wykonania pozostał jeden jedyny ruch: przewrócić do góry nogami to kratkowane pudełko.

W społecznej polityce także pat. Reżim ma tu z pewnością większe sukcesy niż na niwie gospodarczej, na której stoi bezradnie w otoczeniu ukazów i przykazałów. Nie przeceniajmy go, ale i nie bagatelizujmy. Sukces reżimu polega przede wszystkim na dwóch czynnikach: na erozji „Solidarności” jako ruchu masowego i na kuszeniu maciupcią stabilizacją.

Společne poruszenia, zbiorowe wstrząsy nie powstają prawie nigdy z czysto ideowych przesłanek. Te doszukiwuje się zazwyczaj do zaistniałych, lub przygotowuje dla potencjalnych tąpnięć wynikających z sytuacji bytowej nie zadowalającej społeczeństwa lub zadowalającej tylko jakąś jego część. Zdobądźmy się na odrobinę zdrowego cynizmu: nasze dzieje, umorusane krwią bohaterską wolnościowych zrywów, są przykładem niezdarnego rzućcia hasła w społeczeństwo nieprzygotowane do walki o swe prawa. Pewne szanse istniały w dobie powstania listopadowego, w gruncie rzeczy niewielkie jednak; w przeddzień styczniowego i podczas jego trwania były wręcz anty-szanse: wieś dźwigała się powoli z nędzy, oczekując w Królestwie uwłaszczenia a nie wojny, burżuazja bogaciła się, zabkujący proletariatus zajęty był własnymi sprawami. Buntowała się młodzież inteligencka, uboższa szlachta była reprezentowana najliczniej, poza

tym już tylko trochę rzemieślników i zupełna garstka chłopów. Ile tego było? Proszę wybaczyć tę gorzką statystykę: w powstaniu wzięło udział około 1 % ludności rzeszonego Królestwa Polskiego. *No comments.*

W rewolucji lat 1905-1907 nie wiadomo, jak wielu wzięło czynny udział. Można tylko przypuszczać, że już nie o procent chodziło, ale o promil, była to bowiem rewolucja przedwczesna, skierowana przeciwko krzepnącemu mieszczaństwu, walczącemu o swe *status quo* ziemiaństwu i nawet przeciw chłopom zachłystniętym własnością ziemi. Była to zresztą rewolucja przede wszystkim przeciwko pozytywizmowi, a pozytywizm miłowali liczni, jakże wówczas i później liczni przedstawiciele ówczesnej stabilizacji.

W początku roku 1987 ekipa Jaruzelskiego dała społeczeństwu maksimum tego, co dać mogła. Nie jest to próba jej wychwalania (choć szacunek wobec przeciwnika to podstawowa rękojmia wygranej) ani żart. Nie należy więc wybuchać śmiechem: czyżby to gównu miało być maksimum, przeznaczonym dla polskich „prołów”? Ale cóż innego, poza gównem, ekipa ta posiada? Proszę spojrzeć na sprawę z jej punktu widzenia: trzeba przecież zabezpieczyć przywileje swoich i tych, których wzięto na służbę (ZOMO i inne służby specjalne, a także wojsko). W ramach tego, co Urban określił jako samoistne „wyżywianie się rządu”, topnieje bardzo szybko większość krajowej produkcji i wszelakiego zysku. Na „prołów” zostaje bardzo mało. Niemniej wydaje się, że wprowadzono pewne ograniczenia w tym „wyżywianiu się”, że trochę na gorze zaciśnięto pasa i że na rynek wewnętrzny skierowano wszystko, co się tylko tam skierować dało (poza czołgami i samolotami). Że i tu raz po raz napotykałyśmy na zadziwiającą głupotę i brak zdrowego rozsądku, to już całkiem inna sprawa³. A że równocześnie popuszczono nieco cugli inicjatywie prywatnej i indywidualnemu rolnictwu, pomimo stordowania fundacji rolniczej (co od początku było do przewidzenia: komuchy nie mogły przełknąć tego mini-planu Marshalla), powstała sytuacja małej i nierówno podzielonej *prosperity*. Oczywiście nie w skali światowej, ale w skali porównawczej do lat kryzysu uderzeniowego (około 1977-1983) i kryzysu umarzanego (1983 do dzisiaj).

A więc w 1986 roku powstała tendencja do ewentualnego wytworzenia się kolejnej stabilizacji. Już nie małej tylko mikro-skopiijnej, a jednak realnej. Społeczeństwo jest zmęczone. Ludzie pragną niewiele — umiarkowanego zaledwie dostatku. Nie

3. Przykładem handlowo-importowego absurdu jest pojawienie się na ladach sklepowych PRL masła... nowozelandzkiego. Już z antypodów sprowadza się masło do kraju, w którym wciąż jeszcze pełno krów i gdzie punkty skupu pękają od mleka.

otrzymują go, ale jakby rysowała się nadzieja poprawy. Może warto więc poczekać, ponarzekać lecz nie podskakiwać, popracować, i pokraść, a więc pójść na jakieś „porozumienie” — byle nie pisane, byle nie afiszowane. Nie chodzi tu o tych, którzy sprytem, aktywnością, a często i bezwzględnością dorobili się wysokiego standardu bytowego (znów z perspektywy PRL). Chodzi o „szarego człowieka”, którego można przeciwstawić „czernonemu”. Ile jest pośród nich tych, którzy przystaliby na mikro-stabilizację, czyli na egzystencję bez perspektyw, ale i bez głodu, na permanentne spokojne ubóstwo? Obawiać się można, że liczba to wysoka i że nieustannie wzrasta. Opozycja musi to mieć na uwadze.

To naturalnie rzutuje na sytuację „Solidarności”. Już może nawet nie ruchu, lecz pewnej idei, która żyje, ale liczebnie się kurczy i nieustannie traci pole. Reżim Jaruzelskiego całkiem sprytnie rozegrał ten najtrudniejszy problem: najpierw terror, ale stosunkowo niezbyt krwawy, następnie delegalizacja i utrzymywanie całego ruchu w podziemiu. Ale podobnie jak terror internatowy, jeśli tak rzecz można, tak i wytworzenie (bo to reżim je wytworzył) podziemia ma w sytuacji polskiej wymiar szczególny, brak jest bowiem tych typowych dla naszej historii elementów martyrologicznych. Krwawe rozprawy, z których ujawniona została, pod presją społeczną, jedynie sprawa ks. Popiełuszki, nie mają charakteru masowego — to raczej eskapady nadgorliwych sadystów z esbecji. Reżim, wydaje się, postawił na korozję podziemnej „Solidarności”. No i pewne osiągnięcia może odnotować. Polacy, jak to zawsze Polacy, nie potrafili wytrzymać bez frakcyjności i ta zakradła się w sfery kierownicze związku, ale — i to jest ważniejsze — zadekowani przywódcy bez wsparcia dostatecznego sztabu doradców nie potrafili zbudować odpowiedniej do sytuacji kontrpropozycji.

„Solidarność” istnieje i istnieć będzie, ale przestaje odgrywać rolę jako rzeczywisty ruch masowy, staje się coraz bardziej kierunkiem politycznym niż związkiem zawodowym. A to wymaga innej taktyki. „Solidarność” może się stać w przyszłości (trzeba w to wierzyć, ale nie tylko, trzeba się też do tego przygotować) na nowo ruchem masowym. Wtedy, gdy zaistnieją odpowiednie warunki zbiorowego niezadowolenia.

Przez pięć lat „wojny jaruzelskiej” przewijało się poprzez publicystykę podziemia, niczym refren, marzenie o konsekwentnym programie. Ale tego programu nie zbudowano, co więcej — nie przygotowano nawet pakietu diagnoz, co dla tworzenia właściwego programu jest niezbędne. Ograniczono się do postawy *anty*, ale za mało, stanowczo za mało proponowano elementów *pro*. Za dużo było martyrologii, tu trzeba użyć słowa brutalnego: łatwizny martyrologicznej, za mało propozycji: co robić. A te

— jeśli były — to z punktu widzenia skuteczności pozostawiały wiele do życzenia. Wychodzenie na ulicę? Już po roku „wojny jaruzelskiej” każdy rozsądny dostrzegł bezsilność tłumy wobec pałkarskiej, zmilitaryzowanej i zmechanizowanej przemocy. Strajki? Nie odpaliły, głównie z tych samych powodów co manifestacje. Inne formy działania, nawet łącznie ze składkami — zaczęły wędznąć i to nie tylko z uwagi na skąpstwo i chciwość mieszkańców PRL. Po prostu zdewaluowała się typowa taktyka protestu: władza przestała, bo chcąc być władzą musiała przestać bać się masowych wystąpień. I zastosowała, jak widać, metody skuteczne. Kolejna runda dla reżimu. Niemniej tylko runda, a to też do czegoś prowadzi, na coś wskazuje. Może wreszcie zaczniemy się z porażek czegoś uczyć? Rozłożyć ręce i założyć nogę na nogę to doprawdy za mało.

Co więc jest najsilniejszą stroną podziemia? Oczywiście drugi obieg. Można by powiedzieć, że licząc na tytuły, jest go aż za dużo. Tylko najważniejsze: jak daleko trafia, jak głęboko sięga? I tu konstatacja nie jest zbyt optymistyczna: prasa rozchodzi się w większych miastach i w większych ośrodkach przemysłowych. Ta prasa jest zresztą chwilami niedostatecznie interesująca. „Szary człowiek” (to przykre lecz prawdziwe) zaczyna chętniej sięgać po prasę reżimową, z której dowie się plotek, nowostek, w której znajdzie programy telewizyjne i kinowe, no i gdzie wszędzie (a raczej komunistyczne „wszystko”) jest podawane na gorąco, bez opóźnienia. W gazetce znajdzie przede wszystkim wyciąg martyrologiczne, które z braku ciekawszych wydarzeń notują skrupulatnie kary pieniężne nakładane szczerobliwie na — przede wszystkim — młodzież studencką.

Owszem, są pisma redagowane sprawnie, są takie, które bardzo dobrze informują o życiu wewnętrznym zakładów, trafiają się ciekawe artykuły problemowe, trochę historycznych popularizacji, czasem nawet nieco humoru, ale znaczna liczba pism nie ma ani dobrej obsługi informacyjnej, ani sprawnych piór. Lecz najgorsze jest to, że ta prasa jednak nie dociera szeroko, że jest prawie nieznana w mniejszych miastach, a na wsi wcale.

Grubo lepsze są obszerniejsze periodyki i książki, ale te z kolei mają jeszcze węższy krąg odbiorców. Podziemna książka jest bowiem droga i nie zawsze dobrze drukowana, więc „szary człowiek” — tak, nie udawajmy Greków skorośmy Polakami — woli tych kilkaset złotych wydać na butelczynę niż na lekturę.

Byłoby więc naiwnością sądzić, że ruch wydawniczy ma zasięg masowy i masowe oddziaływanie. Niestety: słowo pisane było zawsze karmą (a w PRL — i napitką) ograniczonych sfer inteligentnych i tych uświadomionych przedstawicieli robotników czy innych pracowników fizycznych, którzy w swych grupach społecznych są wyjątkami. Co wcale nie znaczy, by należało zaprze-

stać publikowania pism i książek. Trzeba raczej dołożyć wszelkich starań, by owe z takim narażeniem wydawane druki miały poszerzony, a co najmniej transmisyjny zasięg. To znaczy, by myśli w nich zawarte za pośrednictwem czytelników przenikały do tych także, którzy nie czytają. Jednym słowem chodzi, by masowość stała się głównym celem drugiego obiegu, a nie elita, która jest wprawdzie uświadomiona politycznie, ale zarazem politycznie bezsilna.

Proponowany niedawno Program Oświecenia Narodowego nie powinien być pobożnym życzeniem autora, godnym jedynie zagrzebania w narodowym lamusie, w którym sukcesy świeci tromtadracja. Stwierdzając, że „Solidarność” osłabła a społeczeństwo stało się mniej aktywne, wcale nie zamierzam demobilizować, ale — wręcz przeciwnie — zmobilizować opozycję. Jak bowiem była już mowa: nieznany jest moment, na który opozycja musi być przygotowana. Manifestacje w Pekinie i Ałma-Acie⁴ to wprawdzie nieznaczne tylko poruszenie uciśnionych, ale jednak dające świadectwo świadomości uciśnienia — nawet tam, na bliższym i dalszym Wschodzie. Przedłużająca się wojna afgańska — ten sowiecki Wietnam — to też jeden z objawów powolnego ale stale dokonującego się procesu odwracania od „komunizmu bez żadnej twarzy”. Proces przeformowywania świata jest procesem ciągłym: nic naprawdę w dziejach ludzkości nie zatrzymuje się, tego rodzaju objawy są przejawami przejściowych zahamowań.

Przez chwilę byliśmy nie na marginesie, ale w samym centrum uwagi świata. Stało się tak dzięki „Solidarności”. Teraz chodzi o to, aby — kiedy pojawi się możliwość wskrzeszenia „Solidarności” jako ruchu masowego — być na tę okazję przygotowanym. Trzeba się bowiem zdecydować, czy chcemy pozostać na marginesie (mikro-stabilizacji lub infantylnych igraszek manifestacyjnych), czy też dołożymy starań, by powrócić do owego centrum, by zamanifestować swą rzeczywistą obecność w świecie?

Cóż więc robić? Przede wszystkim już obecnie zaczynać nieatrakcyjną robotę pozytywistyczną — „od podstaw”. Należy

4. Charakterystyczny jest oficjalny odzew na obie te potężne manifestacje. Czerwony — niezależnie od tego czy biały czy żółty — nie potrafi wypełnić ze skorupy nowomowy, którą słuszniej byłoby już zacząć nazywać „staromową”. Władze sowieckie oskarżyły studentów i oczywiście „elementy marginesu” o niszczytelstwo, palenie samochodów i rabunki. Chińczycy nieco inaczej, ale jakże znamienne: manifestować? Ależ tak, oczywiście, byle demokratycznie, a to w ich „staromowie” oznacza: manifestować zgodnie z zasadami marksizmu-leninizmu czyli odrodzonej myśli maoistowskiej i zgodnie z dyktaturą proletariatu (czytaj: nomenklatury). No a jeżeli chce się manifestować przeciwko socjalizmowi, uzurpatorom, imperialistom zafarbowanym na czerwono, przeciwko upiorom Stalina i Mao, to co? Będzie niedemokratycznie? Nie rozśmieszaście nas, piastunowie „staromowy”!

zbierać materiały niezbędne do analizy obecnego stanu i ewentualnych przyszłych działań przeciwnika. Należy bacznie obserwować społeczeństwo we wszystkich przejawach jego działalności. I z równym pietyzmem należy obserwować gospodarkę jak i kulturę oraz wszystkie inne przejawy życia naszego narodu. Prognoza musi być bowiem wywiedziona z tych analiz w wielu zakresach czasowych — na jutro oraz na trzecie tysiąclecie. Chodzi o wcielenie w życie nowego wariantu pozytywizmu, zaangażowanego znacznie silniej niż miniony patriotycznie i społecznie. Byłoby wspaniale, gdyby ów pozytywizm umiał się zespolic z romantyzmem, byle tylko wyleczonym z mesjanistycznych trucizn i optymistycznej nieobliczalności.

Nie jest to bowiem próba pogrzebania marzeń w „mogiłce polnej”, ale próba uporządkowania i dynamizacji naszych działań. A czy jest to możliwe wśród Polaków — narodu nieobliczalnego? Należy właśnie stawiać na ową nieobliczalność, byle sterowaną, byle uporządkowaną — Polacy już innym i sobie samym nie takie potrafili zgotować niespodzianki!

Na tym tle jawi się jako osobny problem tylekroć już wspomniana kolaboracja. Czy jednak chodzi o to, by zaprzestać jakiegokolwiek działalności związanej z właściwym funkcjonowaniem państwa? Przecież nie chodzi ani o propagowanie głupoty, ani o zapraszanie do samobójstwa. Kolaboracją jest wyłącznie taka działalność jednostek, która popiera czynnie (oficjalnie lub nieoficjalnie) partię i jej wszechobecny prymat. Kolaboracją jest również wszelka działalność zmierzająca do podporządkowania tzw. obywatela, drenaż jego budżetu, nadgorliwość w realizowaniu przepisów moralnie wątpliwych. Kolaborantem jest więc nie tylko sklerotyczny starzec w rodzaju Suchodolskiego i Sandauera, Dobraczyńskiego i Auderskiej oraz kompanii honorowej profesorów telewizyjnych, jest nim bowiem także ten urzędnik, który w życiu osobistym narzeka i potępia partię i jej organy, ale w rzeczywistości, na swym maciupeńskim stanowisku współczesniczy w działaniu negatywnym owej partii i jej agend. Kilka znakomitych myśli na ten temat znajduje się w niby-powieści Stefana Kisielewskiego „Wszystko inaczej”⁵.

Nie są natomiast kolaborantami dyrektorzy przedsiębiorstw dokładający starań, by powierzone im instytucje działały sprawnie i rentownie, a także nie jest kolaborantem robotnik wypełniający prawidłowo powierzone mu zadanie. Chyba że produkuje czołgi lub samoloty dla Paktu Warszawsko-Sowieckiego.

To są naiwne objaśnienia, ale wielu jest zdezorientowanych, a

5. Ta książka, wydana na emigracji, powinna być przedrukowana i rozpowszechniona w drugim obiegu, zawiera bowiem wiele cennych spostrzeżeń.

większość nie uświadamia sobie własnego miejsca w Polsce. Społeczeństwo to organizm wielokomórkowy, nad wyraz skomplikowany w swej nieustannej przemianie (wymieranie i rodzenie się pokoleń, a więc nieustanna przemiana materii — i to jakiej! — myślącej!). Takie *perpetuum mobile* najdziwaczniejszych wypadkowych i przypadkowych wektorów. Naiwna wiara spadkobierców Oświecenia i ich następców w XIX wieku, że całą tę wielkość da się uporządkować wedle mechanicznych reakcji i praw „naturalnych”, już się dawno zblazniła w praktyce i historii. A przecież funkcjonuje nadal mnóstwo myślowych skamielin, dla jednych jest to bowiem idealny porządek bytu, dla drugich — wygodne narzędzie zniewalania. Jedni i drudzy bowiem to rodzeństwo, tyle że z nieprawego łoża. W istocie zaś społeczeństwa są leniwe i nieskore do przyjmowania i absorbowania „nowego” choć są na nie i tak skazane. Program oświecenia narodowego winien więc funkcjonować w tym kierunku: rozkruszania skamielin, osvajania z nowym i równocześnie uczenia szacunku dla przeszłości.

Zacne niewątpliwie dziecię epoki — konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” — doskonale wybrało nazwę-hasło: doświadczenie — bowiem niczego nie wolno zapominać, odrzucać, a zwłaszcza niszczyć bezmyślnie. Przyszłość — bowiem tylko w wypatrywaniu niezbędnych a korzystnych zmian leży siła wszelakiego programu. Nie ma zaś żadnego ruchu politycznego bez programu. I niech się nikt nie oburza, że w stosunku do „Solidarności” przyjdzie posłużyć się określeniem — ruch polityczny. Nie ma i być nie może bowiem żadnego ruchu społecznego, który by nie był jednocześnie ruchem politycznym. To tylko pozorne związki zawodowe *made in* socjalizm realny dały sobie bez trudu wmówić, że polityka musi pozostawać poza sferą ich działania, a echo tego wmówienia pobrzmiwało nieustannie w enuncjacjach przywódców „Solidarności” w okresie jej legalnego działania. To był rodzaj maskowania się, ale w wielu przypadkach także naiwna wiara w komunistyczne pozory.

Skoro więc istnieje, istnieć bowiem musi, wyjście z przeciągającego się pata, należy niezbędnie budować taki program, który by gwarantował sukces siłom postępu w Polsce, gdy „niedomknięte drzwi” nagle się otworzą. Sukces bowiem zależy nie od porządku natury, nie od „konieczności dziejowych” ani od Boskiej Wszechmocy, ale od nas samych. Stanie się własnością tych, którzy lepiej się przygotowują. I przewaga po stronie „Solidarności” polega na tym, że może ona myśleć i działać zgodnie z rozsądkiem, a nie doktryną. Więc nie wystarczy tylko się modlić, trzeba jeszcze Panu Bogu pomóc.

Co jest najcenniejsze w doświadczeniu? Oczywiście przede wszystkim świadomość narodowa, świadomość polskiej tożsa-

mości, poparta historią, pamiątkami i zabytkami, etosem narodowego postępowania w trudnych okolicznościach politycznych. Doświadczenie to przede wszystkim świadomość podłoża owej wspólnoty, która łączy uczciwych Polaków w jedność zdecydowanie odrzucającą wszelkie formy zniewolenia.

Równocześnie, dość naiwnie traktując własną historię i kultuwając mesjanistyczne tradycje, gotowiśmy wierzyć, że samo doświadczenie wystarcza, a w razie czego to „kupą, mości panowie” i „jakoś to będzie”.

Tymczasem znajdujemy się w sytuacji dość wyjątkowej, nieokreślonej żadnym jeszcze doświadczeniem, bowiem dotychczas nie udało się wyzwolenie żadnego kraju zagarniętego przez komunistów⁶. Jesteśmy więc państwem o niezwykle rozgałęzionych mackach upaństwowienia. Nie da się tu przeprowadzić prostego zabiegu „reprivatyzacji”, na który mogą sobie pozwolić torysi przejmujący władzę po wigach lub chadecy do socjalistach. Programując przyszłość musi się mieć na uwadze nieustannie szereg zaistniałych tu — nad Wisłą — zaszłości. I trzeba szukać rozwiązań nowych. Dość bowiem przygnębiającym zjawiskiem są próby odgrzewania starych, politycznych kotletów: chorego endectwa, sklerotycznego pepeesostwa, ruchów ludowych z epoki króla Ćwieczka i Witosa, a nawet piśsudczykowskiej ideologii, tak jakby z krypty wawelskiej miał powstać Marszałek i pogalopować (na kasztance) przez Polskę. Nie zbuduje nam nowej Polski „Pan Roman” ze swoim ciasnym antysemityzmem, a toczące się obecnie dyskusje o konserwatyzmie i lewicy zakrawają na narodowy absurd. Te pojęcia są cieniami cieniów w sytuacji porządku odwróconego na nice.

Nie ma, po prostu nie ma żadnego wzoru do naśladowania na zasadzie walki i myślenia ułatwionego. Kalki zresztą nigdy dobrze nie funkcjonowały, bowiem to co pasuje do sytuacji w punkcie A naszego globu, nie musi i nawet nie może pasować do sytuacji w punkcie B i C. Nie zbudujemy ani „drugiej Polski”, ani „drugiej Japonii”, zwłaszcza jeśli myśleć będziemy wstecz, a nie do przodu. Polska będzie taka, jaką ją uformują Polacy, nawet częściowo zniewoleni, a już z pewnością wyzwoleni. I co będzie z tymi wkrótce 40 milionami Polaków na skrzyżowaniu europejskich dróg i interesów? Czy pozostaniemy gromadą alkoholowo rozchwianych, zapatrzonych w przeszłość mistyków? A może rozpoczniemy doganianie Europy, a tym samym i świata? A może ukażemy temu światu z naszego marginesu, dziwnaczego — bowiem usytuowanego pośrodku paginy — marginesu i pępka

6. *Casus* Chile jest niemiarodajny. Po pierwsze reżim komunistyczny nie zdążył tam zapuścić korzeni. Po drugie nastąpiła tam wymiana siekierki na kijek: „dyktaturę proletariatu” zastąpiono dyktaturą junty.

zarazem jakieś zupełnie nowe perspektywy czy propozycje? Mamy realną szansę wyjścia z letargu niedorozwinięcia, w który nas wtrącono, a który gotowiśmy zaakceptować z czystego lenistwa, nieoświecenia oraz wmówienia „dziejowych konieczności”.

Tymczasem historia uczy tylko jednego: nie ma „dziejowych konieczności”, tak jak nie ma specjalnie dla Polaków ustanowionej Opatrzności. Dziejowe konieczności trzeba sobie samemu budować, bez oglądania się, że inni pomogą, ale z pilnym baczeniem, by ci inni nie psuli.

Styczeń 1987

Józef SZRETT

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 420 — IGOR NEWERLY

ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW

Igor Newerly — autor wielu książek w tym 2-ch o Januszu Korczaku w latach 60-tych napisał swoje wspomnienia z okresu 1914-1923 w Rosji i na Ukrainie. Wspomnienia te są autentycznym tłem okresu burzy i naporu w Rosji obejmując okres pierwszej wojny światowej, rewolucji i lat porewolucyjnych.

Str. 322.

Cena F. 120,00.

TOM 422 — JACEK TRZNADEL

HAŃBA DOMOWA

Książka Jacka Trznadla prezentuje czytelnikowi szereg jego rozmów ze znanymi polskimi pisarzami, kiedyś komunistami, którzy starają się opowiedzieć o swoim romansie i zerwaniu z partią. Te rozmowy mają ogromne znaczenie dla zrozumienia procesów, jakie zaszły wśród ludzi pióra w Polsce od powstania PRL do dziś. Trznadel opracował rozmowy z nadzwyczajną skrupulatnością i znawstwem przedmiotu i, co cenne, nie ograniczył się wyłącznie do pisarzy eks-komunistów, ale włączył do książki, tytułem przykładu, rozmowy z pisarzami, którzy przeszli przez komunizm z podniesionym czołem. Ozdobą książki jest rozmowa Trznadla ze Zbigniewem Herbertem.

Str. 320.

Cena F. 120,00.

TOM 424 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

zawiera m.in. opracowania: *Sprawa Bergu*; P. Wandycz: *Harriman a Polska*; J. Mirski: *Problemy językowe w kościołach rzymskokatolickich na Białorusi i na Ukrainie po drugiej wojnie światowej*; M. Polny: *Z literką „P”* — rozmowa z Marianem Terleckim; M. de Hernandez-Paluch: *Ja byłem krytyczny...* Rozmowa z prof. dr. hab. Pawłem Bożykiem, szefem zespołu doradców Edwarda Gierka; K. Modzelewski: *„Solidarność” w przededniu wojny* (Dokumenty), oraz Działy: *HISTORIA NIE TAK ODLEGAŁA, WSPOMNIENIA, CI, CO ODESZLI, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 70,00.

Modlitewnik Gasztołda

„Wyrwi Boże duszę moją od rządu nieprzyjacielskiego
i z ręki ich jadowitej
jedyna niewinność moja”

Ps 22, 21-22 wedle tegoż Modlitewnika

Fundacje cysterskie na ziemiach polskich przypadają głównie na XII stulecie. Zakon ten, należący do sprawdzonej rodziny benedyktyńskiej, zachował wierność regule ojca założyciela: mnisi spędzali wiele godzin w ciągu dnia i nocy na wspólnej modlitwie, zachowywano milczenie, pracowano na roli. Odnowa cysterska polegała — jak często w dziejach chrześcijaństwa — na powrocie do źródeł, nieskażonych, bijących czystym, krynicznym strumieniem. Pierwowzorem takiego źródła jest otwarty bok Chrystusa, bodaj najczęstszy motyw ikonografii średniowiecznej. Cystersi osiedlali się raczej na równinach, w pobliżu rzek i stawów, inaczej niż benedyktyni, wybierający krajobraz górzysty, przypominający pierwszy ich klasztor, Mons Cassinum.

Wieś Mogiła leży na wschód od Krakowa, wedle miary piechura — niespełna trzy godziny drogi, wśród żyznych pól, pod niebem wiosennym, które na południu jaśnieje i, jeśli wyteńczyć wzrok, opiera się o szczyty beskidzkie, porośnięte ciemnym lasem, o poszarpane, granitowe grzędy Tatr. W średniowieczu Kraków był stolicą Polski, dynastia piastowska, potem jagiellońska, rządzona na wyniosłym wzgórzu wawelskim, skąd widać było opactwo cystersów w Mogile: zatopione w zieleni łąk, czerpiące wodę niemal z łożyska krętej, szerokiej już Wisły, wypływającej z ubszy Beskidów. Poprzez ówczesne powietrze, przetaczane wiatrami od gór, dobrze niósł się dźwięk dzwonów. Toteż istniała przedziwna komunikacja akustyczna pomiędzy wieżami katedry

wawelskiej a wieżami klasztorów osadzonych nieopodal Krakowa: głos spiżu, odbity od murawy i świeżego listowia, przygłuszający świergot skowronków, przebiegł w okamgnieniu — czy do opactwa mogińskiego, czy do opactwa benedyktynów w Tyńcu, na zachód od Krakowa. Na tę drogę potrzeba było tyle czasu, co na westchnienie „Ave...”.

Cystersi gospodarzą w Mogile od pierwszej połowy XIII wieku. Zakonnicy, przywiązani do miejsca, uprawiali kulturę tak wszechstronnie, jak tylko człowiek potrafi: i rolniczo-ogrodniczą (*agricultura*), i symboliczną, polegającą na pisaniu i czytaniu ksiąg, malowaniu obrazów, śpiewaniu muzyki. Żywot mnicha to nieustanne budowanie, spełnianie powołania, murowanie ścian, przebijanie okien ku światłu słońca, przesklepianie wnętrza, które ma być ofiarowane Bogu i tylko Jemu przeznaczone na mieszkanie. Ślady pierwotnych zrębów klasztoru można dziś jeszcze znaleźć w przyziemnej warstwie budowli. Kościół jest żywą konstrukcją, w ciągu wieków obrasta nowymi stylami — obecna postać opactwa ukształtowana została w XVII-XVIII stuleciu. Kto jednak odrobinę wyteży wzrok i w skupieniu wędruje kruzgankami klasztorowymi, znajduje ślady sprzed siedmiu, sześciu stuleci. Chropawy kamień wapienny, kolumna jeszcze romańska w linii, stopnie kamienne wyszlifowane podeszwą pokoleń, wklęsłe i błyszczące, jak szlachetny minerał. W bocznej kaplicy kościelnej można przykleknąć przed ołtarzem specjalnie zbudowanym dla cudownego Krzyża, do którego ściągają pątnicy i dziś jeszcze, tysiącami, a szczególnie na jesieni, w Święto Podniesienia, gdy listowie przebarwia się w odcieniach złota, brązu i czerwieni, jak ornament średniowiecznego manuskryptu.

Bodaj najbardziej utalentowanym malarzsko cystersiem okazał się Stanisław Samostrzelnik, urodzony ok. 1485 roku, zmarły w Mogile w 1541, żyjący więc w tym czasie, kiedy w Norymberdze działał największy niemiecki mistrz pędzla, Albrecht Dürer. Zapewne i do Samostrzelnika dotarła sława mistrza, bo przecież jako młody człowiek wyjechał Stanisław na południe Europy, do miasta Budy, gdzie zapoznał się z dziełami renesansu włoskiego i poddał się ich urokowi, co widać w każdej pracy, także na kartach modlitewników i mszałów zdobionych ręką cystersa. Włochy zafascynowały mnicha błękitem tak intensywnym, jakiego nie zna niebo polskie ani niebo krajów położonych na północ od Alp.

Po powrocie do Polski prowadził Samostrzelnik w stołecznym Krakowie pracownię miniatorską, uprawiał także malarstwo sztalugowe i ścienne. Ukończywszy pięćdziesiąty rok życia, mistrz podjął dzieło zdobienia kościoła i kruzganków w macierzystym klasztorze w Mogile, przenosząc na tynk polichromie już wcześniej opracowane w mniejszym, poręcznym formacie. Obserwujemy tu podobne rozwiązania: miękkie opracowanie postaci ludz-

kiej, żywą kolorystykę (na pergaminie barwa pozostała świeższa, tynki piją farbę, jak wiadomo), zainteresowanie dla pejzażu i upodobanie w motywach roślinnych oraz zwierzęcych, wykorzystywanych jako konieczne zamknięcie przedstawienia.

Modlitewnik Gasztołda został wymalowany w 1528 roku, na przedziwnie cienkim, szeleszczącym pergaminie, liczącym 234 karty, związane wedle sztuki introligatorskiej i ujęte w deszczułki obciążone czerwonym — dziś przetartym — aksamitem. Sporządzenie rękopisu wymagało kunsztu rzemieślniczego. Rubrykator nanosił na pergamin równoległe wersy, zgodnie z tym pierwotnym, rolniczym porządkiem, w jakim zwykło się orać tłuste, mogińskie gleby. Poza podwójną ramkę, wykreśloną złotą farbą, nie powinno się zapędzać pióro skryby. Każda praca musi być ograniczeniem na rzecz tego, co nie nazwane, a co ściśle przylega do codzienności, nie mając barwy, kształtu, imienia. Skryba stawiał równe rzędy liter, oddając przy pomocy znaków łacińskich bogatą, szeleszczącą i syczącą mowę polską. Jak tu utrwalić samogłoski nosowe? Jak zapisać swoiste spółgłoski *ć* — *dź*, *cz* — *dż*, *ś* — *ź*, *sz* — *ż*, *ł*, *rz*? Są to szeregi dźwięków obce łacinie, która nie mogła dać jednoznacznych symboli. Toteż ortografia tekstu sprawia dziś Polakowi — nawet specjalście — ogromne trudności w lekturze, w wielu miejscach bywa niejasna, sugeruje rozmaite odczytania. Ortografia polska formowała się na przestrzeni stuleci, od XIII stulecia poprzez wiek złoty literatury (XVI) aż po czasy Oświecenia. Na dobrą sprawę dopiero od początku zeszłego stulecia można mówić o usystematyzowaniu pisowni.

Wreszcie do pracy przystępował rzemieślnik najbardziej wykwalifikowany, iluminator, czerpiący kolory z wielu wesołych miseczek, nanoszący barwidło lekkimi dotknięciami pędzla. Tak przecież łaska dotyka serca ludzkiego, poruszając je ku dobremu uczynkom. Modlitewnik Gasztołda — podobnie jak wszystkie książki tego rodzaju — miał krzepić tego, kto otwiera srebrne skuwki, by wejrzeć w tajemnice, zamknięte pomiędzy deszczułkami okładki.

Modlitewnik dedykowano Królowi Polskiemu i Wielkiemu Księciu Litewskiemu, Zygmuntowi Staremu (1467-1548), panującemu nad państwem potężnym, liczącym wówczas ok. 1 mln km², trzy razy więcej niż obecnie. Zamówienie złożył w pracowni Samostrzelnika kanclerz litewski, Gasztołd, człowiek z pewnością niezwykle zamożny, skoro ponoszący taki ekspens. Dar przyjęto we dworze wawelskim, przekazywano dziedzicom, którzy — sądząc po zużyciu kodeksu — sięgali po księgę jeśli nie na co dzień, to chyba przynajmniej od święta.

Po upływie stulecia — jednego z najświetniejszych w dziejach Polski — Modlitewnik Gasztołda przypadł księżniczce Annie Ka-

tarzynie Konstancji (1619-1651), córce króla polskiego Zygmunta III Wazy, wydanej za Filipa Wilhelma neuburskiego księcia Palatynatu. Odtąd księga wykonana w Mogile nie opuszcza ziemi niemieckiej; od końca dziewiętnastego stulecia znajduje się w Bawarskim Muzeum Narodowym, obecnie zaś liczona jest do najcenniejszych cymeliów przechowywanych pieczętowanie w Bibliotece Uniwersyteckiej. Leży tu w szczelnej kasecie, wciąż głośząc pociechę Chrystusową, siejąc złotym blaskiem, bo nawet obrzeża kart — jak to było we zwyczaju — pociągnięto pozlótką.

Karty księgi różnią się pozycją w wewnętrznej hierarchii znaków. Zdarzają się strony prawie puste, zaledwie obrysowane przez rubrykatora, pominięte przez skrybę. Widzimy rubryki wypełnione czarnym duktem pisma, ułożonego regularnie, jak dzień powszedni w klasztorze, podległy regule. Zakonnika budzi sygnaturka, dość wcześnie, o jutrzni, bo tak się przez wieki wstawiało w kulturze agrarnej. Poszczególne czynności mnicha wynikają jedna z drugiej, przylegają do siebie ściśle, jak wersety ujęte złotą rubrycellą. Ramą powszedniego dnia w klasztorze jest zawsze modlitwa zbiorowa; przynajmniej w zgromadzeniach wywodzących się od św. Benedykta z Nursji.

Zazwyczaj stronicę Modlitewnika zdobione są roślinnym ornamentem, aby przypominać o łaskach rozkwitających w ukryciu, jak kwiaty na grzędach wirydarza. Pomiędzy czarnym rzędem liter, właściwie gotyckich, rozbłyska nagle znak Krzyża Świętego, pojawia się imię Chrystus, rozpoczyna inicjałem werset tekstu. Można założyć, że modlono się czytając na głos, jak to było zwyczajem osób mniej obytych z księgą. W takim wypadku element barwny jest zarazem znakiem pauzowania, sygnałem do zaczerpnięcia oddechu, chwilą ciszy.

Są wreszcie strony najbardziej uprzywilejowane, odwzorowujące sceny z życia Zbawiciela i Świętych Pańskich; w sumie szesnaście kart, opracowanych przez Stanisława Samostrzelnika, bądź też — w niektórych detalach — przez jego uczniów z pracowni miniatorskiej. Kto dziś wypożycza cymelium z zasobów Biblioteki Uniwersyteckiej w Monachium, przygląda się przede wszystkim właśnie ilustracjom, nie mając czasu na lekturę psalmów w pradawnej, szorstkiej i dosadnej polszczyźnie, brzmiejącej dla naszego ucha ciekawiej niż gładkie, wypolerowane zdania Jana Kochanowskiego, najwybitniejszego mistrza polszczyzny renesansowej.

Literatura polska zaczyna się od modlitwy. U początków stoi hymn „Bogurodzica”, skierowany do Chrystusa za pośrednictwem Matki Najświętszej, znany już w XIII stuleciu, kiedy lokowano cystersów pod Krakowem. Choć Biblia przez kilka wieków pozostała jako całość nie tłumaczona, wyjmowano ze Starego Przymierza Księgę Psalmów, zwaną Psalterzem, i przekładano na

język polski. Niewątpliwie w Modlitewniku Gasztołda przytoczono któreś z dawniejszych tłumaczeń, może nawet z XIV stulecia.

Osobliwością jest „Letania wszyckiego żywota Pana naszego Jezu Krysta” licząca ok. 300 wezwań, a więc przekraczająca miarę cierpliwości dzisiejszego, pobożnego nawet czytelnika. Jako refren powtarza się greckie błaganie „Kyrie eleison, Christe eleison”, już przetłumaczone na język polski. Krok po kroku, zdanie po zdaniu towarzyszymy dziejom Jezusa, od Zwiastowania, poprzez Narodziny, Dzieciństwo, Nauki, Męczeństwo aż po Śmierć i Zmartwychwstanie. Tęsknotą chrześcijan jest jedna, równoczesna Ewangelia, opowiadająca o życiu Pana w porządku chronologicznym. „Litanię wszyckiego żywota” można uważać za modlitewną synopsę, czyli równoległe rozpamiętywanie czterech relacji Dobrej Nowiny.

Modlitewnik Gasztołda czci osobnym nabożeństwem Matkę Jezusa — są to „Godziny o Pannie Maryjej”, znane i w dzisiejszym kościele polskim, wedle słów rymowanych u końca XVI stulecia, odśpiewywane z zasady o świcie, jako modlitwa jutrzeńska. W końcu Modlitewnik kryje krótkie teksty odnoszące się do ważniejszych świętych; imiona ich zostaną wymienione przy komentarzu do ilustracji.

Poczet ilustracji otwarty jest przez *Zdjęcie z krzyża i złożenie do grobu*. Ślady męki widoczne na ciele Chrystusa. Poza Nim, w tle, wznosi się drewno krucyfiksu; na poprzecznym ramieniu wiszą narzędzia pasyjne: różga, którą sieczono Skazańca, drewniana pałka, włócznia rzymska (nią żołnierz przebił serce Ukrzyżowanego), w końcu zapewne trzcina, na której podawano Chrystusowi wino zmieszane z żółcią (inni mówią „ocet”), ostatni napój skazańców w Imperium Romanum. Na drzewie zawieszona tablica w języku greckim, hebrajskim i łacińskim, napisana na rozkaz Piłata i przyznająca Chrystusowi tytuł „Króla Żydowskiego” (uczynek ten oburzał Uczonych w Piśmie). Co ciekawe, Jezus Bolesny, choć stępuje do grobu — przedstawionego już w renesansowy, geometryczny sposób — nie jest martwy, stoi bez pomocy Maryi i Św. Jana, swego ukochanego ucznia. Tych dwoje pozostało pod Krzyżem, wiemy to z Ewangelii, i tak są zawsze przedstawiani w scenie Ukrzyżowania. Grób z odsuniętą płytą, Chrystus jakby przepowiada tu sam swoje zmartwychwstanie: tajemnice bolesne splatają się z tajemnicami chwalebnyimi. U sarkofagu klęczy — wedle prawideł średniowiecznych — fundator Modlitewnika, Wojciech Olbracht Gasztołd, z rodu litewskiego, na szyi kanclerski łańcuch, można dostrzec i tłok pieczęci; wokół palców donatora zaplatają się czerwone, słabo widoczne ziarenka różańca.

Teksty łacińskie należą w Modlitewniku Gasztołda do rzad-

kości; najobszerniejszy znajduje się jako *dedykacja* dla króla polskiego, Zygmunta Starego, panującego w latach 1506-1548 (umieszczona na wstępie). Stwierdza się tutaj, że autorem modlitwy jest „pewien pobożny eremita”, a przy tym określony zostaje charakter modlitw — wszystkie odnoszą się do osoby Jezusa. Chrystocentryzm książki zapowiedziany był też poniekąd poprzednią ilustracją.

Polskie teksty czytano i wówczas, i dziś dość powoli. Zresztą do namysłu zachęca bogate zdobnictwo roślinne. U początku lektury należy uczynić potrójny znak krzyża, co widać nawet w iluminacji. Po drugiej stronie poletko pergaminu dosłownie zarosnięte przez wici roślinne. Wzrok odpoczywa na marginesach, rozpoznaje szczegóły bordiury, przechadza się po rajskej łące. W rozumieniu tamtych ludzi modlitwa stanowi już „przejście” w inny wymiar, dlatego iniciał w średniowiecznych lekcjonarzach, antyfanarzach czy psalterzach opracowany jest tak barwnie. W jednej literze — jak w portalu gotyckiej katedry — ukrywa się zapowiedź Odkupienia; nawet najmniejsza kreska z Biblii nie przemienia, wedle przyrzeczenia Chrystusa. Zaczyna się tekst od wyznania: „Dusza moja w uciśnieniu położona jest...”. Wołacz „Jezu Chryste” wyróżniono graficznie, stosując jednocześnie skrót literowy, jak to zwykle w rękopisach średniowiecznych.

Pierwszy z pocztu świętych wkracza do Modlitewnika Gasztołda św. Hieronim, podobnie przedstawiony, jak u Cranacha czy Altdorfera, jeden z najważniejszych bohaterów ikonografii europejskiej, genialny tłumacz Biblii, tutaj pokutujący eremita. Purpura szaty odcina od tkanki roślinnej i już po obfitości zieleni można wnioskować, jak wielka nadzieja towarzyszyła pustelnikowi, choć trzyma on w ręku czaszkę, symbolizującą *vanitas*.

W scenie *Zwiastowania* czytelnik Modlitewnika widzi początek Kościoła: archanioł Gabriel wypełnia właśnie swe posłannictwo i już wiemy, że odejdzie, otrzymawszy od Panny owo zasadnicze „TAK”, bez którego nie mogłoby się dokonać Odkupienia. Bóg składa decyzję w ręce Dziewicy, szanując wolność człowieka i wobec niego rezygnując ze swej wszechmocy. Jest to zarazem pierwsza tajemnica różańcowa radosna. Stąd tyle jaskrawych, radosnych barw.

Kolejna ilustracja przedstawia *Nawiedzenie* czyli odwiedzin Marii, już ciężarnej, u jej krewnej, Elżbiety, również spodziewającej się dziecka. Druga tajemnica różańcowa radosna, zarazem jeden z ulubionych tematów malarstwa XV stulecia. W ornamencie widoczna tarcza herbowa z literą „W” — to godło Habsburgów, wcześniej widoczne także na tytułowej ilustracji, u kolan klęczącego fundatora.

Narodziny Chrystusa spełniają się w nędznej szopie — i taką właśnie przedstawia artysta. Budynek nie prezentuje się jeszcze

tak źle w porównaniu np. z tym, jaki wyobraził sobie Albrecht Dürer (obraz ze Starej Pinakoteki). Dzieciątko, złożone na pieluszcze i sianku, dziwnie pogodne i nieczułe na zimno, adorowane jest przez Matkę Najświętszą, starego Józefa, woła i osła. Klęczy tu również pomniejszy, ale sympatyczny aniołek, wyglądający jak rówieśnik Zbawiciela. Przy Zwiastowaniu obecne są także zwierzęta: mysz, kot. Niektórzy przypisują tym motywom rolę symboliczną i zapewne słusznie. Tak więc biały kot ma być uosobieniem Dobra czy Opatrzności, natomiast czarna mysz — szatanem. Niemniej zwierzęta same w sobie wydają się wystarczająco interesujące dla malarza. Warto przypomnieć dziesiątki studiów Dürera, jego nigdy nie wygasną pasję zoologiczną. Poza tym w obecności zwierzęcia kryje się mądrość teologiczna: człowiek, nie wyizolowany spośród stworzenia, podąża wraz ze wszystkimi ku Bogu, a Ten jest ojcem także motyli, jaszczurek, karaluchów i zab.

Pracownia Samostrzelnika dbała o indywidualne przedstawienie twarzy, co można najlepiej dostrzec w *Zwiastowaniu pasterskim*. W tle widzimy — podobnie jak we wszystkich prawie wcześniejszych ilustracjach — dość dzikie, strome szczyty. Jak wiadomo, Judea jest krainą górzystą, autor dąży więc do pewnego realizmu. Chodzi jednak przy tym także o bogatą symbolikę: góra oznacza spotkanie z Bogiem, owocną i krzepiącą modlitwę, także powołanie do spraw wyższych, przerastających codzienność. Same skały, pozabawione roślinności, mogą wskazywać na umartwienie, ogołocenie z dóbr doczesnych dla Boga. Albo po prostu ubóstwo. Tak jest chyba w przypadku pasterzy.

Stroje postrzegamy polskie, współczesne artyście, także instrumenty — typowe raczej dla kultury miejskiej (na halach używano jedynie długich trombit, bęben stanowi rzadkość w kulturze pasterskiej). Nieudolnie wymalowany aniołek niesie tabliczkę z napisem *Gloria in excelsis Deo*; te słowa łacińskie pojawiają się w jednej z najpiękniejszych kołęd polskich. Wysłaniec Pański ma jeszcze i tę właściwość, że przelatując „ściera” błękit, a rozsuwa za sobą złotość, czyli kolor wymiaru nadprzyrodzonego.

Pokłon Trzech Króli staje się dla autora okazją do umieszczenia w grupie monarchów także osoby Zygmunta Starego, spodziewanego czytelnika książki i w pewnym sensie „adresata”. Chodzi tu o mężczyznę stojącego w pionowej osi obrazu, nad którego głową giermek trzyma koronę jagiellońską. Władca ma łanuch złoty, charakterystyczne, wysokie czoło i stosunkowo duży nos, przynosi też Dzieciątku dar zewnętrznie najbardziej efektowny (okazałe, pięknie zdobione naczynie). Św. Józef tym razem zaledwie wygląda ze stajenki, jakby speszony majestatem gości. Murzyn na początku XVI stulecia jest ciągle jeszcze egzotycznym motywem malarskim. Powiększa się orszak zwierząt: z lewej

strony widać łeb koński, powyżej łeb zapewne wielbłądzi, także psa lub może nieudolnie przedstawionego barana. Ponad głowę Maryi widzimy dwie sikorki, ptaki gadatliwe, wesołe, wyrażające po swoim radość ze stworzenia. Klęczący król ubrany jest w typowo polski sposób, w drogocenną pelerynkę z gronostajów (ten relikw przetrwał jeszcze w majestatycznym przyodziewku rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego; poza tym całkowicie poniechany).

Jednym z najtragiczniejszych tematów malarstwa średnio-wiecznego jest i tu obecna *Rzeź Niewiniątek* przedstawiona wedle najlepszych możliwości artysty. Rynsztunek rycerski to oczywiście współczesny malarzowi ekwipunek. Rozpacz matek — jak wszelkie skrajne emocje — trudno namalować w sposób przekonujący, tym bardziej, gdy nie dysponuje się koniecznym w tym kierunku talentem. W porównaniu z mistrzami niemieckimi czy włoskimi, ujęcie Samostrzelnika wydaje się banalne, z uwagi jednak na ciągłość stylistyczną mieści się w konwencji Modlitewnika.

W scenie *Ucieczki do Egiptu* widzimy wpływ Martina Schongauera. Św. Józef ujawnia tu w pełni swe przymioty: jest wszak opiekunem Dzieciątka, a także Jego żywicielem. Prawą ręką sięga ku drzewu owocowemu (palmie?), jakby z zamiarem strącenia soczystego owocu. W dolnym lewym rogu widać złamaną kolumnę symbolizującą minioną potęgę imperium egipskiego. Dla Egipcjan kolumna odzwierciedlała trwanie i ciągłość panowania faraonów, panowania boskiego. Chrześcijańska ikonografia przełamała dumny wspornik, tłumacząc światu, że wszystkie doczesne władze przemijają, a ostoją się tylko — wobec Boga — skarby gromadzone nie na ziemi, ale w niebie, gdzie ani rdza, ani robak, ani ogień nie mają dostępu. W bordiurze widać tutaj — jak i we wcześniejszych „obramieniach” — wyraźne wpływy flamandzkie (ujęcie kwiatów) i rozwiązania typowe dla renesansu. Podobne spłoty kwiatów zdobią sale królewskie na wzgórzu wawelskim w Krakowie.

Ofiarowanie to także jedna z radosnych tajemnic różańcowych. O zdarzeniu tym wzmiankuje tylko Łukasz Ewangelista: w 40 dni po urodzeniu Jezusa, wedle prawa Mojżeszowego, rodzice przynieśli Dzieciątka do świątyni, „aby je przedstawić Panu” (Łk 2, 23). Jako pierworodny, Jezus miał być poświęcony Bogu. Starzec Symeon, człowiek pobożny i prawy, trzyma Chrystusa na rękach i w ten sposób spełnia się proroctwo („nie ujrzysz śmierci, aż zobaczysz Mesjasza Pańskiego”, Łk 2, 26); jako jedyny z Żydów Symeon ma nad głową aureolę, malowaną tutaj — jak i wcześniej — wyraźnie pod wpływem włoskim, w skrócie perspektywicznym, czego nie znało średniowiecze. W niezdarnej przedstawionej klatce kryją się dwie synogarlice, przewidziane przez

Księgę Kapłańską jako tzw. „ofiara ubogich”. Gdyby Najświętsza Rodzina była zamożniejsza, Maryja winna była przyprowadzić roczne jagnię.

Na tym właśnie wizerunku autor umieścił — w głównej osi, pod draperią obrusa — swe inicjały „SC” (= Stanislaus Claretumbensis) oraz zatartą już trochę datę 1528, jednoznacznie wskazującą na czas powstania ilustracji, a może i całego Modlitewnika. Omawiana strona książki doskonale harmonizuje z następną, gdzie tekst obudowano bordiurą i czytelnik żałuje wprost, że musi przewrócić kartę, porzucając tyle olśniewających barw.

Św. Wojciech to patron Polski, otaczany nad Wisłą szczególnym kultem, ponieważ zginął w Prusach na misji tuż po chrzcie Polski (966) i został wykupiony na wagę srebra z rąk pogańskich oprawców. Pochodził z Czech, tego kraju, który przyniósł nam chrześcijaństwo. Do relikwii św. Wojciecha pielgrzymował w roku 1000 cesarz niemiecki, Otto III, podpierając w ten sposób autorytet władcy, Bolesława Chrobrego. Tutaj po raz drugi widzimy klęczącego fundatora, Gasztołda, ubranego identycznie, a proszącego swego patrona o wstawiennictwo. Dwukrotnie pojawia się znajomy herb Habdank; biskup trzyma w lewej ręce nie tylko pastorał, ale insygnia działalności misyjnej (wiosło) oraz śmierci męczeńskiej (włóczęnia). Prawą dłonią błogosławi Gasztołdowi. W tym miejscu Modlitewnik opowiada o swej genezie. Szaty Świętego łamią się w sposób nieco „ostry”, jak w rzeźbach czy malarstwie gotyckim; renesans wygładzi tkaniny, rozluźni draperie, pogłębi perspektywę obrazu, dając iluzję przestrzeni. Wizerunki z Modlitewnika rozgrywają się, by tak rzec, w planie niemal płaskim, autor ilustracji nie wykorzystuje perspektywy geometrycznej, bo jej po prostu nie opanował w sposób należyty.

Druga z krótkich modlitw kierowana jest do *Św. Mikołaja*, również biskupa. Tutaj tło zostało całkowicie spłaszczone, zniknął odległy, górski krajobraz. Dobroczynca ubogich trzyma w ręku księgę mniej więcej takiego formatu jak Modlitewnik Gasztołda i nawet podobnej grubości. Brak tylko okuć srebrnych — w oryginalnym kodeksie na jednej klamrze Ewa, na drugiej Adam. Brak też reliefów, rozmieszczonych w rogach książki i pośrodku, a sprawiających, że tkanina oprawy chroniona jest przed zbyt prędkim wytarciem, ponieważ kodeks opiera się na wypukłościach metalu. Kult św. Mikołaja żywy był w Polsce południowej i wschodniej, jeszcze bardziej na Rusi, im bliżej Bizancjum, tym więcej wizerunków biskupa. Na tabliczce wezwanie: „*Sancte Nicolae, ora pro nobis*”. Jeszcze głośniejsze upraszał o to Kościół unicki i prawosławny, w których Mikołaj należy do czołowych świętych; jako taki uwieczniony jest na tysiącach ikon. Wizerunek w Modlitewniku pozostaje jednak całkowicie pod wpływem Zachodu. Ten święty okazuje się wspólnym filarem chrześcijań-

stwa orientального i okcydentalnego. Poza tym nieustającą nadzieją wszystkich dzieci.

Różaniec, jako ulubiona modlitwa wieków średnich, sygnalizowany jest w ikonografii wizerunkiem koronki. Widzimy to na ilustracji *Anna Samotrzeń*, gdzie mały Jezus bawi się czarnymi koralikami, nawleczonymi na nić. Jedną nóżką chłopiec wspiera się o kolano Matki, drugą sięga ku babce, która podtrzymuje brykającego, zdaje się, malca. Oprócz trójcy w ułożeniu horyzontalnym (Maryja-Jezus-Anna) pojawia się tu Trójca w osi wertykalnej: Bóg Ojciec, Duch Święty w postaci unoszącej się gołębicę, wreszcie Jezus. Obie osi krzyżują się tak, jak ramiona w krucyfiksie Chrystusowym. Punktem centralnym pozostaje Dzieciątko, jako węzeł w historii zbawienia. Draperia, obejmująca wszystkie Osoby, a także widnokrąg, z górami w tle, to znak Opatrzności, czuwającej nad biegiem wszystkich spraw świata. Aureole oznaczają tu, jak wszędzie, szczególnie błogosławieństwa boskie. W ramce ornamentu raz jeszcze powraca herb Habsburgów, jakby fundator czuł potrzebę podkreślenia swej — skądinąd przecież widocznej — obecności. W tekście czytamy „Modlitwę ku św. Annie”.

Popularna w średniowieczu *św. Barbara* zmarła śmiercią męczeńską, o czym przypomina tu gałązka palmy, którą Chrystus wieńczy swych wybrańców, zapewne też korona, jako „wieniec” zwycięstwa nad własną słabością. W tle widoczna wieża z inskrypcją „INRI”, dyskretnie unaoczniająca okoliczności zgonu *św. Barbary* i także to, że poniosła ona śmierć dla Ukrzyżowanego (ten sam napis, co na krucyfiksie). Tło obrazu jakby nie wykończony, w połowie „dosztukowane” draperią; często spotykamy w gotyku. Lewą dłoń *św. Barbary* podtrzymuje kielich mszalny, a właściwie Eucharystię pod obiema postaciami, czyli to, co w doczesnym życiu świętego jest najważniejsze. Widoczny także Oplątek, na którym spoczywa wzrok *Barbary*. Szata układa się sztywno, jakby była rzeźbiona w drewnie, a nie fałdowana w miękkim włóknie. *Św. Barbara* miała ogromną nadzieję, może nawet pewnością, życia wiecznego, przyobiecawanego chrześcijanom w Komunii.

Do równie czczonych należała w średniowieczu *św. Katarzyna*, ku której modlono się często; jeden z takich krótkich tekstów można znaleźć i w *Modlitewniku Gasztołda*. Symbolami śmierci męczeńskiej są tu: niedbale położony miecz, jakby na parapecie okiennym, czerwien baldachimu oraz obręcz koła. W odróżnieniu od stojącej *Barbary*, *Katarzyna* siedzi, wpatrując się w otwartą księgę, może nawet tak barwną, jak *Modlitewnik*.

Kult *św. Krzysztofa*, ożywiany przez legendę średniowieczną, stanowi dla nas dziś pewną osobliwość. Ilustracja przedstawia potężnego mężczyznę, trzymającego na barkach Dzieciątka (stąd

poszło imię: „niosący Chrystusa”, rozpowszechnione w Europie w wersji łacińskiej). O sile przenośnika (czy tragarza?) świadczą nie tylko potężne nogi, wyłaniające się spod szaty, lecz także dłonie obejmujące drzewce, a nade wszystko — rozmiar „laski”, wyglądającej jak kilkuletni klon czy dąb.

Ani jeden z modlitewników wymalowanych w pracowni *Stanisława Samostrzelnika* nie zachował się w Polsce: część przepadła zapewne w czasie „potopu” szwedzkiego w XVII wieku, część zniszczyły późniejsze wojny i towarzyszący im bezwzględny rabunek. Trzy kodeksy *Samostrzelnika* przechowywane są w bibliotekach zachodnich: *British Museum*, *Oxfordu* i *Mediolanu*.

Pomiędzy kartami delikatnego pergaminu, zwanego *vellum*, szeleszczą wciąż narzędzia pracowitych i bogobojnych rzemieślników. Każdy kodeks rękopiśmienny jest świadectwem czyjejś, zwykle anonimowej, wytrwałości i wiary w zbawczą moc słowa. Od czasu, gdy zaczęto się drukować książki, pomnożyły się egzemplarze, lecz jakby zmalała uwaga czytelnika i szacunek dla pisma.

Stopniowo modlitewnik stał się nie przedmiotem najpotrzebniejszym, codziennego użycia, lecz obiektem muzealnym, oglądanym przez chwilę — człowiek oświecony musi przecież tyle w życiu poznać, posmakować, użyć. Tylko w polskiej kulturze ludowej jeszcze dziś „książka do nabożeństwa” służy z pokolenia na pokolenie. Pod skórzanymi okładkami kryją się karty co prawda już drukowane i nie tak zdobne jak przed wiekami, ale ze śladów zużycia wnioskować można o systematyczności modlitwy.

Mogiła cystersów pozostała wsią do końca drugiej wojny światowej. Wieśniacy uprawiali łąny, uważane za ogród i spichlerz *Krakowa*. Czerpano bez ograniczeń z czystej Wisły, oddychano powietrzem przywiewanym od gór, pod niebem łaskawym, zraszającym zasiewy. Dopiero w 1949 roku rozpoczęto w pobliżu klasztoru *mogilskiego* prace budowlane o gigantycznym rozmachu. Pod uderzeniami toporów padły sędziwe drzewa, rosnące wzdłuż miedz, na granicach pól i pastwisk. Buldożery zrywały czarnoziem, ryjąc rowy pod fundamenty kombinatu metalurgicznego. Nikogo, poza miejscowymi gospodarzami, nie wzruszał obraz apokaliptycznych zniszczeń.

Partia postanowiła, że w mieście *Nowa Huta* nigdy nie stanie kościół. Miało być to miasto realnego socjalizmu: bez krzyża, głosu dzwonów, święconej wody, kadzidła, klechów i wszelkiego podobnego zabobonu. Klasztoru *mogilskiego* nie dało się jednak usunąć, choć i o tym zapewne myśleli moskiewscy cywilizatorzy, niszczący w Rosji tysiące cerkwi, sanktuariów, kaplic. Tak więc budowano miasto w zasięgu sakralnego promieniowania. Cystersi mogli teraz objąć opieką duszpasterską wielką zbiorowość, którą nagle obrósł klasztor. Przed zakonem *Opatrzność* postawiła

nowe zadania — już nie na polu agronomii, lecz uprawy dusz ludzkich.

Ideolodzy partyjni nie spodziewali się oporu ze strony proletariatu. Tymczasem z początkiem lat 60-tych zaczęto w Nowej Hucie walczyć o zachowanie przydrożnego krzyża i budowę kościoła. Zmagania trwały wiele lat, ich opisanie dałoby materiał do sensacyjnej powieści. Faktem jest, że dziś dzielnica proletariacka ma cztery ogromne, nowo wybudowane świątynie. W okresie „Solidarności” działała tu bodaj najsilniejsza w Polsce południowej organizacja wolnych związków zawodowych i prężne wydawnictwo „Krzyż Nowohucki”. Po ogłoszeniu stanu wojennego tu właśnie demonstrowano przeciwko przemocy policyjnej, padli zabici, dziesiątki ludzi zraniono i pobito. Społeczność czi pamięć męczenników na cotygodniowej mszy „Solidarności”. Istnieje nadal podziemna organizacja związkowa, walki o wolność nie poniechano.

Kombinat im. Lenina, zajmujący obszar kilku kilometrów kwadratowych, przyczynia się do śmierci ekologicznej Krakowa — jednego z najlepiej zachowanych, średniowiecznych jeszcze miast Europy. Wisłę uważają specjaliści za najbardziej zatrutą rzekę naszego kontynentu. Skażenie powietrza wielokrotnie przekracza wszelkie, najbardziej tolerancyjne normy. Przeciętą wieku w Krakowie uległa skróceniu co najmniej o 10-15 lat w stosunku do średniej krajowej.

Gdy dzisiaj czytamy Modlitewnik Gasztołda, odkrywamy w tej księdze istotną, jakby poniechaną przez późniejsze pokolenia propozycję rozwoju cywilizacyjnego: nie naruszać ziemi, ponieważ ona obdarza człowieka żywnością i zdrowiem; nie naruszać przyrody, ponieważ zdobi ona świat, a przedłuża ludzki żywot, broniąc przed goryczą niechcianej samotności, przed wykorzenieniem.

Dzisiaj tłem klasztoru w Mogile są dziesiątki kominów i wielkie piece hutnicze. Dźwięk dzwonu ginie w powietrzu gęstym od pyłów. Człowiek pozostał pielgrzymem, ale wędruje przez ziemię brudną, zatrutą, zniechęcającą serce. Jeżeli nasze pokolenie chce ocaleć, winno zawrócić do źródła, bo w nim tylko obiecane oczyszczenie. Będzie to praca wielokrotnie trudniejsza, niż nieopamiętane wznoszenie przemysłu i bezsensowna, komunistyczna gigantomania. Pierwszy krok polega na tym, żeby przemyśleć — na miarę przyspieszonego czasu — „wsyćki żywot Pana naszego Jezu Krysta”.

Józef Wojciech GADOMSKI

Monachium, 10-22 lutego 1987

Archiwum polityczne

Studenci a przyszłość chińskiej reformy

Widzowie telewizji zachodnich mogli w grudniu ub. roku oglądać zadziwiające sceny z Pekinu: nocne demonstracje studenckie na Placu Brama Niebiańskiego Spokoju. Czwarta rano. Flesze kamerzystów wydobywają z ciemności biegący tłum studentów i nieruchome kordony milicjantów. Puste jeszcze ulice i nierealna sceneria tego największego chyba placu świata. Nikt właściwie wtedy nie zdawał sobie sprawy z wagi wydarzeń w Pekinie, a specjaliści biedzili się, szukając wytłumaczenia mało zrozumiałych wydarzeń. Prasa zachodnia gubiła się w domysłach, jeszcze mniej można było dowiedzieć się z prasy krajów „realnego socjalizmu”. Nawet obecnie, gdy widoczne są skutki i gdy dokonują się istotne zmiany polityczne, wzbogacone informacjami i przeciekami „z kół poinformowanych”, spotyka się krańcowo odmienne interpretacje wydarzeń politycznych w Pekinie. Najbardziej zgubny wydaje się często spotykany czarno-biały schemat: „źli” twardogłowi konserwatyści i „dobrzy” liberalni reformatorzy. Deng Xiao-ping (Teng Siao-ping) został uznany za reformatora, a zatem za „liberała”, podobnie jak przedtem Gierk, a obecnie Gorbaczow, więc wielu zachodnich obserwatorów nie jest w stanie zrozumieć, że ktokolwiek w krajach przez nich rządzonych (poza twardogłowymi doktrynerami i zupełnymi demokratycznymi utopistami) może wyrażać niezadowolenie, a już szczególnie masy, które powinny się cieszyć z dokonywanej liberalizacji jak z manny niebieskiej.

Rzeczywistość jest o wiele bardziej skomplikowana.

Grupa przywódców, którzy doszli do władzy po śmierci Mao, była od początku niejednorodna. Łączyła ich wspólna przeszłość wojen rewolucyjnych toczonych przez KPCh i działalności w partii, a także prześladowania w okresie rewolucji kulturalnej. Dla

tego dość solidarnie rozgromili grupę maoistowskich dogmatyków, swych byłych prześladowców, i odrzucili dużą część dziedzictwa Mao, wobec którego już wcześniej byli krytyczni. Niejednakoowy jednak był ich krytycyzm i koncepcje socjalizmu w Chinach. Sytuacja polityczna w kraju była nader trudna, partia utraciła w znacznym stopniu swój prestiż społeczny i zaufanie, którym cieszyła się przez lata, nawet jej ideologia straciła dawną atrakcyjność. Inaczej niż w Polsce, gdzie zawsze w odwodzie pozostaje „bratnia internacjonalistyczna pomoc”, gwarancja dla istniejącej struktury władzy, w Chinach musi ona znajdować wystarczające oparcie we własnym społeczeństwie. Po rewolucji kulturalnej i okresie dyktatury wojskowej nie udało się w pełni odbudować władzy partii i istniały obawy, iż niezadowolenie społeczne może przerodzić się w niekontrolowany wybuch. Dodatkowym czynnikiem było ogromne zacofanie Chin: chcąc utrzymać swój status wielkiego mocarstwa, musiały one rozwijać się gospodarczo. Polityka oparta na maoistowskich dogmatach rozwój taki uniemożliwiała. Reformy były więc konieczne i uznawali to wszyscy. Ich kierunek, tempo i wizja modelu docelowego widziane jednak były rozmaicie.

Sprzecznosci polityczne w kraju i tarcia w grupie rządzącej zastrzyły się w 1985, a jeszcze bardziej w 1986 roku. Związane one były z niezbędnym przejściem do drugiego etapu reformy, a zatem ze ściślejszym określeniem jej celów i zasięgu, i z koniecznością objęcia nią miast i przemysłu, wysp systemu rozdzielczo-nakazowego w morzu urynkowanej gospodarki chłopskiej i kolektywnej albo prywatnej przedsiębiorczości, rozwijającej się już autonomicznie. Drugi etap reformy był konieczny, gdyż rynek wkroczył do miast, determinował w dużym stopniu ceny artykułów żywnościowych, zaopatrzenie przemysłu lekkiego, spożywcze, a nawet możliwości eksportowe. Nie można było utrzymywać sytuacji, w której ceny żywności rosły, a płace pracowników pozostawały w zasadzie niezmienione, określane przez mechanizmy niewydajnej gospodarki nakazowej.

Do tego dołączało się rosnące niezadowolenie różnych grup społecznych i konfliktów między regionami. Reforma gospodarcza zdynamizowała rozwój prowincji pasa nadmorskiego i południa, podczas gdy prowincje wewnętrzne pozostawały daleko w tyle. Bez znacznej pomocy państwa ich opóźnienie gospodarcze musiało się pogłębiać, a państwo i jego władze centralne traciły w nowych warunkach reformy możliwości takiej daleko idącej interwencji i środki finansowe: bogaci mieli się jeszcze bardziej bogacić, a biedni mieli być jeszcze biedniejsi. Zastosowane środki typu współpracy między prowincjami biedniejszymi i bogatszymi były tylko paliatywem. Dodać trzeba, że prowincje wybrzeża, szczególnie południa, miały wiekowe, datujące się od średniowie-

cza tradycje prywatnej przedsiębiorczości i przemysłu drobnego i nawet maoizm nie był w stanie żywiołu tego całkowicie zlikwidować. Tak uformował się dramatyczny podział kraju na biedny, zacofany zachód i szybko rozwijający się wschód. Bez wielkiego państwowego programu budowy kolei, dróg, inwestycji i pożyczek zdynamizowanie zachodu było niemożliwe. To zaś pociągało za sobą różne zdania co do roli władz centralnych i mechanizmów rynkowych w skali całego kraju i musiało doprowadzić do kontrowersji w najwyższym kierownictwie.

Do tego dołączał się niebagatelny czynnik narodowy. Tere-ny zachodnie są zamieszkałe przez wiele grup etnicznych słabo zintegrowanych z Chińczykami. Największą z nich są Ujgurzy (ponad sześć milionów) zamieszkujący głównie prowincję Xinjiang (w starej pisowni Sinkiang). W skali całych Chin mniejszości narodowe — około 6 % ludności — zamieszkują około 60 % powierzchni kraju, głównie terytoria przygraniczne, ważne z punktu widzenia strategicznego i obronnego, gdzie ruch secesyjny byłby tragedią dla kraju. Najwięcej trosk przysparzają narodowości wyznające islam. W ramach nowej polityki wobec religii i mniejszości narodowych, wobec kultur narodowych, których rozwój jest obecnie dozwolony, doszło do gwałtownego zaostrzenia konfliktów etnicznych. Z jednej strony wiele mniejszości narodowych coraz śmielej manifestuje swoją odrębność, z drugiej wśród Chińczyków przybierają na sile tendencje nacjonalistyczne. W tej sytuacji dalsza kolonizacja chińska rejonów zachodnich wydaje się niezbędną, ich zacofanie jednak nieuchronnie ją hamuje. Zacofanie i bieda mogą stać się przyczyną ruchów secesjonistycznych, chociaż wcale nie jest pewne, czy rozwój gospodarczy je powstrzyma. Dylemat właściwie bez wyjścia. Krytycy obecnych reform dramatyzują sytuację i wieszczą załamanie się państwowości chińskiej, rozpad państwa. Ostrości temu przydają narastające w ramach decentralizacji tendencje separatystyczne poszczególnych prowincji, będących zwykle także wspólnotami historyczno-kulturowymi, z własnym językiem mówionym, kulturą i tradycjami, teraz pieczołowicie rozwijanymi. Świat wygląda całkowicie inaczej z perspektywy prowincji Guandong, sąsiadującej z Hong Kongiem i Makao, powiązanej z milionową emigracją chińską, bogatej, zawsze skłonnej do rebelii wobec władz centralnych, chciwie chłonącej nowinki zagraniczne, niż z owianej syberyjskimi wiatrami prowincji Gansu, pół pustynnej, górzystej, biednej, gdzie nie ma bujnej tropikalnej roślinności i gdzie zbiera się z mizernych poletek jeden, a nie trzy plony rocznie.

Likwidacja maoistowskiego systemu egalitarnego, w którym za wszystko odpowiadało państwo (choć nie było ono w stanie spełnić obietnic skromnego dostatku) spowodowała gwałtowne

narastanie różnic między prowincjami, powiatami nawet, między miastem i wsią, między różnymi grupami społecznymi. Stopa życiowa wprawdzie podwyższa się, i to szybko, ale bardzo nierównomiernie. Rosną zawrotne fortuny obrotnych przedsiębiorców, rolników, którzy umieją dostosować się do wymagań rynku, mają warunki do uprawy warzyw czy owoców, gospodarzą w pobliżu drogi i zdobywają samochód, inni zaś klepią biedę albo z trudem składają pieniądze na telewizor. Bywają i sytuacje tragiczne: system opieki społecznej był związany z dawnymi komunami wiejskimi i z fabrykami wielofunkcyjnymi, które organizowały życie wszystkich zatrudnionych, a nawet ich dzieci. Teraz bywa, że inwalida wojenny bez środków do życia musi żebrac na ulicy. System emerytur i rent należy dopiero stworzyć. Stare struktury organizacyjne rozsypały się albo nie funkcjonują należycie, a nowe dopiero się rodzą. Dotyczy to również szkolnictwa, służby zdrowia itd. Administracja państwowa szczerbła lokalnego (poza miastami) właściwie nie istniała. Tworzy się ją od dwu lat, w jednych regionach skutecznie, w innych opornie. Poprzednio egzystencja (poza okresami klęsk) była gwarantowana przez państwo, teraz każdy musi dbać o siebie sam. Tak radykalny przełom społeczno-gospodarczy musi powodować konflikty i niezadowolenie wielu grup społecznych, nawet tych, które skądinąd zyskały na reformach, chciałyby jednak mieć nowe możliwości zachowując dawne przywileje, co jest oczywiście niemożliwe.

Lata gospodarki nakazowo-rozdzielczej i propagandy egalitaryzmu zmieniły mentalność, która z trudem dostosowuje się do nowych wymogów. Oto jeden z przykładów, który obiegił prasę chińską. W fabryce farmaceutycznej w Szanghaju jeden z robotników od lat próbował zainicjować zmiany organizacji pracy na linii produkcyjnej, gdzie był zatrudniony. Jego propozycjami nikt się jednak nie przejmował i wszystko pozostawało po staremu. Teraz, wraz z wprowadzaniem nowych mechanizmów gospodarczych, dyrekcja zainteresowała się tym i podpisano z nim rodzaj umowy agencyjnej, oddając mu tę linię do dyspozycji. Pół procenta przyrostu zysków miało być jego wynagrodzeniem agencyjnym. Zamiast dawniej zatrudnionych 14 osób, całą linię obsługiwać zaczął sam z żoną. Produkcja wzrosła kilkakrotnie, przy kilkakrotnym zmniejszeniu zużywanych surowców. Ten sukces stał się jego osobistą klęską, gdy zaczął otrzymywać przy wypłacie tysiące yuanów zamiast dawnych stu. Wszyscy zaczęli patrzeć na niego wilkiem, zerwały się kontakty z kolegami. Inżynierowie i technicy z innych linii zaczęli mu robić rozmaite trudności. Załamany człowiek zwrócił się do dyrektora z prośbą o anulowanie umowy: chciał utrzymać jedynie nową organizację pracy, a wrócić do dawnej płacy. Dyrektor stwierdził, że to jest

niemożliwe. Obecnie obowiązuje prawo, które wiąże tak jego jak fabrykę. Może swe pieniądze oddawać na cele społeczne, ale fabryka musi mu je wypłacać. Dobrze nam znany przykład „polskiego piekła”, tyle że w Szanghaju. Nawet ten, który najbardziej zyskał nie może cieszyć się sukcesem.

Protesty społeczne dotyczyły właśnie owych rozmaitych nierówności, „niesprawiedliwie” wysokich dochodów ludzi, którzy nagle stali się „bogaczami”, drożyzny artykułów żywnościowych nie kompensowanej dostatecznie przyrostem płac (oficjalny wskaźnik inflacji 6 %, w samym Pekinie oceniano ją jednak w 1986 roku na około 20 %), szerzącej się korupcji, przestępczości, upadku obyczajów, egoizmu i brutalnej pogoni za pieniędzmi. Zjawiska te związane są po części z załamaniem się dawnego systemu autorytarnego, ideologii i systemu wartości, z dezintegracją społeczną i upadkiem tradycyjnych wzorców kulturowych, ale w świadomości powszechnej uchodzą za konsekwencję reformy gospodarczej.

To, czego Mao nie zdołał osiągnąć przez rewolucję kulturalną — likwidacji dawnej obyczajowości, mentalności i „feudalnej kultury” — paradoksalnie stało się rzeczywistością pod rządami jego „liberalnych” następców, którzy wręcz lansują szacunek dla tradycji. Przykładem, bodajże najjaskrawszym, jest utworzenie państwowego Instytutu Studiów Konfucjańskich, który ma propagować dawne wartości i dziedzictwo wielkiego filozofa. Polityka ograniczania przyrostu naturalnego, choć nie całkiem skuteczna, prowadzi do przeobrażenia rodziny. Zamiast dawnej wielodzietnej i wielopokoleniowej rodziny — ostoi wartości konfucjańskich i orientacji kolektywistycznej — upowszechnia się nowa, z jednym dzieckiem, otaczanym wręcz chorobliwą troską rodziców. Dziesiątki tysięcy studentów ruszyły na naukę za granicę, inni do pracy w różnych krajach, legalnie i nielegalnie. Młodzież chce słuchać wyłącznie nowej muzyki z Hong Kongu albo Tajwanu, ewentualnie muzyki zachodniej. Sale teatralne z przedstawieniami sztuk zachodnich są pełne, z tradycyjną operą pekińską, szansijską, itp. świecą pustkami, frekwencję ratują cudzoziemscy turyści. Znani historycy czy filozofowie, którzy mogą wreszcie badać i wykladać dzieje kultury chińskiej z trudem znajdują studentów czy asystentów, tłumy natomiast zapisują się na anglistykę, informatykę itp. Intelktualiści z przerażeniem zadają pytanie: czy jesteśmy ostatnim pokoleniem Chińczyków, którzy żyją w Chinach? Czy po nas nikt już nie będzie w stanie rozkoszować się urodą klasycznej poezji i smakiem dawnej kultury? Dokąd zmierzają Chiny? Czy udziałem naszym ma być pełna „wester-nizacja”?

Najbardziej dramatycznie przedstawia się jednak sytuacja chińskiej nomenklatury, zwanej „kadra” (*ganbu*), wyróżniającej się

nawet ubiorem i będącej główną siłą polityczną. Reformy bardzo ograniczyły jej władzę. Upadł dawny prestiż społeczny. Radykalny ruch studencki rozwijający się od kilku lat żąda likwidacji jej wszystkich przywilejów i demokratyzacji systemu. Traci ona dawną władzę nad „miską ryżu”, a zarazem wciąż jeszcze jest ostoją władzy. Nic dziwnego, że realna perspektywa zasadniczych przeobrażeń politycznych i kontynuacji reform gospodarczych jest odbierana w kręgach aparatu jako likwidacja władzy partii i „likwidacja socjalizmu w Chinach”. Reformy doszły do punktu, w którym musiał się dokonać wybór: czy będą one pogłębiane i rozwijane z nieuniknionymi dalszymi konsekwencjami politycznymi, czy zostaną jakoś zahamowane i aparat partyjno-państwowy zachowa swą władzę nawet przy przesunięciu wielu praktycznych decyzji z organów partyjnych do administracyjnych.

Ten dylemat wyznaczył linię podziału w kierownictwie. Sekretarz generalny partii, Hu Yaobang, forsował reformy polityczne jako niezbędny element reform gospodarczych, napotykał narastający opór aparatu. W tej sytuacji, jak to niegdyś robił Mao, zaczął się odwoływać do sił poza partią, wspierać rozwój rozmaitych ruchów społecznych, aktywność innych tzw. demokratycznych partii, istniejących poprzednio raczej *de nomine* niż *de facto*, które nazwał niezbędnym pomocnikiem partii, chroniącym ją przed oderwaniem się od mas. W 1986 roku powiedział, że „marksizm-leninizm nie może rozwiązać problemów Chin”, co później skorygowano w prasie dodając słowo „wszystkich”. W jednej z rozmów z amerykańskimi dziennikarzami zadeklarował, że socjalizm nie rozwiązał dotychczas dwu problemów: wydajności pracy i efektywności produkcji, a także demokracji i udziału mas w zarządzaniu krajem. Zatem te dwie sfery wymagają radykalnych działań. Było to stanowczo zbyt radykalne stanowisko dla aparatu i dla wojskowych, którzy już od jakiegoś czasu manifestowali swój brak zaufania do Hu. Szczególnie przywódcy ze starego, odchodzącego już pokolenia Mao, zajmujący kluczowe stanowiska i mający wciąż jeszcze dominujące wpływy wyrażali swoje niezadowolenie i obawy. Kurs generalnego sekretarza uważali za zbyt radykalny i ryzykancki, prowadzący Chiny na drogę „restauracji kapitalizmu”. Popierało ich wielu działaczy młodszych, przejmujących władzę pokolenia sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatków. Uzasadnienia ideologiczne używane przez nich mogą być, oczywiście, oceniane rozmaicie, ale faktem jest, że tempo przemian zagroziło stabilności politycznej Chin, a sztuka polityki polega na osiągnięciu tego, co jest realne. Hu Yaobang zapewne przecenił siłę ugrupowań reformatorskich i ich wpływy w społeczeństwie. Jego los został właściwie przesądzony w momencie, gdy rozmaite ugrupowania w kierownictwie połączyły się w zgodnej opozycji wobec niego, tworząc coraz szerszy

front. Deng Xiaoping wciąż nie zajmował jednoznacznego stanowiska i próbował łagodzić konflikt.

W tej sytuacji zaczęły się w listopadzie demonstracje studenckie. W grudniu studenci wyszli na ulice wszystkich właściwie wielkich miast z jednym głównym żądaniem: demokratyzacji. Do tego dołączyły się później żądania wolności słowa i druku, sprostowania niesłusznych oskarżeń wobec studentów itp. Możliwe, że w różnych miastach protesty zaczynały się — jak to zwykle bywa — od jakichś kwestii lokalnych. Najistotniejsze jest, że przerodziły się one w masowy ruch. Postawa władz centralnych była niejednoznaczna, lokalnych — rozmaita, od akcji milicji i rozpędzania demonstrantów do wożenia ich państwowymi autobusami na miejsce planowanych demonstracji. Mogły być one inspirowane i manipulowane zarówno przez radykalnych zwolenników reform, chcących zademonstrować poparcie społeczne dla nich, wyrzucić nacisk na kierownictwo, jak i przez zwolenników orientacji zachowawczych, pragnących tymi demonstracjami wystraszyć do reszty aparat, zmusić wahających się do opowiedzenia się po ich stronie. Ruch był jednak z pewnością autentyczny i jego uczestnicy w większości wypadków wcale nie byli pewni konsekwencji swojego w nim uczestnictwa. Wiedzieli, że ryzykują dalszym biegiem swego życia, choć już nie nim samym. Zapewne wszystkie ugrupowania w kierownictwie oczekiwały na rozwój wypadków. Masowy rozwój ruchu, przyłączenie się do niego ludności miast i robotników mogło jeszcze, być może, uratować radykalnych reformatorów. Tak się jednak nie stało. Ludność obserwowała ruch z sympatią, ale nie przyłączała się do demonstracji. Jedynie sporadycznie włączali się doń młodzi robotnicy lub osoby starsze. Pozostał on do końca ruchem tylko studenckim. To przesądziło o jego losach i o losach reformy.

Usiłowania — uwieńczone sukcesem — odbicia demonstracji także na placu Bramy Niebiańskiego Spokoju były już tylko walką o symbole, zawsze ważne w życiu politycznym. Plac ten jest swoistym „sercem Chin”. Jak ujął to pewien Chińczyk, „wystarczy kichnąć na tym placu, aby stało się to wydarzeniem politycznym”. Na jego stronie północnej znajduje się słynna Brama Niebiańskiego Spokoju — główne wejście do byłego pałacu cesarskiego, siedziby władcy rodzaju ludzkiego, podtrzymującego ludzką, moralną kondycję naszego bytu i ład kosmiczny, naturalny cykl życia i umierania, pana także wszystkich duchów zamieszkujących ziemię i ubóstwionych postaci z niebiańskich przestworzy. To z niej właśnie zebrany urzędnikom z pobliskich urzędów przekazywano edykty cesarskie; w dymach kadzidła opuszczał się z bramy złocisty żuraw z rulonem w dziobie. Teraz po wschodniej stronie jest Muzeum Historii, która w Chinach jest na poły religią i ideologią państwa, łączącą realia z transcendencją

jak Biblia dzieje narodu żydowskiego z przesłaniem Bożym. Po stronie zachodniej jest gmach parlamentu, niejako ucieleśnienie państwowości chińskiej — jedyny gmach państwowy powszechnie znany, z największą w Pekinie salą, gdzie odbywają się wszystkie wielkie kongresy i zjazdy. W centrum placu zbudowano pomnik bohaterom, którzy oddali życie za wyzwolenie Chin z półkolonialnej niewoli, od lat główne miejsce kultu Zhou Enlaja (Czou En-laja), głównego w dzisiejszym panteonie konkurenta Mao. Za nim zbudowano mauzoleum Mao, przekształcone obecnie w muzeum przywódców ChRL. Na jego południowym krańcu znajduje się główna brama Pekinu, dawnej stolicy cesarstwa i świata.

Jeszcze w 1948 roku prasa rządowa pouczała ludność, że przechodząc obok Bramy Niebiańskiego Spokoju, przyjętej za godło państwowe ChRL, nie trzeba przyklekać i bić pokłonów do ziemi.

To tu właśnie demonstracje studenckie zainicjowały Ruch 4 Maja (1919 r.), który otworzył nową erę w dziejach kultury chińskiej, jej etap nowożytny. Tu Mao ogłosił z Bramy odrodzenie się Chin i utworzenie ChRL, tu przyjmował przez lata wielomilionowe pochody, tu ogłosił początek rewolucji kulturalnej, mającej przeobrazić świat. I tu w kwietniu 1976 roku odbyły się wielkie wielodniowe manifestacje ludności, opłacone daniną krwi, które zakończyły erę maoizmu. Plac ten jest koncentracją i uosobieniem chińskości, łączy codzienność kraju z transcendencją historii.

Właśnie dlatego nowe demonstracje studenckie, by uzyskać wymiar historyczny, rezonans społeczny i wymiar mitu, musiały odbyć się na tym placu. On był ich „przepustką do historii”. I z całą pewnością do historii weszły. Synowie dzisiejszych studentów będą z czcią oglądać to miejsce protestu ich ojców, choć bezpośrednie efekty okazały się sprzeczne z ich szczytnymi ideałami. Była to, w gruncie rzeczy, pierwsza w historii Chin manifestacja w imię abstrakcyjnej idei: demokracji. Wszystkie poprzednie ruchy i demonstracje były powiązane z konkretnymi ludźmi; popierano jakieś osoby lub protestowano przeciwko nim, pośrednio wyrażając w ten sposób opcje ideologiczne. W tradycji chińskiej brak znanej nam z Europy walki o zasady. Ta była pierwszą.

Miała ona oczywiście pewne konkretne podteksty. Był to krytyczny i żywiołowy apel do Denga, aby poparł reformy, by nie dreptał z nimi w miejscu, by ich nie hamował. Ponadto na wiosnę zapowiedziano wybory do lokalnych rad narodowych: sposób ich przeprowadzenia wywołał zażarte dyskusje. Dość powszechnie rozlegały się głosy krytyki dotychczasowego systemu „wyborów bez wyboru”, gdy głosujący mogą tylko wkładać do urny kartkę z jedyną listą daną przez partię. Żądano prawa

do wysuwania kandydatów przez ludność i do wybierania najlepszych spośród nich. Tak więc studenci nie całkiem abstrakcyjnie żądali demokracji, chodziło im o nadchodzące wybory i o wciąż zapowiadane i wciąż odkładane reformy instytucji politycznych, likwidację przywilejów „kadry”.

Deng Xiaoping uznał za konieczne wycofanie swego poparcia dla sekretarza generalnego. Zwołał rozszerzone posiedzenie Biura Politycznego, na którym poza jego 14 członkami było obecnych 17 innych osób, w większości wiekowych weteranów partii. W tym gronie Hu Yaobang nie miał szans się obronić, mógł tylko złożyć samokrytykę i ustąpić.

Deng Xiaoping, pełniący rolę najwyższego arbitra, nie poparł jednak jednoznacznie grupy zachowawczej. Urząd sekretarza generalnego powierzono tymczasowo premierowi, Zhao Ziyangowi (Czao Cy-yang), należącemu do grupy reformatorów, bojkotowanemu od dawna przez konserwatystów. Były sekretarz generalny pozostał w składzie Biura.

Dalsze decyzje także nie były i nie są jednoznaczne. Reformatorzy nie zostali wyeliminowani z władz, choć muszą się teraz bardziej liczyć z oporem sił zachowawczych i z interesami aparatu. Z drugiej jednak strony całe kierownictwo — w tym i orientacja zachowawcza, akceptująca tylko częściowe i ograniczone reformy — musi się liczyć z nastrojami społeczeństwa, które nie poparłoby zaniechania reform. Dlatego sytuacja jest skomplikowana i płynna.

Oto kilka przykładów. Po odsunięciu Hu Yaobanga ogłoszono kampanię walki z „burżuazyjnymi wpływami”, pod które podciągnięto studenckie żądania demokracji, wszelkie nowinki ideologiczne, postawy krytyczne wobec partii i jej ideologii, zachodnie idee humanizmu i style w sztuce itp. Zapowiadały się nowe wielkie czystki i radykalne ograniczenie kontaktów z zagranicą. Okazało się jednak szybko, że zmiany personalne są ograniczone i przebiegają niezupełnie tak, jak mogli tego sobie życzyć konserwatyści. Na stanowiska odchodzących trudno było niekiedy przeformować reprezentantów linii przeciwnej. Zdarzało się, że zdymsjonowanych żegnały wielotysięczne tłumy z kwiatami i łzami. Odchodzili zostając z miejsca bohaterami wydarzeń. Próby rozwijania „ruchu krytyki”, które udawały się tak dobrze w epoce Mao, teraz w większości wypadków zawiodły. Bywało, że na kilkusetosobowym zebraniu nikt poza oficjalnym mówcą nie chciał zabrać głosu i poprzeć oficjalnego stanowiska, co zmuszało do sromotnego zamykania nieudanego zebrania. Teraz Chińczycy wiedzą, że popieranie rządu daje korzyści na krótką metę, a ludzie długo pamiętają wszystko, co się z takiej okazji rzekło, i ludzie zostają, zaś linia partii i przywódcy zmieniają się nader szybko. Gdy wskazywano imiennie najbardziej skażonych du-

chem Zachodu intelektualistów i ich najbardziej szkodliwe książki, powodowało to natychmiast gwałtowny wzrost popularności tych osób i ich dzieł. Chińczycy ujęli to w zabawny kalambur: „Im bardziej cuchnie — tym bardziej pachnie”. W tej sytuacji kontynuowanie krytyk miało się z celem.

W rezultacie pojawiły się kolejne wytyczne, ograniczające zasięg nowej kampanii. Ostatecznie postanowiono ograniczyć ją tylko do sfery intelektualistów partyjnych i utrzymać jako kampanię wewnątrzpartyjną. To miało się ponieść z celem postawionym na początku. Są jednak próby rozszerzania kampanii. Na dużą skalę prowadzi ją armia.

W początkach lutego br. ukazały się trzy rozporządzenia dotyczące przedsiębiorstw państwowych, miejsca w nich i roli organizacji partyjnych i samorządu robotniczego. Przyznają one przedsiębiorstwu samodzielność gospodarczą, ograniczają rolę partii do spraw ideologicznych, dają pełną władzę administracyjną dyrektorom. Znaczne są uprawnienia samorządu, m.in. ma on prawo wyboru dyrektora (zatwierdzanego przez organy zwierzchnie); w przypadku mianowania kandydata na dyrektora z zewnątrz mają prawo weta. Oczywiście ważna będzie praktyka, nie formalne uprawnienia, które nie zawsze są przestrzegane, jednak nawet sama formuła prawna jest istotna. Kontynuacja reform została zatem potwierdzona.

Także sprawa nadchodzących wyborów nie została przegrana. Początkowo postanowiono, że nowa demokratyczna ordynacja będzie wprowadzona eksperymentalnie w trzech wielkich miastach Chin i jednej prowincji (Pekin, Tiencin, Szanghaj i prowincja Guangdong). Dwa z tych miast są rządzone przez zwolenników dość radykalnych reform, trzecie przez konserwatystów. Zapowiada się więc rodzaj ograniczonego, ale bardzo znaczącego referendum. Ponadto dobiegają ciągle żądania, by i gdzie indziej wybory odbywały się z kandydatami wysuwanymi przez ludność. Co najciekawsze, pojawiają się też zapewnienia, że zostanie to umożliwione.

Dalszy bieg wydarzeń trudno przewidzieć, ale jest pewne, że walki polityczne wokół reform trwają, a same reformy nie zostały zaniechane, choć ich kierunek nie jest jasny, a punkt docelowy dokładnie określony.

Dodać też warto, że sprawa tego kierunku ma wymiar międzynarodowy nie tylko ze względu na rozmiar Chin i znaczenie ich doświadczeń, pierwszej wielkiej reformy „realnego socjalizmu”. Zwolennicy radykalnych reform forsują rozwój stosunków z USA, a szczególnie z Europą Zachodnią. Orientacja zachowawcza eksponuje korzyści kontaktów z Moskwą i krajami Europy Wschodniej. Prymat jednej albo drugiej tendencji ma więc

wielki wpływ na układ sił w świecie. Forsowany od lata 1986 kurs zbliżenia z Europą ma, być może, charakter kompromisowy i zdaje się wiązać z tendencją neutralistyczną. Każda z opcji w polityce zagranicznej ma swe implikacje dla świata i dla rozwoju sytuacji w Chinach.

Zaczynanie lata reform zimą okazało się zapewne przedwczesne, ale pekińska wiosna trwa nadal, a dni przymrozków przeplatają się z dniami odwilży i słońca.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

Widziane z Brukseli

ABDALLAH — SŁUGA BOŻY

„Demokracja kończy się tam, gdzie zaczyna się racja stanu”

Charles Pasqua, francuski minister spraw wewnętrznych.

„Jedna wielka niesprawiedliwość jest lepsza niż małe rozruchy”.

Goethe, poeta niemiecki.

Sobota, 30 marca 1985 roku, willa w Algierze, wieczór w ogrodzie, cisza, pozorne *dolce far niente*, stół, na którym rozmaite drinki, przeważnie niezgodne z przepisami koranu. Dwóch mężczyzn rozmawia półszeptem. Francuz, Yves Bonnet, dyrektor DST, Dyrekcji Ochrony Terytorium, czyli kontrwywiadu francuskiego i Algierczyk Lakmal Ayata, generał, szef II oddziału algierskiego sztabu generalnego. Tak zaczęła się historia, która trzęsła Francją przez dwa lata. I wcale nie wykluczone, że trząść będzie jeszcze. W oku cyklonu jeden człowiek. Nazywa się, w pisowni francuskiej, George Ibrahim Abdallah. Rozmowa w ogrodzie dotyczy jego losu: chodzi o wymianę Abdallaha, „przebywającego” wówczas w więzieniu w Lyonie na Gilles Sidney'a Peyrolles, porwanego kilka dni przedtem, 23 marca, w Bejrucie.

Kim są ci dwaj dzentelmeni? Najpierw Peyrolles, bo o nim natychmiast będziemy mogli zapomnieć. Jest to młody dyplomata francuski, przed porwaniem akredytowany był w Libanie, teraz jest na placówce w Szkocji. Ważny detal: Peyrolles nazywa się w istocie Perrault, jest synem pisarza (tego co napisał m.in. „Czerwona Orkiestra”), który — co jest jeszcze ważniejsze — jest przyjacielem Regisa Debray'a, bliskiego współpracownika i zaufanego prezydenta Mitterranda. Inaczej mówiąc, jego zwol-

nienie z rąk bejruckich gangsterów było sprawą wagi państwowej. Porywacze o tym naturalnie wiedzieli. Wybór Peyrollesa nie był przypadkowy. Według algierskiego pośrednika, porywacze byli skłonni natychmiast Francuza zwolnić w zamian za zwolnienie Abdallaha.

A dlaczego Abdallah, po polsku „sługa boży”, był taki ważny? To jest dłuższa historia. Urodził się w 1951 roku w miejscowości Kubajat, w górach Akkaru w Libanie, w strefie, która dziś jest pod ścisłą kontrolą Syrii. Abdallah wywodzi się z jednej z czterech wielkich rodzin, a raczej klanów chrześcijańskich, kontrolujących tę miejscowość, liczącą 12.000 mieszkańców. Jego ojciec, zmarły czy zabity przed wielu laty, był sierżantem w wojsku libańskim. Sam Abdallah, zdolne dziecko, zaczął bardzo wcześnie, „walczyć” od kiedy ukończył lat piętnaście. Najpierw, tak jak ojciec i cała rodzina, w faszyzującej Socjalistycznej Narodowej Partii Syryjskiej (PSNS), której marzeniem było utworzenie „Wielkiej Syrii”, na trupie m.in. Libanu, ale nie tylko. Z wykształcenia nauczyciel, pracował w „ochronie” dowództwa PSNS, pod kierownictwem niejakiego Waddi Haddada, pseudonim „krwawy”, wynalazcy procedury porywania samolotów, „bohatera” Entebbe, organizatora masakry na lotnisku Lodd w Tel Awiwie...

W 1970 roku razem z tej klasy „nauczycielem” Abdallah przechodzi z bronią i bagażem do innej partii, która ma jeszcze większe ambicje. Nazywa się FPLP, czyli Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny, którym dowodzi dr Georges Habbache, lekarz, a przede wszystkim marksista i chrześcijanin, tak jak Abdallah. Teraz kariera Abdallaha, w służbie bożej naturalnie, rozwija się już błyskawicznie. Dochodzi do stopnia „majora” FPLP, „pracuje” razem z niejakim Iljczem Ramirezem Sanchezem, znanym w kronikach policyjnych całego świata pod zdrobnieniem „Carlos”. Nic dziwnego, że tak szybko awansuje, chłopak zdolny. Do wszystkiego, jak się okaże. Mówi po arabsku i francusku, ale także po włosku, angielsku i... hebrajsku. Przechodzi jeszcze dodatkowe przeszkolenie w obozach syryjskich i w północnym Jemenie oraz *postgraduate* w... Bułgarii, gdzie pozostaje przez cały rok na „studiach”. Bardzo dużo podróżuje: Syria, naturalnie, ale także Algier no i cała Europa. Utrzymuje kontakty operacyjne i ideologiczne z Czerwonymi Brygadami we Włoszech, *Rote Armee* w RFN i *Action directe* we Francji. Pomaga w niektórych akcjach Carlosa, uczestniczy m.in. w zamordowaniu w 1976 roku ambasadora USA w Bejrucie, Melloy'a.

W 1980 roku Abdallah dojrzał. Wraz ze swymi braćmi i sąsiadami z Kubajat i z sąsiedniej miejscowości Andakat tworzy własną organizację. W skrócie nazywa się FARL, co znaczy Libańskie Rewolucyjne Siły Zbrojne. Nareszcie będzie miał okazję wprowadzenia w życie swoich rewolucyjnych teorii. Jedną z nich, przedstawioną w obronionej na Sorbonie (Pol Pot też tu studiował) pracy magisterskiej brata Abdallaha, analizuje znaczenie komórki rodzinnej, solidarnej, niewielkiej, scementowanej, nie do spenetrowania, jako najbardziej „wydajnego” oręża w walce zbrojnej i „gwałtownej”, czyli terrorystycznej, o hasła rewolucji

arabskiej. Część FARL pozostaje w Libanie, grupa operacyjna wyjeżdża do Europy. Są w niej przede wszystkim ci, którzy znają języki obce, a w tym dwaj bracia i trzy kobiety, m.in. Jacqueline Esber, przyjaciółka (*la compagne*, jak mówią Francuzi, którzy lubią eufemizmy), a zarazem zastępca „operacyjny” i towarzysz broni w akcji zbrojnej. Niełatwo jest ustalić szlaki bandy, ale wiadomo, że pierwsza baza usytuowana była w pensjonacie koło dworca Termini w Rzymie oraz w hotelu w Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu. Pieniądze, dużo pieniędzy, ulokowane są na kontach w kilku bankach. m.in. w Szwajcarii. Broń i materiały wybuchowe podróżują albo wprost, w walizkach dyplomatycznych, albo drogą pośrednią z Czechosłowacji przez Jugosławię, najpierw do Włoch, potem do Francji.

Słowo „honoru”

Premiera ma miejsce 18 stycznia 1982, kiedy to FARL rewinduje odpowiedzialność za zamordowanie zastępcy *attaché* wojskowego USA w Paryżu Charlesa Ray'a. Ale to był tylko początek. Idzie cała seria zamachów, m.in. morderstwo, we wrześniu 1982, II sekretarza ambasady izraelskiej w Paryżu Jakoba Barsimantowa. Potem następuje rok przerwy w „działaniu”. Aż do 15 lutego 1984, kiedy to w Rzymie został zamordowany Amerykanin Leamon Hunt, z dowództwa Sił Wielonarodowych ONZ-u w Libanie. Miesiąc później powrót do Francji i nieudany zamach na konsula amerykańskiego w Strasburgu Roberta Homme. Z kolei przenosimy się do Trypolisu na północy Libanu, gdzie, jak już wiemy, zostanie porwany Peyrolles w celu wymiany na Abdallaha.

Albowiem, też jak już wiemy, Abdallah został w międzyczasie aresztowany w Lyonie. Nie, broń Boże, za zamachy i wymordowanie wielu ludzi, w tym dyplomatów, którym Francja zapewnić wszak miała bezpieczeństwo, a za głupstwko: Abdallah był mianowicie w posiadaniu aż 5 paszportów, wszystkich fałszywych. Interes wydawał się więc raczej prosty. I transakcja została szybko zawarta. Francja, powiedział Bonnet w Algierze, jest państwem praworządnym i Abdallaha bez wyroku i króciutkiej odsiadki wypuścić nie może. Ale możemy się postarać, aby Abdallah dostał niewielki wyrok i szybko, przed terminem, wyszedł, za „dobre sprawowanie” naturalnie. I rzeczywiście. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. 2 kwietnia, po nocy spędzonej na łonie rodziny... Abdallaha, Peyrolles już był w objęciach własnego tatusia. No a służa boży? Tu sprawy się komplikują.

2 kwietnia, akurat w chwili kiedy rodzina Peyrollesów otwierała szampana, Bonnot dowiedział się, że się pospieszył, że dał nieostrożnie słowo honoru, albowiem zachodzi ryzyko, że „operacja Abdallah” może się nie udać. Jak w złym filmie mianowicie, w czasie posiedzenia Komitetu Koordynacyjnego do Walki z Terroryzmem, Bonnot został wezwany do telefonu. Widać jak powoli błednie. Jego własni agenci zawiadamiają szefa, że przy

ul. Lacroix 18 w Paryżu nakryto melinę Abdallaha. Prawdziwa bomba, dosłownie i w przenośni, m.in. rewolwer kaliber 7,65 produkcji czeskiej „Vzor” model 70, z którego zastrzelono Ray’a i Barsimantowa. Z miejsca upada kombinacja z „turystą” Abdallahem: to już nie jest mały kombinator i manipulator fałszywych paszportów, lecz prawdziwy terrorysta. Idzie nowy proces, musi zapaść duży wyrok. Prawdziwa katastrofa: Bonnet, nie we własnym przeciwieństwie imieniu, dał słowo honoru, że Abdallah nie długo będzie w domu, słowo którego już prawie na pewno nie będzie mógł uhonorować. Jeszcze ostatnia próba. Bonnet pisze list do ministra Spraw Wewnętrznych i proponuje, aby wyniki rewizji w melinie przy ul. Lacroix nie wiązać ze sprawą Abdallaha, żeby ewentualnie — jeżeli już nie można inaczej — wstrzymać ujawnienie wyników rewizji aż do uwolnienia i wyjazdu Abdallaha, a potem wyrazić żal, że melina wpadła za późno, po wszystkim. Bonnet, wydarzenie bez precedensu, jedzie osobiście do pani Marie Kleinmann, która jako sędzia śledczy w Lyonie, prowadzący sprawę Abdallaha, podpisała nakaz rewizji w melinie i tylko ona byłaby w stanie „wyciszyć” i opóźnić aferę. Ale wszystko na nic.

Nie wiadomo jaka była reakcja ministra i sędziego śledczego, ale kilka dni po rewizji meliny informacje o jej wynikach przeciekają do prasy. Kto „nadał” sprawę, także nie wiadomo, nie jest wykluczone, że sama policja. Wśród „trofeów” bandy Abdallaha figurują bowiem także dwaj policjanci, polegli od bomby podłożonej przez FARL. Być może ich koledzy uznali, że nie powinni ułatwiać życia mordercom francuskim „flików”. Ale mniejsza o to kto, ważne, że Abdallah z kategorii fałszerzy przeszedł oficjalnie do kategorii morderców i że, naturalnie, mowy być nie mogło o jakiegokolwiek kombinacji i wymianie. Tym mniej zresztą, że kiedy rząd amerykański dowiedział się o wynikach rewizji w melinie, o pistolecie, z którego strzelano do jego dyplomatów, wniósł natychmiast powództwo cywilne, co ostatecznie przekreśliło szanse kombinacji mających doprowadzić do szybkiego uwolnienia Abdallaha. Sługa boży musiał więc stanąć ponownie przed sądem, prawdziwym trybunałem — specjalnie utworzonym do sądenia terrorystów.

Tak kończy się pierwsza faza sprawy „Abdallah versus Republika Francuska”, a zaczyna druga. Mianowicie Abdallahy i inne sługi boże nie dają za wygraną. Państwo francuskie obiecało wymianę, Bonnet, który już nie był dyrektorem DST, a prefektem Gwadelupy, złamał słowo honoru, Francja nam za to zapłaci. I zapłaciła. FARL, pod różnymi nazwami, przeszedł do akcji. Seria zbrodni zalała krwią Paryż: 15 zamachów (trzy nieudane) między grudniem 1985 a wrześniem 1986, 13 zamordowanych, 250 rannych, w tym bomby w tak ważnych obiektach francuskiego imperializmu jak super-sklepy „Printemps”, „Galeries Lafayette”, „Claridge”, księgarnia w Dzielnicy Łacińskiej, FNAC (książki i płyty), pociąg TGV (ultra-express) Paryż-Lyon, metro, poczta w merostwie Paryża, kawiarnia na Champs Elysées, wielki sklep konfekcyjny na ul. de Rennes, gdzie było 7 zabitych i

50 rannych, no i *last but not least* zamordowanie francuskiego *attaché* wojskowego w Bejrucie, pułkownika Gouttière.

A co na to Abdallah? Abdallah na to ani słowa. Owszem, kiedy sędzia śledczy odwiedził go w więzieniu i starał się przekonać, że powinien w swoim własnym interesie odżegnać się od zamachów i morderstw niewinnych ludzi, Abdallah wyrzucił go za drzwi wołając: „Lokaj Amerykanów”. Abdallah bowiem chciał za wszelką cenę mieć proces polityczny. I miał. Ale z innych powodów niż się spodziewał. I tak zaczęła się sprawa Abdallaha faza trzecia.

Racja stanu a sprawiedliwość

Jak się mianowicie okazało, sąd miał wydać wyrok nie w sprawie „Abdallah versus Francja”, a w sprawie racja stanu *versus* sprawiedliwość. Władze francuskie nie zrezygnowały bowiem z projektu jak najszybszego pozbycia się Abdallaha. Skoro nie udało się, pomyślał ktoś w Paryżu, ukryć sprawę meliny i dowodów na udział Abdallaha w serii krwawych zamachów, to trzeba zrobić wszystko, aby Abdallah otrzymał jak najniższy wyrok i mógł stosunkowo szybko opuścić Francję, no i — bo o to wszak chodziło — położyć kres mordowaniu niewinnych Francuzów. Kiedy więc trybunał specjalny w składzie siedmiu sędziów zawodowych, 5 mężczyzn i 2 kobiet, wszyscy na ochotnika, rozpoczął przewód, doszło do dwóch sensacyjnych epizodów, chyba bez precedensu w historii francuskiego sądownictwa.

Jednym z głównych świadków oskarżenia miał być, jak wszyscy przypuszczali, wicedyrektor DST, p. Nart. To bardzo wysoki urzędnik, odpowiedzialny m.in. za odcinek sowiecki, człowiek, o którym mówiono, że zna najwięcej tajemnic we Francji, właściwy operacyjny i zawodowy szef kontrwywiadu, instytucji która odegrała podstawową rolę w śledzeniu Abdallaha, gromadzeniu dowodów jego winy, rozbijaniu całej siatki, likwidowaniu bandy. I tu bomba. P. Nart przystąpił mianowicie do przekonywania sądu, że oskarżony Abdallah to mała płotka, a nie żadna wielka ryba, „mały szef”, a nawet „zły szef” niewielkiego komando, takie nic, właściwie bez znaczenia, ot, skromny wykonawca, nie żaden strateg terroryzmu. Wniosek prosty: nie przesadzajmy, nie rozdmuchujmy afery, sąd nie powinien kreować go na przywódcę, nie warto nad jego sprawą długo się zatrzymywać. Mały wyrok załatwi sprawę. I będzie po krzyku.

P. Nart to nie „mały szef” ani „zły szef”, a na pewno nie samobójca, to bardzo poważny francuski policjant. Jego występ w sądzie to nie wielka ani mała improwizacja. Na pewno nie wymyślił sam tej wersji, to nie jego własny scenariusz. To wymyślił ktoś znacznie wyżej. Sąd nie mógł nie zrozumieć aluzji: rząd chce zminimalizować sprawę Abdallaha, pozbyć się faceta, rząd spodziewa się niewielkiego wyroku, sąd powinien oddać rządowi tę małą przysługę. Sąd powinien zrozumieć, że tu chodzi o politykę i że, jak powiedział już zacytowany minister,

co prawda nie sprawiedliwości a spraw wewnętrznych Pasqua, tam gdzie zaczyna się polityka, to znaczy racja stanu, tam kończy się demokracja, czyli sprawiedliwość.

Ale p. Nart to był tylko *hors d'œuvre*. Wielkie danie dopiero miało nadejść. Podał je sam prokurator, przedstawiciel, nieprawdaż, państwa, republiki, w której to imieniu domaga się wyroku i wymierzenia sprawiedliwości. P. Pierre Beachlin to nie nowicjusz, ma za sobą długą i bogatą karierę, ma opinię „twardej ręki”. Ale w historii umieściła go na trwałe dopiero jego mowa oskarżycielska w procesie Abdallaha.

Oskarżycielska? Ku osłupieniu obecnych sędziów, prasy, całej opinii publicznej we Francji i w okolicy, p. Baechlin, mimo, że jak powiedział zamierzał wystąpić o wyrok odpowiadający całej surowości prawa, postanowił jednak „z ciężkim sercem błagać a nawet zaklinać” sąd o wymierzenie oskarżonemu Abdallahowi kary nie większej niż 10 lat więzienia, co, jak to wykazał szybki rachunek specjalistów, miało umożliwić nie natychmiastowe, ale niezbyt odległe w czasie wypuszczenie Abdallaha z więzienia, a przede wszystkim z Francji. W okolicznościach sprawy Abdallaha, powiedział prokurator, „każde skazanie zamienia męczennika w męczennika, a przede wszystkim zamienia męczennika w zakładnika”. Sprawiedliwość, powiedział jeszcze p. Baechlin, podpisując akt własnej moralnej abdykacji „powinna być w stanie, w obliczu kryzysu, zrobić taki użytek ze swych prerogatyw, aby wydać orzeczenie zgodne z interesem wszystkich”. To znaczy z racją stanu.

Nikt nie wie, co skłoniło prokuratora do wygłoszenia mowy obrońcy. Żaden z przedstawicieli władz politycznych czy sądowych nie przyznał się do najmniejszej próby wpływania na opinię prokuratora. Można się tylko domyślać, że nie był to, tak jak w przypadku Narta, jego scenariusz własny, że po fiasku, jeżeli nie kompromitacji wiceszefa DST władze po prostu przekonały czy zmusiły prokuratora, który jest wszak urzędnikiem państwowym, do desperackiej próby przekonania sądu, że powinien nie wymierzać sprawiedliwości, a kapitulować przed terrorem, że powinien sądzić niezgodnie z kodeksem karnym, a zgodnie z łamaniami dyplomacji francuskiej, że powinien szukać inspiracji nie w własnym sumieniu, a w racji stanu, i to takiej, jak ją widzi obecny rząd Francji.

Nie udało się. Sąd — jak powiedział pewien prawnik — nie jest od wyrządzania przysług rządowi, a od wymierzania sprawiedliwości. I wymierzył. Narada sędziów trwała tylko 70 minut. Abdallah skazany został na dożywocie, co we Francji, gdzie kara śmierci została zniesiona, stanowi maksymalny wymiar kary. Na tym zakończyła się sprawa Abdallaha faza trzecia, a zaczęła czwarta.

„Są jeszcze sędziowie” we Francji

Albowiem sprawa Abdallaha nie kończy się na wyroku. Można

by właściwie powiedzieć, że się dopiero zaczyna. Choć po wyroku, normalnie biorąc, reszta powinna być milczeniem, w tej sprawie warto i należy jeszcze porozmawiać. Niektóre punkty zasługują na kilka słów refleksji.

Po pierwsze, „są jeszcze sędziowie” we Francji, zauważył ktoś, przypominając słynną odpowiedź młynarza udzieloną Fryderykowi Wielkiemu w sztuce, której nikt już nie pamięta, „Młynarz z Sans-Souci” autora, którego też już nikt nie pamięta, François Andrieux. Pryncypialne stanowisko sądu tłumaczyć można na rozmaite sposoby, ale można także po prostu powiedzieć, że sąd wydał wyrok zgodny z dowodami winy oskarżonego, sumieniem sędziów i ich poczuciem sprawiedliwości. Trzeba to podkreślić, bo, choć nazwiska sędziów, z wyjątkiem prezesa Maurice Colomba, zostały ze zrozumiałych względów utrzymane w tajemnicy, żeby w aktualnej atmosferze zastraszenia i szantażu wydać taki wyrok, trzeba było wykazać sporo cywilnej odwagi i zawodowej niezależności.

I tak być powinno. Stawką bowiem był nie los Abdallaha, a los francuskiej demokracji. W latach 1941-1944 sędziowie reżimu Vichy splamili godność i honor francuskiego wymiaru sprawiedliwości, skazując niewinnych, bo tak kazał marszałek Pétain. W roku 1987 sędziowie uratowali honor Francji, bo to na sędziach i wymiarze sprawiedliwości właśnie zaciął się mechanizm racji stanu. I tak też być powinno.

Jest to, po drugie, stwierdzenie tym bardziej bezsporne, że wszelka inna postawa sędziów, wszelka uległość wobec racji stanu, która ośmiela się wyznaczać granice demokracji i sprawiedliwości, inaczej mówiąc wszelka kapitulacja byłaby nie tylko hańbna, ale także, jeżeli nie przede wszystkim, nieskuteczna. Ba, działałaby faktycznie na korzyść wroga. Nie są to abstrakcyjne spekulacje. Nie byłaby to wcale pierwsza kapitulacja władz francuskich. W 1977 roku Francja wypuściła Abu Dauda, autora masakry sportowców izraelskich na igrzyskach olimpijskich w Monachium. Reżyserem komedii zwolnienia Dauda, którego poszukiwały wszystkie policje cywilizowanych krajów, był wtedy — na polecenie prezydenta Giscard d'Estaing — płk Rondot, który dziś także jest doradcą francuskiego MSZ-u. W 1986 roku Francja wypuściła dyskretnie dwóch członków bandy słynnego Abu Nidala, morderców dyrektora biura Organizacji Wyzwolenia Palestyny i jego zastępcy, uznanych wówczas przez ich arabskich braci za zbyt „ugodowych”. Mordercy skazani zostali w 1980 roku na 15 lat więzienia, ale wyszli po 6 latach. W imię, naturalnie, racji stanu.

Nie brakowało także do ewentualnej kapitulacji uzasadnienia ideologicznego. Było kilka źródeł inspiracji. Sam Abdallah wygłosił słowo wstępne, z którego bardzo wyraźnie wynikało, iż mordując niewinnych Francuzów tudzież dyplomatów izraelskich i amerykańskich, biją się on i jego bracia o wolną, demokratyczną Palestynę. W języku, który my skądś znamy, Abdallah wygłosił swoje credo denuncjujące „zbrodniarzy *yankee* i ich psy łańcuchowe — syjonistów”.

Jego adwokat, Jacques Vergès, zrobił wszystko aby go umocnić w tym mniemaniu. Zdaniem adwokata francuskiego, który, trzeba to przyznać, ma własną bogatą przeszłość „rewolucyjną” (bronił algijskich partyzantów, teraz broni także Klausa Barbie, hitlerowskiego kata Lyonu), wyrok na Abdallaha jest „wypowiedzeniem wojny światu arabskiemu”. Francja, zdaniem adwokata, znalazła się w sprawie Abdallaha w punkcie zwrotnym i wybrała drogę gwałtu. Sprawę Abdallaha wygrały, zdaniem J. Vergès, Stany Zjednoczone i Izrael. „Nie jestem pewien, powiedział *Maitre Vergès*, czy Francja jest wśród zwycięzców”. Francuska Partia Komunistyczna nie pozostała w tyle, a jakże. Jej stanowisko w sprawie Abdallaha gwarantuje jej dalszy spadek głosów, co — coraz wyraźniej — wydaje się być nadrzędnym celem jej sekretarza generalnego, ulubieńca francuskich telewizorów, Georges Marchais. Dla FPK, sąd w Paryżu wydał wyrok zgodny z racją stanu, ale nie Francji, a USA i Izraela. Inaczej mówiąc, FPK stoi na stanowisku, że strzelanie do Amerykanów i Izraelczyków jest zgodne z racją stanu Francji, a zakaz ich odstrzału jest wypowiedzeniem wojny Arabom. Jeszcze dalej poszedł niejaki p. Spitzer, obywatel francuski, członek ruchu oporu i były bojownik o niepodległość Algieru. W piśmie *Le Monde* p. Spitzer porównał mianowicie wyrok na Abdallaha z wyrokami Vichy. Różnica, powiada p. Spitzer, polega tylko na tym, iż wówczas Francuzi żyli pod okupacją hitlerowską, a teraz żyją pod okupacją amerykańską (o izraelskiej zapomnieli).

Tak więc sąd uratował Francję od błędu co, jak wiadomo, w polityce się liczy podwójnie: Francja bowiem nosiłaby hańbę kapitulacji, a terroryzm by nie zniknął. Wprost przeciwnie, nic tak nie rozzuchwala terrorystów (miałem już okazję o tym pisać w *Kulturze*) jak kapitulacja, układy, pobłażliwość, bezkarność. Gdzie jest logika? — jak wołał mój kolega we Lwowie, kiedy go belfer wyrzucał z klasy. — Ja się będę bawił na boisku, a oni muszą kuć. Co miałyby nastąpić po wypuszczeniu Abdallaha? Czy Francja wypuściłaby innych terrorystów? Czy zaproponowałaby taką samą politykę kapitulacji innym państwom Wspólnoty Europejskiej, z którymi związana jest układami m.in. o współpracy w zwalczaniu terroryzmu? Czy, zgodnie z tą logiką, Francja zakazałaby aresztowań terrorystów na swoim terytorium, czy przekształciłaby się w „raj terrorystyczny”, tak jak np. Lichtenstein jest „rajem podatkowym”? A jak postąpiłaby Francja z własnymi terrorystami, z właśnie złapanymi po latach poszukiwań i po kilkunastu trupach bojówkarzy z *Action directe*? Czy ich także by wypuściła po „miękkim” wyroku? I dokąd mieliby oni pojechać?

I cynizm i hipokryzja

Nikt nie wie, czy klan Abdallahów nie spróbuje zemścić się na Francji, czy nie zaczną znowu wybuchać bomby na ulicach Paryża. Wiadomo zresztą, że i tak by wybuchały, z powodu Ab-

dallaha albo z innych powodów, których terrorystom nigdy nie brak. Jak już kiedyś pisałem, im nie chodzi o Abdallahów, a o demokrację. Niezależnie jednak od sytuacji i od pretekstów, już od dawna wiadomo, że tchórzostwo nie popłaca. Historia już nie raz to udowodniła. Na małych i na dużych przykładach. Kapitulacja monachijska opóźniła zagładę tylko o rok. Z perspektywy historycznej nie był to dla państw demokratycznych sukces największy. Ale powinna to była być dobra lekcja. Nie była.

Odważni sędziowie, powiedzieliśmy, uratowali honor Francji, choć przeciw odwaga to cecha charakteru, a nie reguła prawa karnego. Może i uratowali, ale potwierdza to tylko fakt, że państwo francuskie było skłonne honor ten stracić. Francja, powiedzmy od razu, nie ma monopolu na kłamstwa i hańby polityczne. Prokurator miał rację, kiedy mówił, że „sojusznicy Francji nie mają tytułu do udzielania nam lekcji”. Prezydent Reagan tak jak premier Chirac zapewniał wszystkich, że z terrorystami negocjować nie będzie, a przecież po aferze „Irangate” też stanął przed dylematem: przyznać się do kłamstwa, do bredni, do amatorszczyzny w działaniu i naiwności w myśleniu. Nie wyszedł cało z tej operacji, już nigdy Reagan nie będzie taki jak przedtem.

Od początku świata tajemnice państwowe i racje stanu kryły świństwa, pułapki, kłamstwa, zbrodnie. Zacytowana w motto formuła ministra Pasqua istnieje we wszystkich językach, stanowi stałą pokusę wszystkich rządów demokratycznych, bo w nie-demokratycznych ustrojach supremacja racji stanu czyli władzy państwa nad obywatelem leży w ich naturze. Na ten delikatny temat wypowiedział się nawet taki specjalista jak Gorbaczow, który tak to określił w rozmowie z grupą pisarzy: „Nie ma demokracji bez przejrzystości, ale nawet demokracja nie załatwi wszystkiego, albowiem bez ograniczeń demokracja staje się anarchią”. Ten teoretyczny wkład lokatora Kremlu potwierdza, że demokracja ma istotnie racje, których racja stanu nie lubi, nie znosi, omija, ogranicza, zwalcza. Oddaje sprawy państwa w ręce pułkowników, nad którymi nikt nie sprawuje kontroli. Tym razem, w sprawie Abdallah *versus* demokracja, ostatnie słowo należało nie do pułkownika Narta czy pułkownika Rondot, a na szczęście do sądu. A co będzie, jak sędziów zabraknie, jak padnie ta ostatnia linia obrony? Bernanos, pisarz, którego nie lubię, znalazł trafną formułę dla określenia tego zjawiska. Powiedział on w pamflocie pt. „My, Francuzi”: „Demokracje nie mogą się obejść bez hipokryzji, tak jak dyktatury nie mogą się obejść bez cynizmu”.

A jak nazwać ustrój, który nie może się obejść ani bez hipokryzji, ani bez cynizmu?

Leopold UNGER

Pisane w Brukseli, 1 kwietnia 1987

Pięć lat «Porando Geppo» w Tokio

W listopadzie 1986 roku minęło pięć lat od założenia w Tokio Ośrodka Badań Polski (*Porando Shiryō Senta*), o którym pierwszy raz pisałem na łamach *Kultury* cztery lata temu*. Głównym celem wytycznym ośrodka, pod wytrwałym kierownictwem jego założyciela dr. Kudo Yukio, pozostaje krzewienie i utrzymywanie zainteresowania sprawą polską w Japonii, z nieukrywaną ambicją docierania do jak najszerszych kręgów opiniotwórczych tego kraju. Zyskiwanie współpracowników i odbiorców nie było przedsięwzięciem łatwym, zważywszy, iż ośrodek zapewne nie wszedł tutaj w kompletną „próżnię tematyczną”. Od połowy lat 70-tych, a więc w okresie swoistego renesansu zainteresowania w Japonii sprawami wschodnioeuropejskimi, poszerzyły się znacznie możliwości badawczo-wydawnicze w dziedzinach slawistyki itp., głównie wokół ośrodków uniwersyteckich w Tokio, Hokkaido i innych placówkach badawczych. Jest więc niewątpliwym miernikiem poważnych sukcesów OBP, iż w przeciągu pięciu lat swego istnienia udało mu się nawiązać trwałą współpracę z wybitnymi uczonymi i specjalistami od spraw polskich (jak np. historykiem Takayuki Ito z Uniwersytetu Sapporo), oraz rozbudzić i wpłynąć na wzrost zainteresowania sprawami polskimi u innych osobistości z życia społeczno-politycznego w Japonii.

Główną cechą OBP, odróżniającą go od innych podobnych instytucji, jest całkowite skupienie się na skrupulatnej dokumentacji wydarzeń w Polsce. Należy tu jeszcze podkreślić wybitnie „pro-solidarnościowe” nastawienie ośrodka, tzn. jego powiązania i współpracę z różnymi przedstawicielstwami „Solidarności” za granicą, zwłaszcza z biurem w Brukseli. Ma również „Solidarność” swego przedstawiciela w gronie stałych pracowników Ośrodka w osobie Umedy Yoshiho. Jest on głównym rzecznikiem interesów „Solidarności” w Japonii oraz pomostem do bliskich kontaktów ze związkami zawodowymi („domei”, „sohyo” i in.).

W listopadzie 1986 minęło również pięć lat od ukazania się pierwszego numeru głównego pisma OBP, miesięcznika *Porando Geppo*, czyli *Biuletynu polskiego*. Trzon pisma stanowią doskonałe tłumaczenia na język japoński tekstów polskiej literatury politycznej, podziemnej i emigracyjnej, zwykle z krótkim komentarzem redakcyjnym. Teksty te, w większości publicystów krajowych (J. J. Lipski, A. Tymowski, A. Michnik, Jan Lityński, A. Hall — żeby wymienić tylko kilku) są tłumaczone w całości, bardzo rzadko i nieznacznie skracane. Uważam więc termin „biuletyn” w polskiej nazwie tego miesięcznika za nieściśły, pomimo iż każdy numer zawiera również szczegółowe kalendarium wydarzeń w Polsce oraz skrupulatnie odnotowywane wszystkie oświadczenia oficjalne, listy itp. „Solidarności”. W przeciągu ostatnich kilku lat głównymi źródłami tekstów polskich B.P. były następujące pisma i wydawnictwa (kolejność według częstotliwości): *Biuletyn Informacyjny Solidarność* (w języku polskim i francuskim), *Uncensored Poland News Bulletin*, *Solidarność News*, *Tygodnik Mazowsze*, *Kultura*,

* Art. „Polski Ośrodek Badawczy w Tokio” (*Kultura* nr 5/1983). Poprawnie powinno być „Ośrodek Badań Polski”. Dopiero później zdałem sobie sprawę z semantycznej nieściśłości pierwotnej nazwy, mogącej nasuwać mylne konotacje co do „polskości” Ośrodka.

Kontakt, *Poland Watch*, *Studium Papers*, *Voice of Solidarność* (Londyn), *Aneks* oraz *Krytyka*. Trud pracy tłumaczeniowej spoczywa głównie na sekretarzu OBP, dr. Mizutani Takeshi, któremu asystuje dwóch innych polonistów, S. Takahashi i S. Sasaki.

Publicystyka B.P. nie ogranicza się jednak tylko do tłumaczeń tekstów polskich. Miesięcznik ten stał się również, szczególnie w ostatnich trzech-czterech latach, ważnym i cenionym forum wypowiedzi na tematy polskie nie tylko dla bliskich i stałych współpracowników ośrodka, lecz dla naprawdę szerokiego kręgu publicystów, działaczy politycznych i związkowych oraz badaczy z różnych instytucji japońskich, zainteresowanych sprawami polskimi. Zakres poruszanych tematów, spośród już blisko 40-tu artykułów autorów japońskich, można ująć w trzy zasadnicze kategorie:

1. Artykuły omawiające najrozmaitsze aspekty polskiej rzeczywistości powojennej, a równocześnie ujmujące sprawę polską w szerszym kontekście geopolityki międzynarodowej. Wchodzi tu na przykład doskonała seria 10-ciu artykułów z cyklu pt. „Historia Polski powojennej” z roku 1985, gdzie na pierwszy plan wysuwają się szkice T. Ito (np. jego ocena Powstania Warszawskiego). Z innych wybitnych pozycji w tej kategorii należy wymienić znakomity artykuł znanego znawcy prawa międzynarodowego, dr. Sato Kazuo z Uniwersytetu Aoyama w Tokio (artykuł pt. „Polska a współczesne prawo międzynarodowe”, B.P. nr 7/1985), obszerne opracowanie problemu uniwersyteckiego w Polsce pióra Kato Kazuo z Wydziału Dokumentacji Biblioteki Parlamentu w Tokio, a w dziedzinie spraw gospodarczych ciekawy artykuł pt. „Polska — trzecia droga normalizacji” pióra Tsuchiya Masaya, pracownika JETRO (*Japan External Trade Organisation*) i znanego w Japonii specjalisty od spraw gospodarczych bloku sowieckiego.

2. Artykuły zajmujące się genezą i oceną ruchu „Solidarności”, uważanego w Japonii za najbardziej oryginalny i uniwersalny ruch społeczny w powojennej Europie. Szczególnie uderza tu wysoki stopień zainteresowania solidarnościową koncepcją „społeczeństwa samorządnego” jako nowym, rewolucyjnym modelem społeczno-politycznym, co zostało najbardziej uwypuklone w artykule ekonomisty Shiokawa Yoshibu z Tokyo Daigaku. Dla czytelnika polskiego zafascynowanie społeczno-gospodarczym aspektem ruchu „Solidarności” w takim kraju jak Japonia może być czymś bardzo trudnym do zrozumienia. Osobiście jestem skłonny przypuszczać, iż Japończykom imponuje tu głównie idea podmiotowości społeczeństwa wobec wszechwładzy biurokracji państwowej, co sami odczuwają jako jedno z niedociągnięć w funkcjonowaniu ich własnego systemu społecznego.

3. Artykuły porównujące ruchy robotniczo-związkowe w Polsce i Japonii, analizujące głównie strategię walki „Solidarności” z myślą o wykorzystaniu jej doświadczeń (pomimo odrębności systemowych) w Japonii. Wśród piszących są zarówno weterani związkowi jeszcze z czasów przedwojennych (Mito Nobuto) jak dzisiejsi przywódcy ruchu związkowego w Japonii, który obecnie przechodzi przez ciężki okres kryzysu i rozłamu.

Rzeczą szczególnie charakterystyczną w obecnym zainteresowaniu „Solidarnością” w Japonii jest to, iż budzi ona jednakowe sympatie na prawicy i na lewicy.

Janusz MONDRY

Poniższego wywiadu Irving Kristol udzielił specjalnie dla redakcji *Kultury*.

Wywiady «Kultury»

Amerykańska polityka zagraniczna na rozdrożu

ROZMOWA Z IRVINGIEM KRISTOLEM

Irving Kristol, jeden z najbardziej wpływowych intelektualistów amerykańskich, w latach 50-tych współredaktor miesięczników *Commentary* i londyńskiego *Encounter'a*, jest dziś profesorem myśli społecznej w Szkole Zarządzania Uniwersytetu Nowojorskiego, współredaktorem kwartalnika *The Public Interest*, członkiem redakcji *The Wall Street Journal*, a także wydawcą *The National Interest*, nowego kwartalnika konserwatywnego, poświęconego zagadnieniom polityki zagranicznej i stosunków międzynarodowych. Najbardziej znane pozycje książkowe Irvinga Kristola to „O idei demokracji w Ameryce” (1972) i „Dwie pochwały kapitalizmu” (1978).

Kristol, nazywany często duchowym przywódcą amerykańskich neokonserwatystów, ceniony jest przede wszystkim za swe analizy współczesnego kapitalizmu oraz prace i artykuły na temat polityki społecznej w Stanach Zjednoczonych. Z jego opiniami liczą się zarówno amerykańskie *mass media* jak i koła polityczne i biznesowe w USA. W swej bogatej karierze publicystycznej Kristol znany jest również jako pisarz polityczny. Jego ocena sytuacji międzynarodowej różni się jednak zasadniczo od poglądów innych myślicieli amerykańskiego neokonserwatyzmu. Analizy i propozycje Kristola dotyczące polityki zagranicznej bulwersują często nawet jego najbliższych przyjaciół w obozie neokonserwatystów. Oskarżany jest o polityczny izolacjonizm, a także o niezrozumienie istoty systemu sowieckiego. Jego poglądy, a szczególnie propozycja wycofania wojsk amerykańskich z Europy, nie są jednak w Ameryce aż tak odosobnione i znajdują coraz większy oddźwięk w kołach tradycyjnej amerykańskiej prawicy.

ROBERT KOSTRZEWA: — Ostatnie niepowodzenia administracji Ronalda Reagana na arenie międzynarodowej składają do zadumy nad starym problemem, czy w systemie demokratycznym w ogóle możliwe jest prowadzenie skutecznej polityki zagranicznej. Czy demokracja amerykańska może sprostać zadaniom, jakie stoją przed supermocarstwem przy tak wielu ograniczeniach proceduralnych, jakie istnieją w amerykańskim systemie parlamentarnym?

IRVING KRISTOL: — Po pierwsze nie mają sensu uogólnienia na temat zależności między zasadami demokracji a prowadzeniem polityki zagranicznej — a szczególnie w przypadku Stanów Zjednoczonych. Ograniczenia i przeszkody w prowadzeniu skutecznej polityki międzynarodowej istniejące we Francji, Anglii czy w Niemczech są zupełnie inne niż te, z którymi mamy do czynienia w Ameryce — te zaś, które istnieją dziś w USA, nie istniały dwadzieścia lat temu. Pojawiły się w okresie wojny wietnamskiej, co jest dowodem na to, że nie są one nieodłączną cechą demokracji. Prawa określające zasady prowadzenia polityki zagranicznej mogą przecież ulec zmianie, a niektóre z nich okazać się nawet sprzeczne z konstytucją. Nie są organicznie związane z naturą systemu demokratycznego — są raczej konsekwencją historycznego przypadku. Mam oczywiście na myśli wojnę w Wietnamie.

Porażki, o których Pan mówi, też nie są moim zdaniem aż tak poważne. Bywaliśmy w dużo gorszych tarapatkach. Amerykańska polityka zagraniczna jest dosyć elastyczna. Ludzie zajmujący się sprawami międzynarodowymi za dużo grają w szachy i myślą o polityce zagranicznej w terminach szachowych. Szachy nie są zbyt popularne wśród przeciętnych Amerykanów, którzy myślą o stosunkach międzynarodowych bardziej w kategoriach *football'u* — amerykańskiego *football'u*, nie europejskiego. W *football'u* można przegrać w jednej ćwiartce gry i jednak wygrać mecz. Sytuacja zmienić się może bardzo szybko i wcale bym się nie zdziwił, gdyby w ciągu sześciu miesięcy czy roku obecny rząd wystąpił z jakimiś interesującymi, czy nawet odważnymi inicjatywami. Tego po prostu nie można przewidzieć i błędem jest, moim zdaniem, wróżenie dżugofalowych tendencji na podstawie stosunkowo mało ważnych potknięć w polityce USA.

R.K.: — Nie podzielam niestety Pańskiego, nawet umiarkowanego, optymizmu. Najwierniejsi sympatycy rządów Reagana pytani o sukcesy amerykańskiej polityki zagranicznej ostatnich sześciu lat

wymieniają posunięcia raczej drugorzędne. Mówi się wtedy przeważnie o inwazji Grenady...

I.K.: — Chwileczkę. Mogę Panu wymienić wiele innych osiągnięć na arenie międzynarodowej, które administracja Reagana może sobie w pewnym sensie przypisać. Ruch oporu Afgańczyków i to, że w Afganistanie ciągle trwa wojna domowa jest do pewnego stopnia wynikiem pomocy amerykańskiej dla afgańskich bojowników. Tak samo rebelia w Angoli. Dwa poważne powstania antykomunistyczne trwają w dużej mierze dzięki pomocy ze strony rządu Reagana. Związkowi Sowieckiemu przypisujemy rozruchy w Salwadorze czy Peru, nikt jednak nie docenia roli Stanów Zjednoczonych w podtrzymywaniu antykomunistycznych powstań w krajach zdominowanych przez Sowiety. Wszyscy oczekują, że opór przeciwko Związkowi Sowieckiemu powinien przynieść natychmiastowe rezultaty. Największym natomiast osiągnięciem administracji Reagana w polityce zagranicznej jest utwierdzenie społeczeństwa amerykańskiego w tym, że potęga tego kraju może być w razie potrzeby skutecznie użyta.

R.K.: — Rzeczywiście myśli Pan, że cel ten został osiągnięty?

I.K.: — Jestem o tym przekonany. Oczywiście nie w Kongresie, który ciągle cierpi na syndrom wietnamski. Większość młodszych czterdziestoparoletnich dziś kongresmenów brała przecież udział w opozycji wobec wojny w Wietnamie. Na pewno też nie w Pentagonie, gdzie wietnamski syndrom jest również bardzo silny. A z pewnością już nie w Departamencie Stanu, który w ogóle nie uznaje polityki wojskowej, a tylko dyplomację. Społeczeństwo amerykańskie natomiast gotowe jest — moim zdaniem — poprzeć użycie siły i bardziej odważne posunięcia na arenie międzynarodowej. Czego nam potrzeba, to prezydenta, który byłby prawdziwym przywódcą. Reagan czasami potrafi sprostać temu zadaniu, czasami nie. Częściowo przypomina Theodora Roosevelta, a częściowo generała Eisenhowera; od czasu do czasu postępuje odważnie, a czasami wydaje się mieć dość schematyczną, konserwatywną, dyplomatyczną wizję świata. Sądzę jednak, że w amerykańskim społeczeństwie dokonał się jakiś przełom. Jeśli nawet republikanie przegrają następne wybory prezydenckie, nie będzie to przecież koniec świata.

R.K.: — Pomysł sprzedaży broni Iranowi w zamian za pomoc w uwolnieniu zakładników amerykańskich w Libanie jest kolejnym przykładem, że Zachód — w tym przypadku Stany Zjednoczone — nie jest w stanie przyjąć do wiadomości faktu, że w stosunkach międzynarodowych bardzo często nie można ubić targu. Jak się ostatnio przekonaaliśmy, troska prezydenta o życie zakładników

była bodaj najważniejszym czynnikiem określającym politykę amerykańską wobec jednego z najistotniejszych strategicznie rejonów świata. Tego rodzaju postawa skazuje państwa zachodnie na porażkę w walce z terroryzmem, a Sowiety utwierdza w przekonaniu, że finansowanie i pomoc dla grup terrorystycznych jest rzeczywiście bardzo dobrą i niezbyt kosztowną inwestycją w osłabianie Zachodu. Wnioski takie musiały przyjść do głowy przynajmniej niektórym z doradców Ronalda Reagana. Dlaczego zatem Reagan zgodził się na operację irańską, nawet jeśli nie był w pełni poinformowany o jej szczegółach?

I.K.: — Implikacje operacji irańskiej z pewnością przysły do głowy George'owi Shultzowi i Casparowi Weinbergerowi, którzy obydwa dystansują się od całej sprawy. Pewne jest też, że prezydent jest zbyt sentymentalny, jeśli idzie o amerykańskich zakładników. Ronald Reagan jest rzeczywiście człowiekiem sentymentalnym. Nie jest przywódcą, który potrafi działać z zimną krwią. W historii Ameryki jest to jeden z najmniej makiawelicznych prezydentów.

R.K.: — Sentymentalność nie należy, niestety, do najbardziej wartościowych cech męża stanu...

I.K.: — Błąd Reagana polegał przede wszystkim na fałszywym założeniu, że można sprzedawać broń w zamian za uwolnienie zakładników i że fakt ten zostanie utrzymany w tajemnicy. Osobiście w tym przypadku nie miałbym nic przeciwko sprzedaży broni w zamian za pomoc w uwolnieniu zakładników. Nie miało by to żadnego znaczenia — szczególnie, że były pewne przesłanki, aby sądzić, że w rządzie irańskim istnieje frakcja przeciwna Chomeinemu — ale największym błędem było założenie, że uda się taką operację ukryć.

Szczerze mówiąc nie należą do konserwatystów, którzy uważają terroryzm za jeden z najważniejszych problemów w polityce międzynarodowej. Jest to dla mnie sprawa raczej drugorzędna. Nie interesuje mnie walka z terrorystami. Jeżeli Libia prowadzi działalność terrorystyczną, należy zaatakować Libię. To samo tyczy się Syrii. Interesują mnie wrogie rządy. Nie można rozwiązać problemu terroryzmu *per se*. Terrorysty będą istnieć zawsze. Niech się Pan przez chwilę zastanowi nad sytuacją Wielkiej Brytanii w Irlandii. Brytyjczycy nie mogą sobie dać rady z irlandzkim terroryzmem, bo nie potrafią rozwiązać problemu irlandzkiego. Nie ma zatem czegoś takiego jak wojna z terrorem. Terroryzm pojawia się wszędzie: w Indiach, na Cejlonie, w Sri Lance. Można albo zaatakować źródło terroru, albo pogodzić się z istnieniem terrorystów. Osobiście jestem za tym, aby Ameryka atakowała źródła terroru, czyli Syrię, Libię i Iran. Już daw-

no należało użyć wojsk amerykańskich na Bliskim Wschodzie. Jeśli się tego nie robi, trzeba współżyć z terroryzmem.

R.K.: — *Nie bardzo w związku z tym rozumiem, dlaczego uważa Pan, że sprzedawanie broni Iranowi było nieistotnym błędem?*

I.K.: — Był to nieistotny błąd dlatego, że jeżeli sprzedaje się Iranowi broń w zamian za pomoc w uwolnieniu zakładników, nie musi to wcale stwarzać jakiegoś precedensu. Zapewniam Pana, że nie jesteśmy aż takimi głupcami, na jakich wyglądamy. Jeżeli rząd irański postarałby się wtedy o nowych zakładników i zażądał dalszych dostaw broni, irańska taktyka stałaby się dla każdego jasna i oczywista.

R.K.: — *Nie sądzi Pan, że scenariusz taki jest nieuchronny?*

I.K.: — Zupełnie się z tym nie zgadzam. Zbyt wiele zależy od tego, co się dzieje w samym Iranie, od tego jak wygląda walka frakcyjna w rządzie irańskim i oczywiście od tego, kto dojdzie do władzy po śmierci Chomeiniego. Dlatego jeśli byłaby to jednorazowa akcja, którą można byłoby utrzymać w tajemnicy, uważałbym to za wydarzenie trywialne — niezależnie od tego, czy sam pomyśł był błędem, czy nie. Oczywiście, że jeżeli stałoby się to istotą polityki amerykańskiej w tym rejonie świata, byłoby to niedopuszczalne i samodestrukcyjne. Nie sądzę jednak, aby administracja Reagana rozważała kiedykolwiek możliwość usankcjonowania tego w sumie trywialnego epizodu.

Powtarzam raz jeszcze, problem terroryzmu jest ślepą uliczką polityki międzynarodowej. Wiele krajów na świecie ma do czynienia z terrorem. Są z tego tylko dwa wyjścia: albo spełnia się żądania stawiane przez tych, którzy popierają terrorystów, albo atakuje się i niszczy źródła terroru. Dlatego dyskusja na temat terroryzmu nie ma praktycznie sensu. Jeżeli Palestyńczycy i różne działające w Libanie frakcje Organizacji Wyzwolenia Palestyny rozprzestrzeniają terror, działać trzeba w Libanie, a nie przeciwko działaniom terrorystycznym w Rzymie, Paryżu czy Londynie. A co należy robić w Libanie, to nie jest wcale takie proste, podobnie jak dla Brytyjczyków nie jest jasne, co robić w Irlandii.

R.K.: — *Jakie są według Pana najpoważniejsze konsekwencje polityczne afery irańskiej?*

I.K.: — Niewątpliwie doprowadziła ona do osłabienia administracji Reagana. Jest to jednak raczej kryzys rządowy, a nie jakiś głęboki rozłam w społeczeństwie amerykańskim. Trzeba też pamiętać, że bardzo wielu ludzi tak czy inaczej opuści w tym roku obecny rząd. Demokracja amerykańska ma to do siebie, że z jed-

nej strony jest bardzo niedoskonała, ale z drugiej bardzo wytrzymała na wstrząsy. Myślę, że w ciągu dwu czy trzech lat sprawa ta zostanie zapomniana. Przyszłość demokracji nie zależy od tak małych epizodów. Przeżyliśmy w końcu okropną — jeśli chodzi o politykę zagraniczną — administrację Cartera. Sowiety i inne kraje komunistyczne też popełniają błędy. Nie przewiduję zatem jakiegoś zasadniczego zachwiania równowagi sił na świecie — takiego powiedzmy, jakie miało miejsce za Cartera. Nie myślę też, aby możliwe było w tym kraju powtórzenie ery Cartera, nawet jeśli do władzy dojdzie Partia Demokratyczna.

R.K.: — *W swej działalności publicystycznej i wystąpieniach publicznych od kilku już lat twierdzi Pan, że podstawowym celem amerykańskiej polityki zagranicznej powinno być wyjście Stanów Zjednoczonych z sojuszu, które — Pana zdaniem — uniemożliwiają Ameryce prowadzenie niezależnej polityki międzynarodowej. Nawołuje też Pan do tego, aby USA opuściły NATO co — jak Pan twierdzi — położyłoby kres „wojskowej dobroczynności” Ameryki wobec Europy — dobroczynności, która osłabiła instynkt obronny w narodach zachodniej Europy. Jeden z krytyków tej koncepcji, mówiąc o Pana pomysle wycofania wojsk amerykańskich z Europy, zacytował Leona Gambetta, który po klęsce Francuzów w wojnie francusko-pruskiej powiedział: „Powinniśmy to zawsze mieć w pamięci, ale nigdy nie mówić o tym na głos”. Co skłoniło Pana do głoszenia tak radykalnych poglądów na temat NATO?*

I.K.: — Zaczniemy od zdefiniowania podstawowych pojęć. Zdrowy sojusz między narodami polega na tym, że w państwach które do sojuszu przystępują nieskrępowanie rozwija się duch patriotyczny i narodowy. Sojusz między narodami, w których duch ten jest ustawicznie osłabiany, jest sojuszem z gruntu chorym. Jednym z rezultatów istnienia NATO w jego obecnej formie jest ranienie uczuć patriotycznych w narodach Europy zachodniej. Konsekwencją tego jest używanie haseł patriotycznych i narodowych przez lewicę, której udało się przekształcić je w szeroko dziś rozpowszechniony antyamerykanizm. Jest to możliwe tylko dlatego, że bardzo wielu Europejczyków święcie wierzy w to, że NATO służy interesom amerykańskim, a nie ich własnym.

Równie ważnym problemem związanym z NATO jest kwestia amerykańskich gwarancji na wypadek sowieckiego ataku nuklearnego. Gwarancje te stają się z roku na rok coraz mniej wiarygodne i według mnie są dziś praktycznie mitem. Problem jednak pozostaje: Europa powinna być zdolna oprzeć się Związkowi Sowieckiemu przynajmniej w wojnie konwencjonalnej. Nie ma powodu, aby było inaczej. Jediną przeszkodą jest obecna struk-

tura NATO. To doprawdy zakrawa na ironię, że procent dochodu narodowego jaki wydają na zbrojenia Szwedzi czy Szwajcarzy jest większy od tego, jaki przeznaczają na wydatki wojskowe państwa członkowskie NATO. Kraje NATO wolą finansować kosztowne programy społeczne, żyjąc w przekonaniu, że Stany Zjednoczone gotowe są użyć broni nuklearnej w obronie Europy. W praktyce Ameryka będzie zupełnie bezradna w przypadku wojny konwencjonalnej. W wojnie konwencjonalnej nie będzie czasu, aby wysłać pół miliona wojsk amerykańskich na kontynent europejski. Europejczycy nie potrzebują zresztą żołnierzy amerykańskich — mają pod dostatkiem swoich.

Zakładając NATO, osłabiliśmy według mnie w zachodnich Europejczykach wolę oporu przed Sowietami. Sojusz z demokratycznymi państwami Europy w jego obecnym kształcie wiąże nam tylko ręce. Dla rządów europejskich ważne są partykularne interesy Europy zachodniej. Nie przeszkadza im to jednak we wtrącaniu się do amerykańskiej polityki zagranicznej w innych częściach świata. Zastanówmy się przez chwilę nad tym, jakim absurdem jest to, że Zatoka Perska uważana jest dziś za amerykańską strefę wpływów i że Europa zachodnia nie ma zamiaru użyć swych wojsk, aby zapewnić sobie stały dopływ bliskowschodniej ropy. Przecież to nie Stany Zjednoczone uzależnione są od bliskowschodnich bogactw naturalnych. Po pierwsze mamy własną ropy, po drugie możemy sprowadzać ją z takich krajów jak Nigeria, Wenezuela, Meksyk czy Kanada. To Europie potrzebna jest ropa z Bliskiego Wschodu. Mimo to Europejczycy nie przyjmują do wiadomości, że to na nich spoczywać powinna odpowiedzialność za obronę Zatoki Perskiej. Wydaje się im, że jakoś to będzie, że zawsze będzie się można dogadać z tymi, którzy kontrolować będą Zatokę Perską.

Problem jest jednak dużo poważniejszy i polega na tym, że Europa nie chce odgrywać istotnej roli w polityce światowej. Europejczycy na przykład nie tylko, że nie są dla nas żadną pomocą, ale wyłącznie przeszkadzają nam w Ameryce środkowej. USA nie mają też żadnego pożytku z Europy w Afryce czy w jakimkolwiek innym miejscu świata. Rządy europejskie potrafią tylko protestować przeciwko takiej czy innej polityce amerykańskiej. Nie mam nic przeciwko sojuszowi z zachodnią Europą, powinien to być jednak sojusz korzystny dla obu stron. Stany Zjednoczone powinny pomóc Europie, jeżeli zajdzie taka potrzeba, co nie zmienia faktu, że obowiązek obrony kontynentu europejskiego spoczywa przede wszystkim na barkach zachodnich Europejczyków. USA są wielkim mocarstwem zainteresowanym sytuacją we wszystkich zakątkach świata. Narody zachodniej Europy kierują się swoimi partykularnymi interesami i nie chcą wpływać

na losy świata mimo, że kraje takie jak Francja czy Niemcy, a nawet Anglia, mogłyby z powodzeniem odgrywać dużo większą rolę niż to ma miejsce obecnie. Państwa europejskie przechodzą rodzaj postimperialnego klimakterium, nie chcą kształtować polityki światowej i nie podoba im się czynna postawa Stanów Zjednoczonych. Jeżeli zatem mówię o związujących nam ręce sojuszach, mam przede wszystkim na myśli destruktywną rolę państw europejskich, które uniemożliwiają Stanom prowadzenie swobodnej polityki zagranicznej. Nie twierdzę jednak, że niemożliwy jest zdrowy sojusz Ameryki i Europy.

R.K.: — *Czy nie jest to jednak cechą wszystkich sojuszów? W każdym pakcie interesy jednej strony zawsze jakoś krępują działania strony drugiej.*

I.K.: — Kiedy George Waszyngton użył po raz pierwszy słynnego później określenia „usidlające sojusze”, na pewno nie miał na myśli ówczesnego przymierza Ameryki i Francji. Pakt z Francuzami przeciwko Anglii doprowadził w końcu do zwycięstwa rewolucji amerykańskiej. Mogę Panu podać bardzo dobry przykład zdrowego sojuszu z czasów najnowszych, jakim jest dziś związek Stanów Zjednoczonych z Izraelem. Nie ma między nami formalnego paktu, nie ma też żadnego przymusu. Izrael jest za przyjaźnionym demokratycznym krajem, który z reguły opowiada się po stronie Ameryki. Nie ulega wątpliwości, że jeżeli zajdzie potrzeba, Stany udzielą Izraelowi pomocy. Nie wiadomo natomiast, do jakiego stopnia USA gotowe są angażować się w obronę Izraela. I nie powinno być wiadomo, bo nie wiemy przecież do końca, jak się rozwinie dana sytuacja. Jest to przykład sojuszu, który pozostawia nam swobodę działania. Tak jak Pan mówi, w każdym pakcie trzeba zapłacić jakąś cenę. Koszty powinny być jednak ustalone w granicach zdrowego rozsądku. Dlaczego na przykład słuchać się mamy różnych organizacji międzynarodowych, które powstały w Ameryce Łacińskiej po pakcie w Rio de Janeiro? Dlaczego właściwie państwa Ameryki Łacińskiej decydować mają o tym, czy Stany Zjednoczone mogą użyć swych wojsk w Ameryce środkowej? Możemy przecież pozostać w stosunkach całkowicie przyjacielskich z wieloma z państw Ameryki Łacińskiej bez przyznawania im prawa weta czy też prawa do wtrącania się do polityki zagranicznej USA. Jeżeli chodzi o NATO, to uważam, że powinna to być organizacja czysto europejska, z którą Stany Zjednoczone sprzymierzone byłyby na podobnej zasadzie, na jakiej związani jesteśmy z Izraelem. Powinniśmy udzielić NATO pomocy wojskowej, jeśli zajdzie taka potrzeba. To jednak zupełnie wystarczy. Będzie tak dużo zdrowiej dla obu stron.

R.K.: — Wyda mi się, że nie docenia Pan roli wojsk amerykańskich w przypadku wojny konwencjonalnej na kontynencie europejskim. Zapomina Pan, że wojska USA to jedna czwarta sił NATO.

I.K.: — Czy myśli Pan, że brakuje ludzi w Niemczech, Anglii czy Francji?

R.K.: — Czy nie sądzi Pan, że wycofanie się wojsk amerykańskich z Europy jest dokładnie tym, czego chcą Sowieci?

I.K.: — Nic mi o tym nie wiadomo. Nie jestem wcale przekonany, że jest to celem sowieckim. Co więcej, wydaje mi się, że mogłoby to nawet przestraszyć Związek Sowiecki. Proszę zwrócić uwagę, że Sowieci wcale nie nawołują do wycofania się USA z NATO. Jedyne państwo komunistyczne które byłoby poważnym zaniepokojone, to Chiny. Nie ma moim zdaniem żadnego powodu, aby na poziomie wojny konwencjonalnej — przy amerykańskiej pomocy technicznej — Europa nie była w stanie oprzeć się sowieckiej agresji. Europa nie potrzebuje żołnierzy amerykańskich tak samo jak nie potrzebuje ich Izrael w wojnie z Arabami. Utrzymywanie wojsk w obcym kraju przekształca sojusz w stosunek zależności. A jest chyba dla wszystkich jasne, że nie mamy zamiaru rządzić zachodnią Europą.

Aby postawić sprawę jasno, prezydent Stanów Zjednoczonych powinien zwrócić się do Sowietów z następującą propozycją: wycofajcie swoje wojska z Europy wschodniej, my wycofamy nasze z Europy zachodniej. Sowieci oczywiście nigdy się na to nie zgodzą. Ich prawdziwe intencje stałyby się jednak wtedy dla wszystkich dużo bardziej jasne. Następnym krokiem powinno być oświadczenie Europie zachodniej: bardzo nam przykro, ale nie możemy dłużej trzymać wojsk amerykańskich w Europie w charakterze zakładników. Jest to przecież forma presji wywieranej na prezydenta USA, aby zmusić go do użycia broni nuklearnej w przypadku wojny konwencjonalnej w Europie. Prawda jest taka, że Ameryka wcale nie chce użyć broni atomowej przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Nie myślę zresztą, aby kiedykolwiek doszło do konfrontacji nuklearnej. Byłby to jednak potworny dylemat dla jakiegokolwiek prezydenta jeśli stawką byłaby utrata życia czy niewola dla dwustu tysięcy żołnierzy amerykańskich stacjonujących w Europie. Nie ma żadnego powodu, abyśmy stawiani byli przed tego rodzaju wyborami. Europa ma zresztą swoją własną broń nuklearną.

R.K.: — Zapomina Pan o jednym bardzo istotnym czynniku, a

mianowicie o geografii. Nawet jeśli — co jest dziś prawie niewyobrażalne — Związek Sowiecki wycofa swoje wojska z Europy wschodniej, to w przypadku wojny konwencjonalnej przerzucenie ich z powrotem na granice Francji czy Niemiec jest kwestią godzin. Jakakolwiek wojskowa pomoc amerykańska stanie się wtedy wyłącznie figurą retoryczną.

I.K.: — Powtarzam, że wojska amerykańskie nie są aż tak ważne. Można je z łatwością zastąpić europejskimi. Dwieście tysięcy żołnierzy nie zadecyduje o skuteczności obrony zachodniej Europy. Same Niemcy i Francja — jeśli uznają, że istnieje taka potrzeba — powiększyć mogą siłę swych armii o tę brakującą liczbę żołnierzy. Poza tym, przy dużo wyższym poziomie technicznym w uzbrojeniu Zachodu, nie wiadomo nawet jak znaczna jest sowiecka przewaga w broni konwencjonalnej. Nie należy też zapominać, że w skład wojsk sowieckich wchodzi wojska wschodnioeuropejskie, na których ZSSR nie może przecież polegać w stu procentach w wojnie z zachodnią Europą. Oczywiście, że Związek Sowiecki zawsze może przerzucić z powrotem swe armie do Europy wschodniej. Nawet jednak przy takim scenariuszu nie sądzę, aby miało sens wysyłanie żołnierzy amerykańskich do Europy. Jeżeli wojska sowieckie zaatakują Europę zachodnią, co stoi na przeszkodzie, aby wojska NATO wkroczyły do Czechosłowacji czy Polski? Nie byłoby to wcale takim złym pomysłem.

R.K.: — Jest Pan oskarżany, nawet przez Pańskich politycznych przyjaciół, o izolacjonizm. Jest to oskarżenie, któremu Pan wielokrotnie zaprzeczał. Jaką zatem widzi Pan alternatywę do obecnej europocentrycznej polityki zagranicznej USA?

I.K.: — Po pierwsze wycofanie się Stanów Zjednoczonych z NATO powinno odbyć się stopniowo. Nie można tego zrobić z dnia na dzień. Powiedzmy, że wycofalibyśmy nasze wojska w ciągu pięciu lat, aby Europejczycy mogli w tym czasie przygotować się do zmienionej sytuacji. Chciałbym w tym miejscu zaznaczyć, że jestem optymistą, jeśli chodzi o zdolności obronne narodów europejskich. Pesymiści uważają, że państwa europejskie rozpoczęłyby natychmiast negocjacje z Sowietami i że nigdy nie byłyby w stanie przeciwstawić się sowieckiej agresji. Moja reakcja na to jest taka: bardzo proszę, niech próbują dogadać się ze Związkiem Sowieckim. Cóż oni mogą od Sowietów uzyskać? A raczej co mogą zaofiarować Związkowi Sowieckiemu? Pieniądze? Od dawna już przecież dają Sowietom pieniądze. Jeżeli zaczęłyby dawać jeszcze więcej, załamanie się europejski system bankowy. Nie sądzę więc, aby rozmowy takie mogły do czegoś doprowadzić. Lewica z pewnością próbowałaby to robić, ale efekty byłyby raczej mizerne.

Użył Pan określenia „europocentryczna polityka zagraniczna”. Otóż jestem przeciwny jakiegokolwiek centralnemu wyznacznikowi dla amerykańskiej polityki zagranicznej. Polityka zagraniczna powinna być raczej wynikiem kalkulacji nadarżających się okazji i możliwości. Kto to wie, czy do następnego poważnego konfliktu między Związkiem Sowieckim i Stanami Zjednoczonymi nie dojdzie na tej półkuli, a nie na kontynencie europejskim? Może się to też stać na Bliskim Wschodzie czy w Afryce. Do pewnego stopnia zależy to od Sowietów.

Europa zachodnia jest bardzo ważną częścią świata. Na szczęście państwa zachodnioeuropejskie ciągle jeszcze są suwerenne. Aby utrzymać niepodległość, trzeba jednak przynajmniej być gotowym bronić własnego terytorium. Stany Zjednoczone i tak będą bronić Zatoki Perskiej czy też innych części świata, w których zachodni Europejczycy nie chcą odgrywać żadnej pozytywnej roli. Niestety Europa demobilizuje nas tylko i uniemożliwia USA prowadzenie konsekwentnej globalnej polityki. To Europejczycy cierpią na europocentryzm i próbują narzucić innym swoją wizję świata. Wiele krajów uważa, że robią Stanom Zjednoczonym łaskę, pozwalając nam, abyśmy udzielali im pomocy. Przecież to zupełny absurd. Nie można oczekiwać wdzięczności w stosunkach międzynarodowych, ale nikt nam też nie robi łaski, pozwalając, abyśmy dbali o jego interesy. Dotyczy to tak samo Europy jak Filipin, Pakistanu czy Korei Południowej.

R.K.: — *Od czasów pierwszej wojny światowej dzieje świata wyznacza konflikt między dwiema ideologiami: marksizmem-leninizmem i liberalnym internacjonalizmem. Szczególnie od czasów II wojny światowej marksizm-leninizm stał się solidną podstawą sowieckiej polityki zagranicznej. Polityka kierująca się ideałami liberalnego internacjonalizmu nie tylko okazała się mało skuteczna, ale doprowadziła do poważnego osłabienia Zachodu. Stwierdził Pan niedawno, że celem amerykańskiej polityki zagranicznej powinna być próba „ideologicznej reformacji” Związku Sowieckiego. Co Pan ma na myśli, mówiąc o ideologicznej reformacji ZSSR, jak ma do niej dojść i jaka miałyby być w tym rola Stanów Zjednoczonych?*

I.K.: — Po pierwsze, pomimo że polityka zagraniczna oparta na liberalnym internacjonalizmie okazała się nieskuteczna (była od samego początku utopią), model sowiecki wcale nie działa aż tak niezawodnie. Sowietyzm potyka się ciągle o coś, co jest silniejsze od marksizmu-leninizmu. Mam na myśli nacjonalizm. Fakt, że istnieją państwa takie jak Chiny czy Jugosławia (państwa bądź to Sowietom nieprzyjazne, bądź prowadzące w miarę niezależną politykę) jest dla mnie dowodem, że dochodzi w dzisiejszym

świecie do rozpowszechniania się nacjonalistycznych odmian systemu komunistycznego. Kraje te nie muszą wcale pozostawać pod dominacją sowiecką. Wydaje mi się, że dojdzie do tego po śmierci Castro na Kubie, gdzie Sowietci nie są wcale tacy popularni. Kuba uzależniona jest oczywiście od sowieckiej pomocy gospodarczej, ale pomoc ta wystarcza zaledwie na dość nędzny poziom życia Kubańczyków. Gospodarczo Kuba staje się coraz bardziej zacofana. Sowiecka polityka zagraniczna jest więc pełna wewnętrznych sprzeczności. To, że Sowietci nie potrafią rozwiązać problemu nacjonalizmu odgrywać będzie, jak myślę, coraz większą rolę. Jaka powinna być więc amerykańska polityka zagraniczna, aby doprowadzić do ostatecznej klęski ideologii marksistowsko-leninowskiej? System komunistyczny utrzymuje się w Związku Sowieckim tylko dlatego, że ZSSR jest wielkim mocarstwem. Bo nie jest to przecież wynikiem ani osiągnięć gospodarczych, ani popularności ideologii marksistowsko-leninowskiej w społeczeństwie sowieckim. Nie ma też czegoś takiego jak sowiecki model życia — jest tylko rosyjski model życia. Rosji sowieckiej nie udało się po prostu ustanowić akceptowanej przez większość społeczeństwa filozofii życia.

R.K.: — *Kiedy mówi Pan, że nie ma czegoś takiego jak sowiecki model życia, to tak jakby Pan zaprzeczał istnieniu komunizmu. Czy chce Pan przez to powiedzieć, że po siedemdziesięciu latach od rewolucji bolszewickiej społeczeństwo sowieckie, a szczególnie pokolenia urodzone pod sowieckim panowaniem, nie uległo procesowi zwyrodnienia, które niesie ze sobą komunizm?*

I.K.: — To, że się ktoś rodzi pod komunizmem nie robi jeszcze z niego komunisty.

R.K.: — *To prawda, ale nie to przecież miałem na myśli.*

I.K.: — Chodzi mi o to, że Związek Sowiecki jest bankrutem. Rewolucja, która miała miejsce w Rosji nie przyniosła przemian, które byłyby podstawą do akceptowanego przez większość modelu życia. Ludzie w Związku Sowieckim zgadzają się na komunizm, bo nie mają innego wyjścia, a nie dlatego, że w to wierzą. To co pozwoliło systemowi sowieckiemu przetrwać, to zwycięstwo w drugiej wojnie światowej. Było to kluczowe wydarzenie, które spoiło nacjonalizm z systemem. Do dziś jest to podstawą siły Związku Sowieckiego. Tak długo jak ZSSR jest światowym mocarstwem, tak długo system ten może sobie poradzić z niepowodzeniami wewnętrznymi. Tylko jeżeli Amerykanom uda się zniszczyć potęgę Związku Sowieckiego na arenie międzynarodowej i jeśli dla rządzącej elity sowieckiej stanie się jasne, że polityka zagraniczna oparta na marksizmie-leninizmie nie przynosi

zamierzonych rezultatów, można będzie spodziewać się rzeczywistych zmian w ZSSR. Trudno mi jednak przewidzieć jakich. Dość łatwo jest wyobrazić sobie w Związku Sowieckim pucz wojskowy. Wcale nie jest powiedziane, że Rosja byłaby wtedy mniej groźna. Pociągnęłoby to jednak za sobą drastyczne zmiany w ideologii komunistycznej, tak jak Napoleon po Rewolucji Francuskiej doprowadził do drastycznego przekształcenia ideologii jakobińskiej. Nasze możliwości zmieniania systemu sowieckiego są przecież bardzo ograniczone. Jak dotąd Zachodowi nie udało się odegrać znaczącej roli w sowieckich rozgrywkach wewnętrznych. To natomiast, co jest absolutnie możliwe do zrobienia, to utrudnianie Sowietom życia gdziekolwiek się tylko da. Doprowadzić to w końcu musi do eskalacji napięć wewnątrz Związku Sowieckiego. Jedynym scenariuszem jaki przychodzi mi do głowy jest to, że w miarę pogłębiającego się bankructwa partii dojdzie w ZSSR do przejścia władzy przez wojsko.

R.K.: — *Nie zgadzam się z Pana analizą. Przywołując przykład Napoleona twierdzi Pan właściwie, że system sowiecki podobny jest do innych systemów znanych z historii, czyli, że ulegać on będzie podobnej ewolucji. Na jakiej podstawie na przykład opiera Pan swoje przypuszczenie, że wojsko odbierze w Związku Sowieckim władzę partii? Czy nie ulega Pan tu pomysłom zachodniej sowietologii, której ulubionym zajęciem jest wynajdywanie konfliktów i podziałów wewnątrz sowieckiej elity władzy, różnic które częstokroć nie mają nic wspólnego z rzeczywistością?*

I.K.: — Chodzi mi tu o to, że system sowiecki wcale nie jest solidnie ugruntowany. Jest to system słaby w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi czy nawet z Francją w tym sensie, że większość społeczeństwa sowieckiego nie utożsamia się z sowieckim modelem życia i nie akceptuje własnego rządu. Sowietci ciągle o to zabiegają, ale bez większych sukcesów. Amerykanizm jest czymś automatycznie akceptowanym przez większość Amerykanów, jest czymś, czego nie trzeba się uczyć. Nie można tego natomiast powiedzieć o marksizmie-leninizmie w Związku Sowieckim. Przeciętny Rosjanin w najlepszym wypadku ideologię ignoruje, a na pewno już w nią nie wierzy. Dlatego zakładam, że sowietyzm musi upaść.

R.K.: — *Ciągle nie rozumiem, dlaczego tak drastyczne zmiany w systemie sowieckim miałyby być nieuniknione?*

I.K.: — Nie mówię, że są one nieuniknione. Twierdzę raczej, że muszą być wymuszone przez presję międzynarodową. System sowiecki w jego obecnej formie utrzymuje się przy życiu tylko dlatego, że Związek Sowiecki jest światowym mocarstwem. Fakt

ten sprawia, że nacjonalizm współgra z ideologią komunistyczną. Rosjanie są jednak przede wszystkim nacjonalistami, a nie wyznawcami marksizmu-leninizmu. Im mniej skuteczna będzie polityka zagraniczna oparta na ideologii komunistycznej — a to zależy oczywiście w dużej mierze od tego, co zrobimy aby powstrzymać sowiecką ekspansję — tym słabiej rosyjski nacjonalizm związany będzie z marksizmem-leninizmem. Doprowadzić to musi nieuchronnie do odrzucenia ideologii komunistycznej. Czym będzie ona zastąpiona — nie wiem. Obawiam się, że może przybrać formy wcale nie tak dla nas bezpieczne. Sowiety przestaną być jednak totalitarne. Obecny system po prostu nie działa.

R.K.: — *Nie działa? Istnieje przecież od siedemdziesięciu lat i zaskakuje nas ciągle inwencją i umiejętnością przetrwania.*

I.K.: — Moim zdaniem system sowiecki nie przetrwałby, gdyby nie druga wojna światowa. Doświadczenie drugiej wojny światowej zjednoczyło społeczeństwo sowieckie z systemem. Dwadzieścia milionów ludzi którzy zginęli w obronie ZSSR to kapitał, z którego Sowietci czerpią do dziś. Ten emocjonalny kapitał z każdym jednak rokiem się kurczy. Jest dla mnie oczywiste, że nikt w Związku Sowieckim nie bierze marksizmu-leninizmu poważnie. Nikt się tam tak naprawdę nie przejmuje ideologią. Większość ma do tego stosunek cyniczny, z wyjątkiem może małej grupy ludzi na szczycie, którzy muszą się tym zajmować. Rewolucje albo upadają, albo stwarzają nową dogmę, czyli system rządów, system wartości i model życia akceptowany przez większość społeczeństwa. Większość rewolucji upada, wiele kończy się autorytaryzmem czy totalitaryzmem, które utrzymują się przy władzy wyłącznie dzięki przemocy. Ale w końcu systemy takie muszą się zawalić dlatego, że nie mają one żadnych solidnych fundamentów.

R.K.: — *Nie wierzy Pan zatem w istnienie homo sovieticus?*

I.K.: — Nie ma czegoś takiego jak *homo sovieticus* z wyjątkiem może najwyższych eszelonów sowieckiej biurokracji. Ale nawet tam polega to głównie na zachowywaniu pozorów. Weźmy na przykład stosunek młodzieży sowieckiej do Zachodu. Młodzi ludzie w ZSSR zajmują się naśladowaniem zachodnich mód i słuchaniem zachodniej muzyki popularnej, wybierając — nawiasem mówiąc — najgorsze elementy zachodniej kultury. Oczywiście jest w tym, co mówię, trochę przesady. Każdy system stwarza grupę beneficjentów, którzy za wszelką cenę chcą utrzymać *status quo*. Moje wrażenia ze spotkań z Sowietami są jednak takie, że większość z nich to nie komuniści, a sowieccy urzędnicy, którzy chcą rozmawiać o wszystkim, tylko nie o Związku Sowieckim.

„Naukowcy” z Instytutu Arbatowa prześcigają się w marksistowskich analizach sytuacji w USA, ale odmawiają rozmów o swoim własnym systemie.

R.K.: — Kilka lat temu napisał Pan artykuł pod tytułem „Do kogo należy przyszłość?”, w którym stwierdził Pan, że w dobie polityki zdominowanej przez ideologię wygrać ci, którzy nie boją się ryzyka. W okresie prezydentury Reagana, w którym wielu pokładało tak duże nadzieje, nie sformułowano ani jednego odważnego, jednoznacznie brzmiącego oświadczenia ideologicznego, które stać by się mogło drogowskazem dla amerykańskiej polityki zagranicznej. Skończyło się na desperackiej próbie utrzymania status quo. Czy ciągle myśli Pan, że przyszłość należy do Stanów Zjednoczonych?

I.K.: — Na pewno jest to ciągle wiarą społeczeństwa amerykańskiego. W stosunkach międzynarodowych nie można jednak zwyciężyć pozostając biernym. A już z pewnością przyszłość nie należy do tych, którzy nie są w stanie prowadzić skutecznej polityki zagranicznej, która musi opierać się również na zwycięstwach wojskowych. Dlatego twierdzę, że pierwszym krokiem powinno być uwolnienie się Stanów Zjednoczonych z więzów w postaci zagmatwanych sojuszków i spowiadania się przed rozlicznymi organizacjami międzynarodowymi, które stworzył liberalny internationalizm. Trzeba skończyć raz na zawsze z liberalnymi mitami o „wolnym świecie” czy „demokratycznej wspólnocie narodów”. Puste hasła nie wystarczą, a obrona własnych wartości czy instytucji połączona być musi z realnymi zwycięstwami na arenie międzynarodowej.

Rozmawiał Robert KOSTRZEWA

Nowy Jork, 4 lutego 1987 roku

Rozmowa z Bogdanem Borusewiczem

EWA BERBERYUSZ: — Zapamiętałam Pana w biegu, w październiku 1980, w gdańskim MKZ-ecie, kiedy zamiast entuzjasmu, wzruszył Pan ramionami. Miałam ochotę zagadnąć Pana, ale pobeigłam za tymi, za którymi wszyscy wówczas biegali.

Już wtedy miał Pan krytyczne spojrzenie na rosnący nieprawdopodobnie szybko ruch. Jak Pan dziś widzi „Solidarność”, po szoku, i kiedy nie liczy już dziesięciu milionów?

BOGDAN BORUSEWICZ: — Być może, że optykę mam skażoną własnym zaangażowaniem. Pierwsza sprawa: jak nas liczyć? Działacze w skali kraju jest około kilkudziesięciu tysięcy; jest to nadal ruch robotniczy wielkich zakładów, choć w zależności od środowiska ton może nadawać inteligencja, jak dzieje się np. w Warszawie. Co zaś do wpływów „Solidarności”, to najogólniej mówiąc, dotyczą one tej części ludzi, którzy nie wstąpili do neozwiązków ani nie głosowali. Oni są naszym zapleczem.

E.B.: — Nie za pochopny szacunek? Mogli nie głosować z niechęci do władzy, ale czy oznacza to nadal związek z „Solidarnością”? Czy nie sądzi Pan, że tu się coś zmieniło i nadal zmienia?

B.B.: — Nie sądzę. Według mojej obserwacji postawy demonstracji przeciwko władzy nie połączone z akceptacją „Solidarności” należą do marginalnych. Tak, zgoda, głosowanie nie jest żadnym referendum za „Solidarnością”, ale skoro władza zrobiła z niego referendum „za władzą” i ludzie o tym wiedzieli, to siłą rzeczy te pięć milionów nie głosujących uważam za naszych sojuszników. W więzieniu czytałem badania PAN-owców na ten temat, z których wynika potwierdzenie tych liczb.

E.B.: — Czyli gdyby „Solidarność” została zalegalizowana, te pięć milionów byłoby jej członkami?

B.B.: — Jeśliby „Solidarność” została zalegalizowana, byłoby nas piętnaście milionów. Te pięć to jest baza na dziś. Natomiast ludzi, do których docieramy przez prasę, jest, mówiąc na wyczuć, około miliona.

E.B.: — A gdyby Panu dać sito, kogo by Pan świadomie odcodził od „Solidarności”?

B.B.: — Tylko aktywną policję polityczną.

E.B.: — Wielka tolerancja.

B.B.: — Proszę Pani, „Solidarność” nie jest i nie ma być ani partią, ani monolitem społecznym.

E.B.: — Ale ma być pewną postawą. Jest taka Pańska uwaga w „Konspirze”, wprowadzająca element moralności: w czasie szalonego boom'u „Solidarności”, kiedy ludzie prześcigali się

w przypinaniu sobie jej emblematów, powiedział Pan, że sukces wcale nie czyni ludzi lepszymi. Czy teraz, kiedy jest gorzej, kadra jest lepsza?

B.B.: — Daleko! Nastąpiła naturalna selekcja. Nie spotkałem osoby działającej w podziemiu bez głębszej motywacji. Karierowicze nie podejmują działań podziemnych. W sytuacji, kiedy za „Solidarność” idzie się do więzienia, z czym trzeba się liczyć, jest rzeczą normalną, że część ludzi odchodzi. Tajność nie czyni ludzi lepszymi, ale zgłaszają się do działań tajnych lepsi. Mówię to z całą odpowiedzialnością.

E.B.: — *A jak ci lepsi dają sobie radę z deformacją, bo tajność jednak deformuje?*

B.B.: — Nie jest to konspiracja typu wojskowego, z centralnym dowodzeniem, rozkazami i krajami, ale działalność zupełnie dobrowolna, więc nie łamię ludzi. Ponadto prasa podziemna jest znacznie bardziej niezależna niż była za jawnej „Solidarności”. Jeśli błądzimy, natychmiast nam to wytyka i wcale nie powściąga się w krytyce. Kto tylko ma nam coś za złe, może wziąć watek i wydrukować wszystko, co zechce. Krytyka bywa na różnym poziomie, ale nie spuszcza nas z oczu, toteż ja u swoich podziemnych kolegów negatywnych stygmatów konspiracji nie zauważyłem. Zresztą włączyli się w życie „na powierzchni” bez najmniejszych trudności. Wysunąłbym tezę, że w naszej sytuacji działalność jawna bardziej naznacza człowieka niż konspiracja. W konspiracji mówi się, co się myśli, natomiast człowiek, którego władza może osiągnąć w każdej chwili, jest zawsze nacechowany obawą przed przekroczeniem granicy bezpieczeństwa i stan ten deformuje jego słowa i poczynania. Teraz, kiedy jestem w domu, mnie też ta jawność naznacza... Inna rzecz, że konspiracja może działać niekorzystnie na ogład świata. Trudno mi powiedzieć, na ile mój obraz się skrzywił; zadawałem ludziom pytania, żeby to sprawdzić, i okazało się, że nie różniłem się zbytnio od innych w widzeniu rzeczywistości. Z wyjątkiem dwu rzeczy: roli Kościoła i tego ogromnego ruchu, jaki powstał „przy Kościele”. Nie miałem o tym pojęcia, będąc w ukryciu. Po śmierci księdza Popiełuszki nastąpiła chyba jeszcze większa radykalizacja kleru, nie myśli pani?

E.B.: — *Nie nazywałabym tego radykalizacją, bo jest w tym pewne spłaszczenie. Tu chodzi nie tyle o radykalizację, co o upomnienie się o prawdę i krzywdę ludzką, czyli o to, co jest w doktrynie — o Ewangelię.*

B.B.: — Druga rzecz, z której nie zdawałem sobie sprawy w

podziemiu, to rola TKK. Tkwiąc w niej, nie docenialiśmy jej roli, tym bardziej, że przychodzili ludzie z różnych stron z żadaniami, żeby TKK rozwiązać. Teraz myślę, że gdyby nie było TKK, nie byłoby też takiego oporu. TKK miała rolę inspirującą.

E.B.: — *A nie formalną? Nie tylko jako adres, na który można adresować w razie czego?*

B.B.: — Czy to mało? Do TKK weszli ludzie, którzy uchowali się, bądźmy szczerzy, na zasadzie szybkich nóg. Przede wszystkim ci, którzy chcieli i umieli uciec. Stali się reprezentacją. Musieli zapracować na ten tytuł.

E.B.: — *Ale czy jest celowe trzymanie reprezentacji tylko na „w razie czego”? „W razie czego”, to właściwi ludzie się znajdują.*

B.B.: — Niekoniecznie tacy. Gdyby w Sierpniu nie było przygotowanych struktur, Sierpień miałby zupełnie inny wymiar. Skończyłoby się pozostaniem w starych związkach na lepszych finansowych warunkach. Sprawa wysunięcia postulatów wychodzących poza interes robotniczy musiała dojrzewać. My, którzy robiliśmy wolne związki jeszcze przed Sierpniem, mieliśmy świadomość, że należy dążyć do pewnej formuły współpracy z innymi środowiskami, toteż całkiem naturalnie grupie, która przyjechała na strajk z Warszawy, zaproponowaliśmy status doradców, żeby ich po prostu włączyć. No i tak wykrystalizował się duch Sierpnia. A o znaczeniu TKK przekonałem się dopiero, kiedy wyszedłem. Bo dlaczego Pani do mnie przyjechała?

E.B.: — *Nie tylko dlatego! Zapamiętałam Pana jako indywidualność już wtedy, w tym kotle na Grunwaldzkiej. A co do TKK, to zgodzi się Pan, że o żywotności ruchu decyduje nie Tymczasowa Komisja, ale obecność w zakładach. Jeśli tam „Solidarność” przepadnie, to zamknie się historyczny rozdział. Toteż dobrze, że główni działacze zaraz po zwolnieniu pierwsze kroki skierowali do macierzystych zakładów — cóż, kiedy ich nie przyjęto...*

B.B.: — W dużych zakładach główni działacze i tak nie pracowali zawodowo, tylko byli na etacie związku. Weźmy *casus* Wałęsy. Pracuje osiem godzin dziennie w swoim zakładzie, ale jest całkowicie izolowany. Daleki jestem od tego, żeby władzy coś radzić, ale przykład Wałęsy wskazywałby na rozwiązanie. Tymczasem władza nie przyjmując tamtych do pracy, pozostawia im 24 godziny na dobę na działalność związkową.

E.B.: — Jeszcze raz zacytuję „Konspire”: „dajcie mi szkło powiększające, żebym mógł zobaczyć eksperta z prawdziwego zda-

zenia", tak się Pan tam wyraził. Problem nie tak ważny obecnie, ale co chciał Pan powiedzieć?

B.B.: — To, co pani przytoczyła z „Konspiiry”, nie odnosi się do oceny osób, ale do ich roli w związku: do tych stawianych im niemożliwych wymagań. Stosunek do nich od początku był niezdrowy: z jednej strony zagrały kompleksy antyinteligencje, z drugiej — przecenianie ich roli. Rozwiązań, których oczekuje społeczeństwo nie wymyślą eksperci. Ponadto „klasyczny” ekspert powinien tylko odpowiadać na zadane pytania. A takich w „Solidarności” nie ma i nie będzie. Podział jest więc czysto formalny. Eksperci to w gruncie rzeczy działacze o określonych ambicjach i preferencjach politycznych.

E.B.: — Geremek kandydował na Zjeździe do władz Mazowsza, ale przepadł.

B.B.: — I bardzo dobrze! Nie, że przepadł, tylko że kandydował do władz regionu jako działacz, którym *de facto* był i jest.

E.B.: — Jak dbacie o narybek w „Solidarności”?

B.B.: — Wcale! Choćby dlatego, że organizowanie ludzi bardzo młodych jest ryzykowne ze względu na represje. Młodego łatwiej złamać. Widzę wyraźną cezurę wieku między młodzieżą a nami. Trzonem „Solidarności” jest pokolenie trzydziestoparolatków.

E.B.: — Wobec tego co Pan myśli o ruchu młodszych, Wolność i Pokój?

B.B.: — Myślę same dobre rzeczy. Podejmują działanie na własny rachunek, nie wieszają się na nas; są samodzielni i zajmują się rzeczami, którymi nikt się u nas jeszcze nie zajął. Jeśli byłbym w ich wieku, też bym coś takiego robił. Dobrze, że nie utożsamiają się z „Solidarnością”. Przychodzą po nas.

E.B.: — Zaraz! Ludzie jeszcze czegoś od was chcą! Chcą wiedzieć, co mają robić, jak się ustosunkować do kolejnych „zagrań” władzy, chcą wytycznych, chcą programu.

B.B.: — Wołanie o program pochodzi od ludzi, którzy nigdy nie działali i nie mają pojęcia, jak działanie wygląda. Jeżeli ktoś od istnienia programu warunkuje swoją aktywność, to znaczy, że chce znaleźć sobie alibi, żeby nic nie robić. Albo w ogóle nie rozumie sytuacji. Bo program, jeśli ma być realny, musi być szczegółowy; musi pochodzić od grupy o podobnych zapatrywaniach politycznych. W „Solidarności”, owszem, są ludzie o

wykrystalizowanych poglądach politycznych, ale większość żadnych inklinacji ani preferencji politycznych nie ma. Nie chcą się opowiadać ani za lewicą, ani za prawicą...

E.B.: — Bujak zapytany na spotkaniu o swój stosunek do komunizmu powiedział, że to jest jego prywatna sprawa.

B.B.: — No właśnie. Ja osobiście jestem człowiekiem, który zatrzymuje się na poziomie działania społecznego. Mnie działania polityczne nie bardzo obchodzi. A do tego, żebym działał, nie muszę mieć ani wytycznych, ani programu. Program by nas podzielił. A czasy nie są po temu, żeby się dzielić. Po to, żeby wiedzieć, iż w Polsce jest źle i w jakim kierunku należy iść, nie trzeba mieć programu.

E.B.: — Rozumiem, że każdy powinien mieć taki swój prywatny, mały program, tak? Czy nie przecenia Pan ludzi? A o co Wałęsa powinien zwracać się do władzy?

B.B.: — A czy powinien się w ogóle zwracać? Mógłby to robić, gdyby władza zmieniła do niego stosunek. W każdym razie nie powinien sobie głowy zaprzątać podpowiadaniem, co oni powinni zrobić żeby było lepiej.

E.B.: — Nie? A kto to ma robić?

B.B.: — Jest to łączenie dwóch funkcji: związku zawodowego i gabinetu cieni. Istniała do niedawna taka pasja podpowiadania, wskazówek, opracowań, raportów, ale to spowszedniało. Ani władza, ani ludzie tego dziś nie czytają.

E.B.: — A co ludzie czytają?

B.B.: — Przede wszystkim informacje i krótkie rzeczy, które dotyczą ich bezpośrednio.

E.B.: — Zgadza się. W stanie wojennym rzucaliśmy się na teoretyczne opracowania, teraz mnie nudzą.

B.B.: — I mnie. Myślę, że teksty o tym, jak to z nami jest, a jak być powinno, czyli taka słuszna referująca eseistyka, już nie mają wzięcia.

E.B.: — To co Pan ostatnio czytał?

B.B.: — Kupiłem ciekawą książkę Borodzieja „Terror i polityka”. Polecam.

E.B.: — Kto to wydał?

B.B.: — PAX. Traktuje o tym, jak hitlerowski aparat ścigania tropił podziemie. Okazuje się, że z policji wychodziły propozycje ograniczenia represji na rzecz działań politycznych, próby zróżnicowania stosunku do poszczególnych organizacji po to, żeby je wykorzystać.

E.B.: — *Dziel i rządź, stary arsenał socjotechniki władzy. Nic z tego nie wyszło, bo wszystkich niszczone jednakowo. Czym Pan teraz żyje?*

B.B.: — Działalnością. Doszła rodzina. Radość z posiadania rodziny koło siebie jest tak duża, że przeważa wszystko inne. Nie jestem typem człowieka uważającego, że rodzina zabiera czas. Mnie rodzina jest potrzebna, żeby normalnie żyć i normalnie funkcjonować. Jako miejsce wytchnienia.

E.B.: — *Wytchnienia? W tym pokoju z wnęką kuchenną we czworo?! Tu, skąd matka musiała wyjść z Kingą na spacer, żebyśmy mogli porozmawiać, i gdzie Sebastian odrabia lekcje w łazience?*

B.B.: — Miałem na myśli inne wytchnienie. A co do ciasnoty, to ją nieźle znosimy. Ja do takiego życia przywykłem, bo nie miałem ani własnego kąta, ani własnego życia, cały czas byłem dyspozycyjny, a ostatnio musiałem się przyzwyczaić do jeszcze mniejszego metrażu. Żona też cieszy się z tego, co ma, że wróciłem. Nie jesteśmy oboje maksymalistami. Wie pani, ciasnota nie jest tym, co by mnie przyprawiało w tej chwili o zmartwienie.

E.B.: — *A co Pana przyprawia o zmartwienie?*

B.B.: — Przyszłość kraju. Miejsce, gdzie żyję ja, moje dzieci, moja rodzina. Sytuacja, w której przyszło nam wszystkim żyć, jest bardzo trudna pod względem jakiegokolwiek manewru, bo sposób sprawowania władzy wiąże się z modelem gospodarki na zasadzie naczyń połączonych.

E.B.: — *A nie podnieca Pana ten wiatr od wschodu, który zaczął wiać?*

B.B.: — Nie podnieca mnie. Oczywiście zjawisko pod tytułem „Gorbaczow” jest ciekawe, jeszcze ciekawsze są Chiny, mające zresztą pierwszorzędny wpływ na to, co się dzieje w Rosji. Jednak my jesteśmy znacznie dalej...

E.B.: — *Ale utarło się, że jak w Rosji mróz, to i u nas mróz, jak w Rosji odwilż, to i u nas odwilż...*

B.B.: — Tak było za Stalina, kiedy obowiązywało sterowanie bezpośrednie. Myślę, że to, co dzieje się w Rosji obecnie, może mieć silniejszy wpływ w takich krajach jak Czechosłowacja czy Bułgaria. W Polsce zakres swobód jest znacznie szerszy niż w Rosji, więc można by odwrócić sytuację i powiedzieć, że to, co się niedawno u nas działo, wywarło swój wpływ i na Rosję.

E.B.: — *Konkretnie: czy gdyby Jaruzelski chciał odwiedzić „Solidarność”, spotkałby się ze sprzeciwem Gorbaczowa?*

B.B.: — Nie wiem, czy akurat Gorbaczowa. Ale w czasie jawnej „Solidarności” mieliśmy przykłady tego sprzeciwu poprzez sterowaną reakcję krajów satelickich. Skądinąd Gorbaczow umie zaskakiwać. Wykazuje taką elastyczność, że kto wie...? W polityce liczą się fakty. Chcę przez to powiedzieć, że niektóre fakty trzeba akceptować. Tak było z Sierpniem w Polsce. Sierpień nie był dla Rosji korzystny, ale ponieważ można go było obalić tylko siłą, więc go chwilowo zaakceptowano, bo to było wówczas opłacalnniejsze niż bezpośrednie okazanie „bratniej pomocy”.

E.B.: — *Czy „Solidarność” jest przygotowana na ponowne zaistnienie?*

B.B.: — Jest. Czyż wymaga to specjalnych przygotowań? Po prostu zacząć działać struktury, które przedtem działały, a życie nastreczy problemy, które trzeba będzie rozwiązywać na bieżąco. Modelu postępowania nie sposób wymyśleć z góry.

E.B.: — *Mam pytanie, przed którym się wzbraniam, bo może to tylko moje prywatne lęki: czy „Solidarność”, która dała ludziom świadomość społeczną poprzez kurację wstrząsową — co uważam za najcenniejszy dar — nie powinna dziś ukłonić się i przejść do historii? Czy jej obstawanie przy własnym istnieniu nie staje się kłopotliwe? I druga sprawa: czy nie mogąc działać jawnie, z tym wszystkim co jawność niesie, a więc z tą otrzeźwiającą korektą postępowania — nie grozi jej uwiąd w pseudoszlachetnym geście? Już nie mówiąc o tym, że niemożność autentycznego działania prowadzi do różnych śmiesznych działań zastępczych. Na przykład w środowisku warszawskim widać wzrost różnych snobizmów, na przykład uczestnictwo w niekończących się rautach z dyplomatami. Gorzki śmiech mnie ogarnia, gdy widzę ludzi wielkiej wiedzy umizgujących się do dyplomatów znacznie od nich głupszych. Czy elita nam się nie zestarzała?*

B.B.: — Można się z tego śmiać, ale czy gorzko? Nie ma to wielkiego znaczenia i sprowadza się tylko do Warszawy. Warszawa zawsze taka była. Mnie bardziej interesuje drugi problem,

który pani poruszyła: być albo nie być „Solidarności”. Gdyby ktoś znalazł lepszą formułę! Ale dopóki istnieją ludzie chcący płacić cenę za „Solidarność”, którzy chcą działać w jej strukturach (o liczebności już mówiliśmy) — dopóty powinna istnieć. Jest jedyną w Polsce siłą w tej skali, obok Kościoła. Ale powtarzam, jeżeli narodziłby się ruch wyprzedzający ją swoją dynamiką i skalą — proszę bardzo, likwidujemy się.

E.B.: — *Jak by Pan to przeżył?*

B.B.: — Przeżyłbym, wie Pani. Żyłbym normalnie — jak, nie wiem. Jestem do „Solidarności” przywiązany, co nie oznacza, iż uważam, że „Solidarność” musi istnieć za każdą cenę. Ponadto w pustce społecznej taki ruch się nie utrzyma. Umrze śmiercią naturalną. Ale tego jeszcze nie widać. Uznaje ją społeczeństwo, uznaje Kościół, uznają inne centrale związkowe na świecie.

E.B.: — *Pomówmy o Panu. Ma pan etykietę zawodowego rewolucjonisty. Przechwisko „Borsuk” jest synonimem niezłomności. Jak godzi pan w siebie „rewolucjonistę” i „człowieka rodziny”?*

B.B.: — To, o czym pani mówi, jest nieporozumieniem. „Borsuk” jest po prostu mechaniczną transpozycją mojego nazwiska, a etykieta „zawodowy rewolucjonista” została mi nadana przez SB. W sytuacji normalnej nikomu by to określenie nie przyszło do głowy w związku z moją osobą. Ale nie lubię teoretyzować, szczególnie na swój temat.

E.B.: — *To niech Pan mówi o faktach. Jak Pan przystał do ruchu? Bo nie był Pan przecież zbuntowanym dzieckiem komunistycznych prominentów...*

B.B.: — Nie, ale mniej więcej w tym samym czasie co oni znalazłem się w konflikcie z władzą. W roku 1968. Ale od początku. Moja rodzina wywodzi się z Wileńszczyzny. Mama — z domu Abakanowicz, z Wilna, a ojciec z okolic Grodna, podejrzewam, że z rodziny białoruskiej, kiedyś dawno spolszczonej, rzecz bez znaczenia. Ludzie stamtąd mieli wcześniejszą i głębszą znajomość okupacji sowieckiej niż w centralnej Polsce. Już za pierwszym razem Sowieci przyszlizli jawnie jako okupanci i postępowali podobnie jak Niemcy. Od 1939 roku była tam więc pełna świadomość, czym oni są, podczas gdy w centralnej Polsce objawiło się to dopiero w 1945 roku i w innym wymiarze.

E.B.: — *To, co pan mówi, wiele tłumaczy z późniejszych ludzkich nastawień i wyborów...*

B.B.: — W marcu 1968 miałem lat dziewiętnaście i byłem ucz-

niem Liceum Plastycznego w Gdyni-Orłowie, o specjalizacji fotograficznej, no i w owym marcu poszedłem na pochód solidaryzujący się ze studentami Warszawy.

E.B.: — *Kto go organizował?*

B.B.: — Nie mam pojęcia. Nieśliśmy hasła w sprawie studentów i „prasa kłamie”. Dla mnie była to demonstracja przeciw kłamstwu, jakie widziałem głównie w szkole. Nie miałem jednak żadnej koncepcji zmiany. Nie miałem nawet możliwości teoretycznego porównania, ponieważ czytałem tylko to, co można było dostać oficjalnie. O *Kulturze* paryskiej dowiedziałem się z *Trybuny Ludu* właśnie w marcu, że istnieje; o Mieroszewskim, że pisze eseje polityczne; dowiedziałem się o Brzezińskim, o czymś takim jak „konwergencja”. Zacząłem tych wydawnictw szukać. Ale w maju zostałem aresztowany za ulotki i dostałem trzy lata, odsiedziałem połowę, bo objęła mnie amnestia. Potem zdałem maturę i rozpocząłem studia historyczne, żeby się czegoś więcej dowiedzieć.

E.B.: — *A tradycja rodzinna? Czy Pan ją cenił? Pytam, bo moje pokolenie w młodości, a było to po wojnie, jakby zaparło się tradycji, niezależnie od tego, czy komunizowało...*

B.B.: — Inne czasy. Ja tradycję przyjmowałem normalnie, ale informacje które kursowały w moim środowisku były szczątkowe, a przekaz rodzinny, choć prawidłowy, nie wystarczał do wytworzenia sobie obrazu. Wiedza historyczna, jaką zdobyłem na KUL-u (tam poszedłem, bo bałem się, że gdzie indziej nie zostanie przyjęty) podbudowała moją motywację do działania. Dalsze przyjmowanie zakłamania jako rzeczy naturalnej dla dorosłego człowieka wydawało mi się czymś niemożliwym. W czasie studiów związaliśmy się z paroma kolegami z duszpasterstwem akademickim prowadzonym przez dominikanina, ojca Ludwika Wiśniewskiego. To środowisko dało mi możliwość kontaktu z innymi, bo KUL był w tym czasie zamkniętym gettem, panowała zupełna blokada. KUL miał kontakty z Louvain czy Paryżem, natomiast z UMC-esem, który był o kilkaset metrów — żadnych.

E.B.: — *Teraz to się zmieniło.*

B.B.: — To się zmieniało stopniowo. Wśród wspomnianych kolegów był Janusz Krupski, który prowadził pismo *Spotkania*, był Piotr Jegliński, który jest teraz w Paryżu. W 1972 roku działaliśmy już jako grupa środowiskowa przeciw likwidacji ZSP na rzecz jednej organizacji młodzieżowej, jaką stał się ZSMP. Sprawozdanie studenta Malareckiego przemieniło się w burzliwy wiec,

bo ogarnęła nas wściekłość, że delegat KUL-u chce się przyczynić do likwidacji studenckiej organizacji. Pamiętam, że pojechaliśmy w tej sprawie do prymasa Wyszyńskiego, bo sytuacja była o tyle skomplikowana, że ówczesny rektor KUL-u, ojciec Krapiec, był za przystąpieniem Uniwersytetu do ZSMP, motywując to m.in. dotacją, jaką KUL ma dostać. Pamiętam, że rozwieszaliśmy plakaty tej treści: „ZSMP daje nam 200 tysięcy, podczas gdy społeczeństwo łoży na nas 35 milionów”. Prymas wysłuchał nas, nie powiedział ani słowa, ale w rezultacie Episkopat zajął stanowisko przeciw integracji organizacyjnej, jak się wówczas mówiło, i ZSMP na KUL-u nie powstał. Wobec tego musieliśmy wypełnić tę pustkę organizacyjną i weszliśmy mocniej w takie typowe społeczne samorządowe działanie. Dopiero w roku 1975 zaczęliśmy robić to, o co pani pyta, tworząc grupę samokształceniową przy duszpasterstwie. Jeden z kolegów został aresztowany i przesiedział dziesięć miesięcy pod zarzutem rozsiewania fałszywych informacji o władzy, których *nota bene* SB dopatrzyła się w jego prywatnych listach do żony i brata.

E.B.: — *Skąd my to znamy...*

B.B.: — Nauczyliśmy się sporo organizując mu pomoc prawną, co nam pomogło przy Radomiu, który nastąpił zaraz potem. Zaczęliśmy z miejsca zbierać pieniądze na poszkodowanych. Skończyłem już studia i wróciłem do Gdańska. Tam już działały grupy samokształceniowe, z których później powstał RMP. Zbierając pieniądze na Radom i Ursus zetknąłem się z warszawiakami, byłem czymś w rodzaju łącznika między Warszawą i Wybrzeżem, a ponieważ nie można było znaleźć przedstawiciela z większym autorytetem, który by się jednocześnie kwapił do tej roboty — mnie dokooptowano do KOR-u.

E.B.: — *Pamiętam Pańskie nazwisko z Zapisu i Biuletynu Informacyjnego. Ale wspomnieli Pan o RMP. Z grubsza mówi się o nich „neoprawica”. Słyszałam żartobliwe rozróżnienie: neokonserwatyści są eleganccy, a neoendecy jeszcze nie biją po mordach...*

B.B.: — Jeśli chce mnie Pani spytać, co myślę o RMP, to mogę powiedzieć tyle, że to mili koledzy. Poza tym mówią „naród” i piszą go dużą literą, podczas gdy ja wolę mówić „społeczeństwo”. Poglądów ich dokładnie nie znam i nie ciekawię się nimi, bo jak mówiłem, wystarcza mi działanie na poziomie społecznym.

E.B.: — *Panie Bogdanie, dziś, podczas zimy stulecia 1987, kiedy skute mrozem miasta polskie jeszcze bardziej niż zwykle przypominają krajobraz z Orwella, ale kiedy czas polityczny nabrał jakby*

przyspieszenia, kiedy Zachód mówi o Jaruzelskim jako o drugim Gorbaczowie — nie mogą wyżyć się nadziei na jakiś nowy rozdział dla nas.

B.B.: — Jaruzelski jest bezsprzecznie człowiekiem inteligentnym, ale obarczonym najniepopularniejszą decyzją w czterdziestolecu. Niezależnie od swoich posunięć liberalnych pozostanie tym, kto wprowadził w Polsce stan wojenny. Tego odium nie zdejmie z niego fakt, że przyjął go Ojciec Święty. Dopóki on będzie, szansa na otwarcie nowego rozdziału jest niewielka.

E.B.: — *A widzi Pan lepszego?*

B.B.: — Nie, ale tak zwykle się dzieje, że póki władca jest silny, konkurenta nie widać. Widziała Pani Gierka zza Gomułki, gdy Gomułka był silny? A kto zza Gierka widział Jaruzelskiego? Pozostawał zupełnie niewidoczny. Konkurent ujawni się w chwili słabości.

E.B.: — *Tak, teoretyzowanie w tej dziedzinie niewiele nam przyniesie, więc powróć do Pańskiej osoby. Funkcjonowanie w obu rolach, działacza społecznego i ojca rodziny, spotyka się rzadko. Nie szukając daleko: ileż rozwodów szykowało się w „Solidarności”? Pan obie te funkcje godzi. Ale głowa domu musi mieć w Polsce etat. Czy nie tęskni Pan za etatem?*

B.B.: — Tęsknię. Będę się starał uczyć w szkole historii, rezultat ode mnie nie zależy. Ściągnąłem już dyplom, ale nie mogłem pójść do urzędu zatrudnienia, bo dowodu osobistego jeszcze sobie nie wyrobiłem.

E.B.: — *Znaczy, że Pan jeszcze nie przywykł do „polskiej normy”, skoro chodzi Pan bez dowodu. Jaką generalną dyrektywę dałby Pan w imieniu „Solidarności” społeczeństwu?*

B.B.: — Przetrawianie. Mówiąc o przetrwaniu, mówię o pewnym typie oporu w wielkich zakładach, które wciąż są naszą bazą. Władza ugina się jedynie pod presją...

E.B.: — *A nie słyszał Pan, że wielkie zakłady trzeba rozpuścić, bo nierentowne? Tak mówią i solidarnościowi ekonomiści, nie licząc tego, że ze Związku Sowieckiego dochodzą słuchy o nowym NEP-ie.*

B.B.: — Ale u nas władza wycofuje się nawet z tego zakresu samodzielności, jakie te zakłady miały! Samorządy ograniczono, rozdzielnictwo centralne wzmocniono. Do NEP-u daleko. Nie, nie poświęci się politycznej i militarnej jedności bloku dla rato-

wania gospodarki. A co do rozpuszczenia wielkich zakładów, to zobaczymy, kiedy będziemy decydować sami. Na razie teoretyzujemy. Znosi się na to, że nie tylko moje, ale i następne pokolenie spędzi życie w wielkich zakładach, nawet jeśli wielu odejdzie do własnych warsztatów pracy, czego im życzę.

E.B.: — Co Pan myśli o tych, co opuścili struktury „Solidarności” i na przykład pracują przy Kościele?

B.B.: — Dobrze myślę. Ludzie powinni działać tam, gdzie się dobrze czują. I w takim zakresie niebezpieczeństwa, jaki potrafią znieść. Są różne progi lęku. Jeżeli ktoś jest w stanie tylko nie zapisać się do neozwiązków, to dobrze; jeżeli pójdzie do kościoła na spotkanie, to bardzo dobrze; jeżeli chce to spotkanie organizować, to jeszcze lepiej. W różnorodności form zagospodarowuje się większą liczbę ludzi, bo w działaniach tajnych może, siłą rzeczy, uczestniczyć tylko ograniczona ilość. Zresztą, nie ma w tym jakiegos rozgraniczenia. Nie ma tak, że ci, co dyskutują w kościele, tylko to robią, albo że ci, którzy konspirują, nie chodzą na dyskusje. Są to często ci sami ludzie. I bardzo dobrze. W ten sposób unikamy izolacji, podziału na bohaterów i resztę społeczeństwa.

Styczeń 1987

Rozmowę przeprowadziła Ewa BERBERYUSZ

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU
LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS
 123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris
 Tel.: 43 26 04 42

POLAK ZWIEDZA PARYŻ
 Przewodnik

opracował
JAN WINCZAKIEWICZ

Wydanie czwarte uzupełnione.
 Sztuchy, fotografie, plany dzielnic.

Str. 192.

Cena F. 50,00.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na żądanie.

O religii bez namaszczenia

Korespondencja z Rzymu

SPRAWA ARCYBISKUPA MARCINKUSA

„Miłosierdzie nie może zastąpić profesjonalizmu” — w tym zdaniu, przypisywanym według wiarygodnych źródeł kardynałowi Hoeffnerowi, tkwi sedno dramatycznego splotu wydarzeń, które doprowadziły do nakazu aresztowania arcybiskupa Marcinkusa, Amerykanina pochodzenia litewskiego, przewodniczącego I.O.R.-u, Instytutu Dzieł Religijnych, czyli tzw. banku watykańskiego.

Jest to sprawa zawiła. Nie będę wchodzić w szczegóły. Najogólniej aferę tę, która stała się sensacją światową, można sprowadzić do następujących punktów:

1. I.O.R. jest wprawdzie finansowym organizmem znajdującym się na terenie Państwa Watykańskiego, korzystającym z dużej prawnej autonomii i powołanym statutowo do administrowania „dziełami religijnymi” — nie jest jednak ani bankiem w ścisłym tego słowa znaczeniu, ani też organem Stolicy Apostolskiej. Celem tego instytutu jest *caritas*, czyli sprawowanie miłosierdzia poprzez zarządzanie kapitałami — w postaci akcji, obligacji i gotówki — powierzanymi mu przez osoby prawne i fizyczne (ok. 9 tysięcy kont bankowych), kapitałami, które są przeznaczone do realizowania działalności religijnej, misyjnej i charytatywnej. W praktyce zarządza on depozytami diecezji, zgromadzeń zakonnych, stowarzyszeń kościelnych oraz osób prywatnych, duchownych i nieleżących, uprzywilejowanych świeckich, których wkłady służą działaniom Kościoła na całym świecie. Instytut ten nie służy więc bogaceniu się tych czy innych osób prawnych i fizycznych, lecz finansowaniu działalności Kościoła w skali międzynarodowej. Sprawa, jako się rzekło, jest jednak nader złożona; choć I.O.R. stanowi centralną instytucję Kościoła katolickiego, nie jest, jak powiedziałem, organem ani urzędem Stolicy Apostolskiej (jak różne dykasterie Kurii Rzymskiej). Tkwi w tym pew-

na dwuznaczność, załóżek „nieporozumień”, co utrudnia zarówno stosowną kontrolę, jak i ingerencję z zewnątrz (nawet ze strony kardynałów powołanych przez Papieża do nadzorowania spraw finansowych Stolicy Apostolskiej — o czym dalej).

2. W celu przysporzenia zysków tej instytucji abp Marcinkus podejmował rozmaite, normalne operacje finansowe, zarówno na terenie Włoch, jak i za granicą, z dobrymi na ogół skutkami. Potknął się jednak kilka lat temu na współpracy z prywatnym Banco Ambrosiano w Mediolanie, którego prezes Calvi, po doznanym krachu finansowym, popełnił samobójstwo w Londynie w 1982 roku w okolicznościach dotąd nie do końca wyjaśnionych. Istnieją uzasadnione poszlaki, że został zgładzony przez mafię. Trybunał włoski, prowadzący dochodzenie w sprawie upadłości banku Calviego, zainteresował się udziałem abp. Marcinkusa w odpowiedzialności za to — jak się okazało — „oszukiwacz bankructwo”, i uznał za dowód współodpowiedzialności tzw. *lettres de patronage*, wystawione Calviemu przez Marcinkusa. Rzecznicy watykańscy zareplikowali, że te listy polecające nie miały charakteru prawnej gwarancji i że Calvi, posługując się nimi wobec swych kontrahentów, nadużył po prostu okazanego mu zaufania. Powołana wówczas komisja mieszana ekspertów, włosko-watykańska, nie potrafiła osiągnąć porozumienia w tej zagmatwanej sprawie. Abp Marcinkus pozostał więc na swym stanowisku. Jego kariera jednak ucierpiała: zwolniony został z prestiżowej funkcji głównego organizatora podróży papieskich, którą przejął jezuita O. Tucci, i nie otrzymał kapelusza kardynalskiego.

3. Pod koniec lutego br., a więc po z górą czterech latach, trybunał mediolański wydał nieoczekiwane nakaz aresztowania Marcinkusa i jego dwóch świeckich, najbliższych współpracowników w I.O.R. Jakie nowe elementy dowodowe wpłynęły na tę decyzję? Nie wiadomo. Niektórzy tutejsi obserwatorzy polityczni przypisują ją powstałemu właśnie kryzysowi rządowemu we Włoszech, tzn. chęci zakłócenia spokoju chrześcijańskich demokratów, zwalczanych przez socjalistów. Przed wykonaniem nakazów aresztowania chroni Marcinkusa i dwóch pozostałych kierowników banku watykańskiego art. 11 Traktatu Laterańskiego pomiędzy Republiką Włoską i Stolicą Apostolską, który wyklucza ekstradycję funkcjonariuszy urzędów watykańskich i w ogóle ingerencję w działalność związaną z ich funkcjami instytucjonalnymi. Włoski sąd przeciwstawia jednak temu art. 22 tego samego traktatu, który przewiduje możliwość ekstradycji osób, które „schroniły się” w Watykanie, a są oskarżone o akty przestępcze, „uznane za takowe przez obie strony”, popełnione na terenie Włoch. Watykan musi więc odpowiedzieć na to oskarżenie.

4. Ci, którzy bronią Marcinkusa, twierdzą iż działał on w dobrej wierze, zabiegając o przysporzenie korzyści materialnych kierowanej przez siebie instytucji. Jego postępowanie było z punktu widzenia moralnego nienaganne — popełnił jednak nie-

zręczności, był nieostrożny i łatwowierny, dał się więc wciągnąć w pułapkę. Oficjalna teza watykańska od samego wybuchu tej sprawy brzmi: stał się ofiarą ciemnych machinacji i nie może być pociągany do odpowiedzialności karnej. Urzędowy komunikat watykański wyraził zdziwienie, że po tylu latach dochodzeń trybunał mediolański doszedł nagle do przekonania o współwinię kierowników I.O.R.-u. W zaimprovizowanej zaś konferencji prasowej w samolocie w drodze do Urugwaju, Jan Paweł II bronił Marcinkusa przeciwko „brutalnym atakom” prasy. Zapowiedział jednak równocześnie, że ta sprawa będzie rozpatrzona przez kompetentne instancje. Stanowisko Papieża należy tłumaczyć następująco: wykażcie mi, że abp Marcinkus jest winny i wtedy podejmę decyzję. W rzeczy samej równocześnie wydany komunikat biura prasowego Watykanu potwierdził, że nakazy aresztowania zostały przekazane „organom sądowniczym Państwa Watykańskiego do należytego zbadania”. Sam Marcinkus zadeklarował gotowość przedłożenia wszelkich dokumentów i swoją dobrą wolę, ale równocześnie oświadczył, iż każde jego słowo lub działanie staje się przedmiotem manipulacji ze strony prasy, która „atakując go, uderza faktycznie w Papieża”. Z tym ostatnim stwierdzeniem nie można się zgodzić. Jest to argument naciągany.

5. Mimo, że operacje I.O.R.-u nie mają nic wspólnego z rosnącym deficytem Stolicy Apostolskiej, afery ta rzuciła niewątpliwie cień na *image* Watykanu i zaszkodziła jego reputacji w międzynarodowej opinii publicznej w chwili, kiedy opłakany stan finansów watykańskich zmusza do odwołania się do 3.000 biskupów na świecie o przyczynienie się do ich uzdrowienia, czyli do zwiększenia udziału w kosztach utrzymania centralnych agend Kościoła Powszechnego. Przychody nie pokrywają nawet połowy wydatków, a preliminarz budżetowy na rok bieżący przewidyuje wzrost deficytu do ok. 63 milionów dolarów. *Oboło di San Pietro*, świętopietrze, czyli dary dla Papieża zbierane raz w roku na całym świecie w uroczystość świętych Piotra i Pawła, spadły zaś w 1986 roku do sumy 32 milionów dolarów. Suma ta wykorzystywana jest w dużej mierze do pokrywania niedoborów (również na skutek znacznego spadku wartości dolara), jest więc daleka od możliwości pokrycia rosnących pasywów Stolicy Apostolskiej.

6. Powołana przez Papieża w 1981 roku Rada Kardynałów dla „badania gospodarczych i organizacyjnych problemów Stolicy Apostolskiej” (która zbiera się dwa razy w roku i w której nie ma włoskich kardynałów), uchwaliła 26 marca tekst listu-apelu do biskupów i powzięła zarazem historyczną decyzję ujawnienia sprawozdania ze stanu finansów watykańskich. Do listu dołączono dwa bilanse: majątkowy i rozchodowy za 1985 rok. Nareszcie więc powinno stać się zadość życzeniu Papieża, by uczynić Watykan „domem ze szkła”. Dotychczasowa tajność bilansu i budżetu uniemożliwiała tę postulowaną przejrzystość. Każdy biskup na świecie będzie mógł odtąd zapoznać się ze stanem finan-

sów watykańskich i tym samym apelować w sposób wiarygodny o wzmożenie ofiarności wiernych. Na właściwy przełom w tej watykańskiej *glasnosti* trzeba będzie jeszcze prawdopodobnie poczekać. Reorganizacja finansów watykańskich wymaga najpierw wyczyszczenia sprawy I.O.R.-u, zanim dojrzejże do ostatecznego rozwiązania. Członkowie w/w Rady (w skład jej wchodzi 15 kardynałów, reprezentujących różne strefy świata), kardynał Król z Filadelfii i kardynał Hoeffner z Kolonii, a więc przedstawiciele dwóch krajów i Kościołów, które przyczyniają się w 2/3 do finansowego wspierania Stolicy Apostolskiej, narzekali w czasie marcowego posiedzenia, że nie pokazano im dokumentacji I.O.R.-u. Ciągłe jeszcze istnieją opory ze strony odnośnych administracji watykańskich wobec ingerencji z zewnątrz. Kardynał Hoeffner uważa podobno, że I.O.R. powinien być przekształcony w normalny, międzynarodowy bank prywatny ze statutem przewidującym gestię ekspertów świeckich z rotacją pięcioletnią, zgodnie z nowym kodeksem prawa kanonicznego. Czy i kiedy do tego dojdzie? Trudno przewidzieć: w Kurii Rzymskiej, w obliczu trudności, panuje uświęcona tradycją zasada odraczania sprawy (po łacinie: *dilata*) do lepszych czasów. Czy takie jednak nadejdą?

Ikona łączy

Szósta z kolei encyklika Jana Pawła II *Redemptoris Mater*, „o błogosławionej Maryi Dziewicy w życiu pielgrzymującego Kościoła”, stanowi wielki gest ekumeniczny i zarazem dalsze otwarcie wobec Kościołów Wschodnich, zwłaszcza ku prawosławiu, na tle wspólnej czci dla Maryi. Zdaniem ojca Betti, konsultora Kongregacji Nauki Wiary, encyklika ta jest już „prawdziwą podróżą duchową do Rosji”. Dwa razy Papież odwołuje się do chrztu Rusi. Najpierw przypomina, że w okresie rozpoczynającego się 7 czerwca Roku Maryjnego wypadnie Millenium Chrztu św. Włodzimierza, wielkiego księcia kijowskiego (988 rok), który „dał początek chrześcijaństwu na obszarach ówczesnej Rusi, a z kolei również na innych obszarach Europy wschodniej... aż do północnych terenów kontynentu azjatyckiego”. Papież stwierdza, że w czasie Roku Maryjnego „będziemy się jednoczyć w modlitwie z wszystkimi, którzy obchodzą to Tysiąclecie Chrztu, prawosławnymi i katolikami... chociaż doznajemy jeszcze skutków rozłączenia, które nastąpiło w kilkadziesiąt lat później” (1054 rok).

Papież podkreśla następnie znaczenie bizantyjskiej liturgii, która — jeśli chodzi o cześć dla Maryi — jest według znawców równocześnie katolicka i prawosławna i daje cenny wkład do tradycji zachodniej. Papież mówi o ikonie Matki Bożej Włodzimierskiej, „która stale towarzyszyła pielgrzymowaniu wiary ludu dawnej Rusi”. Obrazy te „są teraz jeszcze czczone na terenie Ukrainy, Białorusi i Rosji”. „Czy wizerunek Błogosławionej Maryi nie mógłby stać się znakiem nadziei dla wszystkich, którzy w braterskim dialogu pragną pogłębić swoje posłuszeństwo wiary?”. I odpowiada, że różne formy wielkiej tradycji Kościoła powinny

nam pomóc do tego, aby Kościół zaczął na nowo oddychać w pełni „obydwoma płucami”, nie tylko zachodnim, ale i wschodnim, „które mają wspólny rodowód”. „Jest to dzisiaj bardziej konieczne niż kiedykolwiek” — stwierdza Jan Paweł II.

Arcybiskup Marusyn, sekretarz Kongregacji Kościołów Wschodnich, Polak i Ukrainiec (który tę podwójną przynależność etniczną nieraz podkreśla), w czasie konferencji prasowej w Watykanie, której przewodniczył kardynał Ratzinger, dla prezentacji encykliki maryjnej, w odpowiedzi na moje pytanie sprecyzował m.in., że Obraz Matki Boskiej Jasnogórskiej jest „jedyną Ikoną wschodnią” w świecie, która zachwyca tyle milionów ludzi, czczoną zarówno przez katolików polskich, jak i ukraińskich. Obok niej istnieje również słynna *Ikona Włodzimirska*, przywieziona ongiś podobno z Kijowa do Włodzimierza, czczona począwszy od XII wieku, a która dziś znajduje się na Kremlu (według innych źródeł w Galerii Tretiakowskiej) — nie jest więc obiektem kultu religijnego. „Ikona jest łącznikiem pomiędzy chrześcijaństwem zachodnim i wschodnim, roztaczając wciąż swą opiekę nad ludami europejskiego Wschodu” — stwierdził abp Marusyn.

Chociaż zwrócona głównie ku tradycji i Kościołom wschodnim, encyklika maryjna unika przeszkód w dialogu ekumenicznym z Kościołami protestanckimi. Stanowi bowiem medytację bez triumfalizmu, pomna zastrzeżeń, jakie protestanci wysunęli przeciwko pobożności maryjnej w czasie pontyfikatu Pawła VI.

Pro domo mea

Nota redakcji do mojej korespondencji w nr. 3/474 wymaga wyjaśnień w sprawie własnej:

1. Kiedy piętnaście lat temu podjąłem stałą współpracę z *Kulturą*, nie łudziłem się, że będę miał łatwe życie. Zakładałem jednak i nadal mam podstawy do liczenia na to, że nielaurkowe traktowanie problematyki kościelnej i watykańskiej, jak również kwalifikacje publicysty katolickiego nie powinny wchodzić wciąż w kolizję z liberalno-laicystycznym światopoglądem *Kultury*. Nie widzę zresztą w tym nic gorszącego, że w pluralistycznym świecie, w jakim żyjemy, nasze poglądy mogą się czasem różnić. Nie też dziwnego, że moje lub cudze oceny, referowane w „korespondencjach rzymskich”, są nieraz „sprzeczne z linią *Kultury*”. Istnieją różne drogi do poszerzania obszarów wolności. Przyszłość pokaże, która z nich okaże się słuszną.

2. Z tekstów działaczy *Solidarności*, publikowanych także w *Kulturze* (np. Z. Romaszewskiego) czy w *Kontaktach* (np. wywiad z J. Lityńskim), wynika jasno, że upieranie się przy reaktywowaniu *Solidarności* na szczeblu centralnym jest „bezelowe” i prowadzi na „rozdroża”, a nawet na „bezdroża”. Trzeba więc poszukiwać nowych rozwiązań i — jak wskazują wyżej wymienione i inne jeszcze teksty krajowe — starać się o przywrócenie pluralizmu związkowego „na szczeblu zakładów pracy”. W tym sensie pisałem o „zamkniętym rozdziale ‘Solidarności’ w skali krajowej”, podkreślając zarazem, iż „trzeba zachować i rozwijać ideały tego ruchu”. To sformułowanie” (w języku włoskim *un capitolo chiuso* oznacza „jeden rozdział” —

przyznaje, że nie dość precyzyjne — wywołało opaczną interpretację i „nieporozumienie semantyczne”. Lepiej na pewno stwierdzić, że pewien etap się skończył, choć nowy wciąż jeszcze czeka na otwarcie.

3. W artykule pt. „Samokrytyka 'Solidarności'”, z którym polemizowała funkcjonariuszka włoskiego syndykatu CISL, ani w innych mych „wystąpieniach” publicznych (np. w telewizji), nie było mowy — jak podaje nota redakcji — ani o „doradcach katolickich Wałęsy” (lecz jedynie o „doradcę”), ani o konieczności „dążenia do pojednawczego uścisku Kościoła z władzą”. Przytoczyłem jedynie wypowiedź Ks. Prymasa, że „społeczeństwo polskie stało się dojrzalsze”. „Sentymalizm” zaś w mojej replice nie odnosił się do stanowiska włoskich syndykalistów, popierających „Solidarność”, lecz m.in. do nieudanych prób emocjonalno-politycznego wygrywania martyrologii ks. Popiełuski i pobożności polskich wiernych. Uprawianie cierpiętnictwa i manichejskich podziałów budzi na Zachodzie pokusy politycznej instrumentalizacji lub litości, ale nie zrozumienie. Przykładów instrumentalizowania „Solidarności” w rozgrywkach politycznych i związkowych we Włoszech jest bez liku. Na przykład Lech Wałęsa otrzymał w marcu br. zaproszenie do Rzymu nie tylko od syndykatów, lecz również od wicesekretarza PSI (włoskiej partii socjalistycznej), walczącej o wpływy z chadecją w obecnie trwającym kryzysie rządowym i kampanii przedwyborczej. Tak jak z mitem, że od obcych płynęły i płyną wszystkie narodowe nieszczęścia Polaków, tak i odwrotnie mamy nieraz do czynienia z nieusprawiedliwionym oczekiwaniem, że nasze szczęście zależy od rzekomo altruistycznej postawy cudzoziemców. Oba mity, wypływające z ugruntowanych kompleksów narodowych, są równie niebezpieczne. Bezstronni włoscy obserwatorzy komentują: „Wy, Polacy, nie znacie miary ani w okresach chwały, ani klęski”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 10 kwietnia 1987 r.

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.
Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Młoda i ładna dentystka penetruje moją jamę gębową i narzeka. Na brak firanki.

— Nie da się tu założyć firanki w żaden sposób, bo nie ma przepisu.

I ostrzega, że może boleć i żebym krzyczał, bo 99 % mężczyzn krzyczy. Pomyślałem, że przyjemnie należeć do tego twardego 1 %. A ból, który mi zadała był niewielki, łagodzony przez narkozę niebieskich oczu. Zatrzymała tylko miłą atmosferę narzekaniem. W tym kraju wszyscy narzekają. Ja zresztą też.

— Bez firanki nie mogę wytrzymać. A nasze pensje, nie uwierzy pan, jakie niskie. Stomatologia u nas na poziomie jaskiniowym. Jak przyjeżdżają z Zachodu i wchodzi do naszych gabinetów, to myślą, że są w muzeum. Gdyby przynajmniej ta firanka... Ja panu mówię, że to się źle skończy, znowu będzie wybuch...

Pomyślałem, że nie będzie żadnego wybuchu. To już było. Teraz co ma wybuchnąć, wybuchu w środku ludzi albo między nimi: w kolejkach i zatłoczonych autobusach. Dlatego, gdy idzie się ulicą cały ten rozkołysany tłum przypomina świece, które ktoś zdmuchnął. Zamiast głów kołyszą się wypalone knoty.

I już chciałem jej wałnąć tę śmiałą metaforę; może by zwróciła uwagę nie tylko na moje zęby, ale przeszkodziła nam internistka, ta gruba, z gabinetu obok. Przyszła rozszalona, że nie dają. A jeśli już dają, to tylko kwiaty.

— Co mi po kwiatach, przecież nie będę ich jeść. Straszna ta przychodnia!

Z naprawionym zębem i smętną myślą, że ja przecież nawet kwiatów nie dałem, opuściłem przychodnię i postanowiłem na pociechę udać się do miłych sąsiadów obok. Zapomniałem, że

kilka dni temu wyemigrowali. Do tego też trzeba się przyzwyczaić.

Jak to się stało, że amnestia, czyli wypuszczenie z więzień setek działaczy (po to ich zamknęli, żeby wypuścić), nie zwiększyła aktywności podziemia? Zapaść trwa. Powstała jawna Tymczasowa Rada Konsultacyjna „Solidarności”. Powstają jawne struktury w dawnych regionach, ale bez koncepcji i programu stają się tylko kręgosłupem bez ciała. A przywódcom wielkiego ruchu grozi, że zmienią się w zwykłych (a może nawet niezwykłych) dysydentów. Co w takim razie należało uczynić? Nie wiem. Może więc nie popełniono błędu, jest tylko błąd sytuacji?

Słabość władzy. Słabość opozycji. Czy więc jedyną siłę w tym kraju stanowi bierność? Jeśli komuś nie podoba się ten czarny obraz, to niech namaluje na nim coś białego.

Przyjechała działaczka z prowincji. Pije herbatę i patrzy na mnie z nadzieją, że natchnę ją nadzieją. Chowam swój pesymizm za plecy. Opowiada, że tam u nich jest nawet sporo ludzi chętnych do działania, ale każdy czeka aż go ktoś weźmie za rękę i poprowadzi. A nowe struktury, które powstają skłóciły wszystkich. Nie było (nie mogło być) wyborów i wielu działaczy poczuło się pominiętymi i niedocenionymi.

U nas jak zwykle, nawet do martyrologii jest długa i skłócona kolejka.

W telewizji pokazano legalne zgromadzenie pod kopalnią „Wujek” i legalnie złożone kwiaty w hołdzie górnikom, którzy „polegli za wolność” lub „w obronie ojczyzny”. Dokładnej wersji nikt nie był mi w stanie powtórzyć, zbyt duży był szok i zaskoczenie. Ludzie nawet dzwoniли do siebie, by sprawdzić, czy się nie przesłyszeli.

Górnicy z kopalni „Wujek” nie wiedzieli, że giną w obronie stanu wojennego i za PRL. Dowiedzieli się o tym po śmierci. Tak oto zamordowani stają się własnością Polski Ludowej, która szerokim, serdecznym gestem zagarnęła ich wraz z żołnierzami AK, Sikorskim i Witosem. W kolejce czekają jeszcze Piłsudski i ks. Popiełuszko. A pod kopalnią „Wujek” stanie zapewne wkrótce pomnik, którym opiekować się będzie miejscowy oddział ZOMO.

W tym samym miejscu odbyło się zgromadzenie nielegalne. Złożono nielegalne kwiaty, za co uczestnicy zostali ukarani grzywną — po 50 tys. na głowę.

Maszyny do pisania zabierano zawsze. Obecnie zabierane są samochody, w których znaleziona została pewna liczba wydaw-

nictw niezależnych, na zabór czekają mieszkania. A wrocławski poeta Lothar Herbst został ukarany grzywną za wydanie tomu wierszy poza cenzurą. Mamy więc nowy, obiecujący precedens.

Obszczane klatki schodowe. Powygryzane i podrapane klatki wind, jakby jeździły nimi stada drapieżników. Poszarpane ściany domów, połamane drzewa, porzniete fotele w autobusach.

To tylko codzienna agresja nieszczęsnych mieszkańców tego kraju. Ich bieda duchowa, bezradność, poczucie beznadziei (zwykle zakropione alkoholem), zmieniają się w agresję i ślepy gniew nawet wobec świata rzeczy martwych.

Jest ich dwóch, patrzę i słucham, jak budują swoją niechęć do mnie. Jest to niezbędnie potrzebne ludziom z resztkami sumienia, kiedy chcą zrobić komuś jakieś łajdactwo. Jeden twardy, drugi miękki. Twardy jest kręgosłupem miękkiego, gdy wyszedł na chwilę, miękki zaczął się kręcić niespokojnie, nagle sfalcał.

To nie przesłuchanie i nie dwaj funkcjonariusze SB, a jedynie spotkanie z dwoma kolegami z podziemnego wydawnictwa. Nie czułem się jednak aż tak źle, jak na przesłuchaniu, miałem poczucie, że w każdej chwili mogę im dać w zęby.

Prawdziwe przygnębienie przyszło potem, kiedy zostałem sam na sam z sobą. Przez lata budowaliśmy bańki tlenowe, żeby jakoś tu żyć. Teraz te bańki pękają, przebijane nie przez „nich”. Przez nas samych. Przyczyny demoralizacji form niezależnych? Jest ich wiele i tworzą przekłety splot. Na przykład codzienny i nieunikniony kontakt z podziemiem gospodarczym. Duże pieniądze bez kontroli. Stress, poczucie zagrożenia. I przekonanie, które tak łatwo się wtedy rodzi, że przecież coś się za to należy. Na końcu, chociaż to może właśnie początek — są motywy działalności. Sprzeciw i niezgoda, gdy nie ma w nich idei, zmieniają się w czystą nienawiść, a to niebezpieczne paliwo napędzające działanie. Z drugiej strony, przecież wiemy, gdzie naszych poprzedników w buncie zaprowadziły tak zwane idee. Znajomy, któremu skarżyłem się, równie jak teraz rozwekłe, ujął problem w jednym zdaniu. „Wszyscy jesteśmy dziećmi PRL-u”. Przypraszam firmy, które nie dały się zdemoralizować, uczciwych wydawców, drukarzy i kolporterów. Znam przecież wielu takich. Musiałem jednak ułać z siebie trochę żółci, by się nią nie zatruć. Zresztą nie chcę wyłączać siebie z krytyki, tylko że siebie samego widać najslabiej z poziomu własnych oczu.

Mimo mrozów odwilżowe rozmowy na Rakowieckiej. Bardzo grzeczne rozmowy w celu zjednania sobie środowisk intelektualnych. Zaproszono na taką pogawędkę m.in. prozaika Andrzeja Szczypiorskiego. Przysłano po niego samochód, a potem odwie-

ziono samochodem. Elegancko. Inni byli przewożeni tylko w jedną stronę. Wracać musieli sami. Nie wyciągałbym z tego zbyt daleko idących wniosków.

Szykuje się nowa metoda działania bezpieki w postaci nawiązywania częstego kontaktu ze środowiskiem uznanym za opozycyjno-twórcze. To nieprzyjemne. Nie żeby jakiś strach, ale jakby człowieka wszy oblaży.

Wieczór sylwestrowy z sąsiadami. Okazało się, że byłem jedynym w towarzystwie, który wysłuchał noworocznego przemówienia generała. Oni trawia codziennie dziennik telewizyjny, czego ja nie potrafię. A tu ich przebiłem.

Generał nie powiedział niczego, co mogłoby poruszyć kogośkolwiek. Najpierw podziękował organom porządku publicznego, ale komu miał, u licha, najpierw dziękować. Ton minorowy, bo czemu miałby być inny.

Sąsiad robotnik przy okazji opowiedział, jak to od pewnego czasu unika spotkań z generałem. Kiedyś w stanie upojenia alkoholowego ujrzał w swoim mieszkaniu właśnie jego. Jak trzeba w mundurze, w ciemnych okularach, istna zmora, która obrażała go każdym swoim słowem, więc zaczął ciskać w nią ciężkimi przedmiotami. Zmora popękała jak zbite lustro i zasycała jak gęś, ale zniknąć nie chciała. Żona w ostatniej chwili wyłączyła z sieci rozbity telewizor.

W oknach pobliskich domów błękitna poświata. Wlewa się z ekranów do naszych ubogich mieszkań luksus Zjednoczonych Stanów i Europy Zachodniej. Generał oświadczył gdzieś, że Nowy Rok spędzi w domu, przed telewizorem. Jako zwierzchnik Polskich Sił Zbrojnych najwyraźniej zamierzał być ze swymi podwładnymi na pierwszej linii przy przekraczaniu frontu nowego roku. I oto, wraz z naszym generałem, oglądaliśmy łązawą historijkę o pewnej księżniczce, na której organy płciowe polowały różne, lepiej lub gorzej urodzone, samce. Nie wiem, jak ma się to do walki klas i moralności socjalistycznej, ale bój był ciekawy. Nie wiem tylko, jak się skończył, bo — podobnie jak wielu — zległem w oparach alkoholu. Generał, jako niepijący — oglądał zapewne do końca.

Mój znajomy żył ostatnio w nieustannym strachu, że do niego przyjdą i zaproponują mu udział w Radzie Konsultacyjnej. A wtedy on nie będzie wiedział, co uczynić. Los oszczędził mu dramatycznych wyborów — nikt się do niego nie zgłosił.

Rada Konsultacyjna to jeszcze jedno poronione dziecko naszego kierownictwa. A przecież starali się. Dlatego nie zaproszono do rady Żukrowskiego i Dobraczyńskiego, by nie psuć powietrza posiadaczom czułego powonienia. Kręcono się przy-

milnie wokół Stommy, Wielowieyskiego itp., czyli wokół tzw. porządných ludzi. Ci porządni byli jednak beczelni, bo pytali, czym ma być owa Rada, jakie będzie miała uprawnienia? Na te pytania nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi.

W międzyczasie do Rady zaproszono działaczy „Solidarności”. Nie byle kogo. Ubeka z Krakowa — Zawadę, Kułaję, który się zламаł w pół po 13 grudnia i w końcu ubeka-prowokatora Sienkiewicza, który był do chwili zdemaskowania przewodniczącym Regionu Śląskiego. (Z Sienkiewicza wycofali się sami, zbytnio kłął w oczy). Jeśli Rada miała być listkiem przykrywającym sflaczały organ PRON-u, to ten listek zwiądzł zanim go założono w odpowiednim miejscu.

Pewien dygnitarz skarżył się w prywatnej rozmowie: „zostali nam jedynie starcy. Musimy się śpieszyć, bo nam wszyscy wymrą... tragedia z młodzieżą, zupełnie nie wiemy, jak zagospodarować młodzież...”.

Te same źródła przekazują informację, że idea Rady natrafiła na ostry opór aparatu partyjnego. Dlatego obecna ekipa uważa, że powołanie jej było aktem odwagi. Ciekawe, bo my sądzimy, że to raczej akt politycznego tchórzostwa. Najosobliwsze w tej komedii, że zapewne i jedno i drugie jest prawdą.

W końcu wszystko sprowadza się do problemu — kto tu jeszcze byłby skłonny wziąć odpowiedzialność za ową wielką i rozkładającą się masę upadłościową, którą staje się kraj.

Styczniowe mrozy znowu odmroziły rozmaite organy PRL-u. W domach zimno, wysiada elektryczność i wodociągi, ledwie kuśtyka komunikacja. Niby nic nowego, a jednak wszystkie rozmowy zaczynają się i kończą podobnie:

— Znowu zaskoczyła ich zima — a potem zwykle się mówi: — jeszcze kilka dni i PRL nie wytrzyma.

Wytrzyma, ruina ma to do siebie, że niewiele jej może zaszkodzić. Znikła z *massmediów* terminologia wojskowa. Nie ma już frontu walki, bohaterskich kolejarzy, drogowców i portowców, nie mówiąc już o szeregowych obywatelach, którzy dzielnie znoszą... Jest źle i nie narzekajcie, bo może być gorzej — mówi wprost propaganda. Ot, nastała nam nowa epoka nowego socjalistycznego realizmu. Cenzura właściwie łagodna. W czasach gomułkowskich taka cenzura pachniałaby wolnością. Do więzienia póki co nie wsadzają, nawet jeśli gwałci się sojusze. Na Zachód wyjechać o wiele łatwiej niż do krajów bratnich... Czemu więc jest tak źle, skoro jest tak dobrze?

Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że nastał u nas wymarzony przez niektórych filozofów socjalizm o ludzkim obliczu. Okropna to gęba, ale kto powiedział, że gęba to nie oblicze, mimo wszystko?

Nowoczesna plastyka francuska przyjechała do nas w postaci wystawy „4 razy Paryż”. Zapachniałoby perfumami Chanel, gdyby nie swojskie zapachy. Ustawiły się przed Zachętą kilometrowe kolejki, które szczękały zębami na mrozie aż było słychać w saunie pobliskiego hotelu „Victoria”. Trzej mundurowi milicjanci tworzyli trzygłowego cerbera u głównej bramy, którą szturmowali wpychający się z boku. Ci, którzy dotrwali i przekroczyli granice (bynajmniej nie państwowe) ustawiali się w kolejce do szatni, którą obsługiwały niemrawo dwie ledwie żywe staruszki. Należałoby teraz coś powiedzieć o samej ekspozycji, która była ciekawa, ale już nie mam siły.

„4 razy Paryż” i raz Warszawa, a wynik — sklep mięsny po dostawie szynki.

A., który jest już niemłody, chory i zachodni, powiedział mi na ucho:

— Ty wiesz, tu się bardzo, bardzo brzydko żyje.

Właściwie zawsze o tym wiedziałem, ale nikt nie powiedział mi tego tak po prostu — na ucho.

Witold CHARŁAMP

Polska telewizja a zgoda narodowa

Jeszcze nie tak dawno żaden szanujący się aktor nie chciałby nawet słyszeć o pokazaniu się w telewizji. Trudno było się dziwić: ten najbardziej nośny środek „masowego przekazu” już na długo przed stanem wojennym zasłużył sobie na najwyższą pogardę, a rola jaką odegrała polska telewizja w pamiętnym grudniu nie wymaga chyba przypomnienia. Totalny bojkot całego niemal środowiska aktorskiego był naturalnym skutkiem opanowania telewizji przez funkcyjnych w mundurach.

W miarę upływu czasu konsekwencja tego bojkotu musiała zaimponować nawet największym sceptykom. Bo też forma protestu objawiła — jak chyba nigdy przedtem — niezwykłą solidarność i polityczną dojrzałość ludzi sceny w sytuacji najwyższego zagrożenia polskiej kultury. Wściekłość oficjalnej prasy i niewielkiej grupy koniunkturalnych karierowiczów, złożonych przeważnie z niedostrzeganych we własnym środowisku artystycznych słabeuszy, wskazywała na to aż nadto wyraźnie.

Była też druga strona medalu, o której trzeba pamiętać: cena tej decyzji była nader wysoka. Ludzie w najtrudniejszym okre-

sie smutku i zwątpienia, głodu, chłodu i wszechobecnego strachu pozbawieni byli nawet tego krótkiego oderwania się od rzeczywistości. Bo poniedziałkowy teatr stanowił już pewnego rodzaju tradycję, zrodzoną jeszcze przed laty, gdy telewizyjną sceną kierował Adam Hanuszkiewicz. Ponieważ jednak życie próżni nie znosi, wnet musiały się pojawić lansowane na siłę gwiazdy i gwiazdeczki, a także zespoły na wpół amatorskie. Wspierali te rachityczne poczynania od dawna żłyci z mundurem Mikulski, Siemion, Kłosiński i kilkunastu innych panów i pań.

Ten stan rzeczy istniał jeszcze do niedawna. W ostatnim jednak okresie sytuacja uległa wyraźnej zmianie. Większość aktorskiego środowiska doszła widać do wniosku, że dalszy bojkot nie służy już nikomu i niczemu. Jest także wbrew naturze samej aktorskiej profesji — aktor, który nie korzysta z szansy pokazania się przed tą, jakby nie było, największą widownią obawia się pobicia własną bronią; stawką jest przecież utrata popularności i zapomnienie. Do tego doszły zapewne jeszcze frustracja i zmęczenie, objawy nagminne także w innych środowiskach, nie tylko artystycznych. Zostało więc wylansowane hasło: zależy co, zależy kto i zależy z kim. Oznacza to, że występ uzależniony jest od wyboru sztuki, nazwiska reżysera i współpartnerów.

Effekt tego postanowienia jest od pewnego czasu widoczny. Na telewizyjnym ekranie możemy znowu oglądać czołówkę polskiego aktorstwa, z pewnymi oczywiście wyjątkami. Są bowiem osoby, które prawdopodobnie wciąż jeszcze nie mają ochoty na produkowanie się w tej monumentalnej „firmie”, a pewnych aktorów szefostwo telewizji zapewne po prostu nie chce angażować.

Fakt jednak faktem, że niezwykle bojkot aktorów, to karta historyczna już dziś zamknięta. Na fali normalizacji i zgody narodowej można więc także, obok godnych uwagi spektakli, zobaczyć panów Fronczewskiego i Zapasiewicza, jak nie patrząc telewizjom w oczy, z wyraźnym zakłopotaniem, bankietują w towarzystwie samego generała Jaruzelskiego. Istotnie: jak się już powiedziało A — trudno nie wymienić dalszych liter alfabetu, zwłaszcza, że Zapasiewicz od nowego sezonu obejmuje w stolicy dyрекcję Teatru Dramatycznego. A nie trzeba dodawać, że odmowa uczestniczenia w takiej fecie może pociągnąć trudne do przewidzenia konsekwencje.

Do innej kategorii zjawisk — szczególnie chyba dyskusyjnych — należy chętnie stosowana forma wywiadów z artystami kategorii S. Niewielu, trzeba przyznać, dało się złapać na tę wędkę. Ale istotnie trudno było się nie zdziwić, gdy któregoś wieczoru w czasie głównego dziennika ukazał się na przykład Daniel Olbrychski, do niedawna przecież niezłomny i zbuntowany, który tylko na krótko zawiązał do kraju, a jednak znalazł czas, aby popędzić do studia na ulicę Woronicza.

Nie, nie mówić niczego zdrożnego. Coś tam o własnych sukcesach, o planach na przyszłość, o nowinkach filmowych z szerokiego świata. Ale jego postać i nazwisko zresztą zostało zmie-

szane z działaczami PRON-u, nowych związków zawodowych i aktywistów partyjnych z Białej Podlaskiej czy czerwonego Żyrdowa.

Innego znów wieczoru na podobną imprezę dał się namówić Andrzej Łapicki, człowiek o wielkim przecież autorytecie moralnym i artystycznym. Mówił o rzeczach ważnych i pożytecznych, na temat aktorskiej młodzieży. Jest przecież rektorem Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, wciąż ponoć zagrożonym w swojej funkcji przez ludzi dyspozycyjnych. Ale tuż po nim — jakby dla zrównoważenia — pokazano Hanke Bielicką, aktorkę estradową szczególnie hołubioną przez władze, która coś niezbyt mądrze wykrzykiwała w telewizorze.

Wyobrażam sobie, że to zestawienie, w porze oglądanej przez miliony, nie bardzo musiało Łapickiego satysfakcjonować. Zwłaszcza, że tzw. szeroki odbiorca, którym telewizja manipuluje wcale zgręcznie, na pewno nie wnika w środowiskowe niuansy i zarówno Łapickiego, jak i Bielicką wrzucił w swojej świadomości, być może już na zawsze, do jednego worka.

W tym miejscu małe zastrzeżenie: nie chciałbym tych faktów ani oceniać, ani osądzać — mówię tylko o ewentualnych skutkach, z którymi trzeba się liczyć.

Wszystko to jednak piwo wobec przygody, która spotkała Adama Hanuszkiewicza, Zygmunta Hübnera i Zbigniewa Zapasiewicza.

Każdy z nich i każdy z innych powodów zdecydował się na wywiad w lokalnym warszawskim programie kulturalnym. Ale znaleźli się nie tam, gdzie zostało to ustalone, lecz w mocno upolitycznionym, stałym programie o nazwie „Czas”, który tym razem poświęcony był rocznicy proklamowania stanu wojennego. Oczywiście bez wiedzy i zgody zainteresowanych.

Hanuszkiewicz mówił naprawdę o sprawach ważnych i nader charakterystycznych, między innymi o tym, w jaki sposób dowiedział się, że przestał być dyrektorem Teatru Narodowego — po prostu z telewizji. Jego wypowiedź była frapująca i stanowiła istotny przyczynek do metod administrowania kulturą. Była także jakby echem dawnego sporu o okoliczności obejmowania przez niego dyrekcji tego teatru po pamiętnej premierze „Dziadów” w 1968 roku.

Przez chwilę — choć zdziwiony „trybuną”, z której Hanuszkiewicz mówił — zawałałem się, czy cena tego wystąpienia nie była warta treści owych wyznań.

Na drugi jednak dzień przywołany zostałem do porządku: bomba pękła. Tyle, że ten wybuch zauważyli już tylko nieliczni. Wśród wielu wiadomości, wypowiedzianych szybko, monotonnym głosem przez spikerkę znalazła się i ta, że „telewizja przeprosza panów takich i takich za emitowanie wywiadów w programie „Czas”, które nagrane zostały dla innej audycji”.

Tyle i nic więcej. A potem znowu wartki strumień bełkotu i dezinformacji. Jak gdyby nigdy nic. Jak zawsze na każdym etapie.

Tomasz ŁOMŻA

Sąsiedzi

Problem ukraińskiej państwowości w publicystyce polskiej

Ukazało się już, zwłaszcza w polskiej prasie podziemnej, sporo publikacji dotyczących stosunków ukraińsko-polskich. W epoce manipulowania historią istnieje możliwość subiektywnej interpretacji wydarzeń historycznych w zależności od tendencji narodowych, warunkowanych tradycją lub koniunkturą międzynarodową. Zarówno w publikacjach ukraińskich jak w polskich można znaleźć pozytywne i negatywne zapatrywania, uprzedzenia bądź przesady.

Nie jest łatwo pisać o rozwoju stosunków ukraińsko-polskich na przestrzeni długich wieków, jednak przy dobrej woli z obu stron można, a nawet trzeba, rozpatrywać wydarzenia historyczne *sine ira et cum studio*. Będzie to korzystne nie tylko z punktu widzenia badań historycznych, ale także z uwagi na praktyczne wnioski płynące dla współczesności i przyszłości obu partnerów.

Rozmiar artykułu nie pozwala przedstawić nawet w skrócie historycznego rozwoju stosunków ukraińsko-polskich, dlatego też autor tych słów chciałby ograniczyć się do faktów historycznych, które odnoszą się do problemu ukraińskiej państwowości w przeszłości.

W ciągu XIX stulecia pozycja Ukraińców i Polaków była podobna; nasze narody znajdowały się pod panowaniem Austrii i Rosji, ale występowały też poważne różnice pod względem politycznym, kulturalnym oraz społecznym i odpowiednio do nich obce rządy traktowały oba narody. Mimo że w XIX stuleciu nie było na mapie Europy państwa polskiego, nikt w Europie nie kwestionował istnienia narodu polskiego. W stosunku zaś do narodu ukraińskiego sprawa ta przedstawia się inaczej. Rosja carska uważała język ukraiński za dialekt rosyjski, a narodu ukraińskiego nie tylko nie uznawała, lecz nawet zaprzeczała jego istnieniu („nie było, nie ma i być nie może”).

W tej sprawie, jak pisze polski historyk Jan Kozik¹, w społeczeństwie polskim panował także pogląd, że Ukraińcy stanowią gałąź narodu polskiego, a język ukraiński, czy jak wówczas mówiono „ruski”, jest polskim dialektem. Nie dziwi zatem, że w 1848 roku na Kongresie Słowiańskim w Pradze delegaci polscy starali się przekonać ukraińskich („ruskich”), że są oni Polakami, bo jakżeż może „istnieć naród w narodzie”².

W istocie pogląd taki utrzymał się w społeczeństwie polskim, zwłaszcza w kręgach endeckich, aż do 1939 roku. Wprawdzie trzeba przyznać, iż od tego czasu nastąpiła ewolucja w polskim myśleniu na tematy narodowe. Na polityczne zainteresowanie problematyką ukraińską wpłynęło zrozumienie geopolitycznego położenia Polski, tj. szukanie odpowiedzi na pytanie, czy w interesie Polski leży posiadanie wspólnej granicy z Rosją czy lepiej z Ukrainą³. Opozycyjni publicyści oraz większość historyków polskich, którzy zajmują się tymi zagadnieniami, wychodzą z pryncypialnego założenia, iż nie można żądać pełnej niezależności dla siebie i jednocześnie negować prawa innych narodów wschodnioeuropejskich, w tej liczbie także ukraińskiego, do politycznej niepodległości.

Za jedną z najbardziej interesujących aktualnych publikacji, które odzwierciedlają poglądy pewnych autorów polskich, należy uznać książkę wybitnego publicysty polskiego Kazimierza Podlaskiego pt. „Białorusini — Litwini — Ukraińcy: wrogowie czy bracia?”⁴. Polskie czasopismo podziemne *Niepodległość* pisze, iż praca Podlaskiego, to „... najważniejsza wydana po 13 grudnia pozycja książkowa. Podsumowuje bowiem kluczowy dla naszej niepodległości problem stosunków z narodami oddzielającymi nas od Rosji i próbuje wytyczyć nowe perspektywy... Opisując stosunki polsko-białoruskie, polsko-litewskie i polsko-ukraińskie, ukazuje je w całym ich skomplikowaniu, starając się dojść racji obu stron. Nie ukrywa momentów trudnych i tragicznych, porusza sprawy drażliwe i zdawałoby się beznadziejne”⁵.

Prof. Jarosław Pełenski pisze w przedmowie do książki Podlaskiego, iż uważa polską publicystykę podziemną za „jeden z najbardziej interesujących przejawów procesów społeczno-politycznych zachodzących w Europie Wschodniej. Druki te rozpowszechniały się bez zezwolenia władzy, a więc poza zasięgiem cenzury...

W ciągu ostatnich pięciu lat opozycja polska zdobyła się na rozbudowę sieci wydawnictw niezależnych oraz wydanie ponad 1.200 różnego rodzaju publikacji... Wszystkie istotne publikacje, które ukazują się poza zasięgiem cenzury, stoją na pozycji niepodległości narodowej i państwowej lub co najmniej daleko idącej emancypacji Polski w kierunku autentycznej niezależności... Traktując o stosunkach polsko-ukraińskich, większość publicystów opozycyjnych, łącznie z Podlaskim, skupia uwagę zasadniczo na problemach XX wieku, zwłaszcza na problemach współczesnej historii i polityki. W kontekście historycznym rozpoczynają analizę stosunków polsko-ukraińskich od wojny o Galicję (Galicję) 1918-1919 roku i obalenia przez nowopowstałe państwo polskie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej (ZURL)⁶”.

Podczas gdy Podlaski nie kwestionuje państwowości ukraińskiej, w polskiej publicystyce podziemnej istnieją autorzy, którzy nie tylko poddają tę państwowość w wątpliwość, ale w ogóle ją negują. Należy do nich m.in. Rif, który w swym artykule pt. „Stosunki polsko-ukraińskie” pisze, że „Ukraińcy nigdy nie mieli własnej państwowości”⁷.

Zareagował na to stwierdzenie inny polski publicysta podziemny, Jan Łukaszów, w liście skierowanym do redakcji *Robotnika*. Pisze on, że „pierwsze ukraińskie państwo narodowe sformowane przez 'narodowców' (sic) ... powstało w 1917 roku...”⁸.

W odpowiedzi na uwagę J. Łukaszowa w tym samym numerze *Robotnika* Rif twierdzi, świadomie lub nieświadomie przekraczając fakty historyczne: „Wiele historyków, zarówno ukraińskich jak i obcych, odmawia rządowi sformowanemu przez Niemców, na którego czele stał hetman Skoropadski, miana rządu suwerennego. Jest to sytuacja, jeśli nie taka sama, to podobna do aktu 5 listopada 1916 roku, w wyniku którego Niemcy powołali do życia polską Radę Regencyjną”.

Przed wszystkim Centralna Rada mocą aktu z 22 stycznia 1918 roku ogłosiła niezależność państwa ukraińskiego, które zostało uznane w traktacie brzeskim (9 lutego 1918 roku) przez Austro-Węgry, Bułgarię, Niemcy i Turcję, a z biegiem czasu także przez inne państwa, z jakimi rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej — UNR — utrzymywał stosunki dyplomatyczne. Jakżeż można porównywać rząd UNR z polską Radą Regencyjną, którą stwo-

1. J. Kozik, *Między reakcją a kontrrewolucją. Studia z dziejów ukraińskiego ruchu narodowego w Galicji w latach 1848-1849*, Kraków 1975, str. 184.

2. *Tamże*, str. 72.

3. Dokładniej na ten temat pisze: J. Darski, *Kierunki polskiej polityki wschodniej*, „Sučasnist”, 1985, Zeszyt w języku polskim nr 1-2, str. 52-78; przekład w języku ukraińskim: „Sučasnist”, 1986, nr 6, str. 50-63, nr 7-8, str. 139-153.

4. K. Podlaski, *Białorusini — Litwini — Ukraińcy: wrogowie czy bracia?* Wyd. I, 1983 r., wyd. II, 1984 r., wyd. III, Londyn 1985. Korzystałem z ukraińskiego przekładu Wiktora Poliszczuka, poprzedzonego wstępem Jarosława Pełenskiego, München, „Widnowa”, 1986.

5. „Niepodległość” nr 33, Warszawa-Kraków 1984, str. 26.

6. J. Pełenski, Wstęp do ukraińskiego wydania pracy K. Podlaskiego, *loc. cit.*; skrócony przekład polski: J. Pełenski, „Ukraina w polskiej publicystyce opozycyjnej”, „Kultura niezależna” nr 26, Warszawa 1986, str. 58 i nast.

7. Rif, *Stosunki polsko-ukraińskie*, „Robotnik” nr 74 z 28 października 1984, str. 1-5; przekład tego artykułu zamieściło czasopismo „Widnowa” nr 4, München 1986, str. 101-104.

8. Jan Łukaszów, *W sprawie ukraińskiej*. List do Redakcji, „Robotnik” nr 83 z 1 stycznia 1985, str. 3-4; por. „Widnowa” nr 4, München 1986, str. 105-106.

rzyły oraz kontrolowały rządy Austrii i Niemiec?! Ponadto polska Rada Regencyjna nie miała ani władzy wykonawczej, która znajdowała się w rękach gubernatorów austriackiego i niemieckiego, ani stosunków dyplomatycznych z państwami postronnymi.

Następnie obaj autorzy ignorują istnienie państwa kijowskiego, królestwa halicko-wołyńskiego oraz Ukrainiejskiej Republiki Wojskowej (Kozackiej), znanej także jako Hetmanat, która początkowo znajdowała się pod protektorem polskim (1649-1654), a później rosyjskim (1654-1764). Przy tej okazji nie zaszkodzi przypomnieć, że na podstawie ugody zbaraskiej z 18 sierpnia 1649 roku, zawartej między hetmanem ukraińskim Bohdanem Chmielnickim i królem polskim Janem Kazimierzem, ustanowiono autonomię na terytorium województw: kijowskiego, bractawskiego i czernihowskiego pod władzą ukraińską (kozacką) na czele z hetmanem. Na obszarze tych trzech województw wojsko polskie miało nie stacjonować, a urzędy miały być nadawane tylko Ukraińcom lub używając ówczesnego języka — szlachcie prawosławnej wiary. Ugoda ta została ratyfikowana w całości przez polski sejm⁹. Dlatego stanowi ona akt prawny, na mocy którego naród ukraiński zdobył autonomię narodowo-terytorialną we wzmiankowanych województwach.

Mimo że nie uszczegółowiono w ówczesnym żargonie prawniczym artykułów ugody zbaraskiej, które *de iure* określały państwowość Ukrainy i formalnie pozostawała ona w obrębie państwa polskiego lub mówiąc inaczej pod protektorem Polski, ale Ukraina miała wszystkie prerogatywy państwowości, tzn. posiadała własne terytorium, naród, swój rząd, wojsko tj. kozaków, prawodawstwo, stosunki dyplomatyczne z obcymi państwami, tak że słynny historyk niemiecki Hans Schumann zauważył w swojej dysertacji, że twórca Ukrainiejskiego Państwa Wojskowego (Kozackiego) Bohdan Chmielnicki faktycznie był suwerennym władcą¹⁰.

Podobnie wyjaśnia stworzenie państwowości ukraińskiej polski historyk Leszek Podhorecki, który pisze: „Po triumfalnym wjeździe do Kijowa hetman zaporoski przystąpił do organizowania państwa ukraińskiego. W swojej klasowej treści pozostało ono państwem feudalnym, w którym miejsce polskiej magnaterii poczęła zajmować starszyna kozacka, jednak Cerkiew i kultura ruska miały warunki do swobodnego rozwoju, zaś chłopci uwolnieni zostali od pańszczyzny i wielu innych uciążliwych powin-

9. *Volumina Legum*, St. Petersburg 1859, Tom IV, str. 130: „Ponieważ podług konstytucji szczęśliwej koronacji naszej, w uspokojeniu kozaków Zaporowskich dosyć się stało, tedy tę deklarację łaski naszej uczynioną pod Zborowem wojsku Zaporowskiemu, *autoritate Conventus praesentis*, za zgodą waszech Stanów approbujemy”.

10. H. Schumann, *Der Hetmanstaat, 1654-1764*, Breslau 1936, str. 4; pełny tekst patrz: „*Jahrbücher für Geschichte Osteuropas*”, 1936, str. 499-548.

ności wobec pana¹¹. Państwo przybrało formę dosyć demokratycznej, jak na owe czasy, wojskowej republiki. Powstała ruska, rodzima administracja, a całe terytorium wyzwolonej części Ukrainy zostało podzielone na 16 okręgów, podlegających pułkom kozackim. Okręgi z kolei zostały podzielone na terytoria sotni. W ten sposób powstała kozacka władza prawodawcza, administracyjna i sądownicza, która całkowicie zastąpiła władzę polską... Nowy aparat władzy energicznie odbudowywał ze zniszczeń wojennych wsie i miasta, zaprowadzał ład i porządek, podejmował rozmowy dyplomatyczne z Anglią, Rosją, Turcją, Mołdawią i Siedmiogrodem, rozpoczął też rokowania z Polską... Prawnie Ukraina była nadal częścią Rzeczypospolitej, faktycznie — krajem niezależnym, zajmującym ok. 200 tys. km² i ponad 1 mln ludności, czyli ok. 10 % liczby mieszkańców całego państwa¹²”.

W istocie państwowa forma protektoratu była w tych czasach zjawiskiem w ówczesnej Europie normalnym, np. Wołoszczyzna, Mołdawia i Siedmiogród znajdowały się pod protektorem tureckim, Prusy pod polskim, a Liwonia (obecna Estonia i północna Łotwa) pod szwedzkim.

Państwowość ukraińska została jeszcze wyraźniej określona w ugodzie hadziackiej z 16 września 1657 roku (*nota bene* w roku bieżącym należałoby obchodzić 330-tą rocznicę tej tak istotnej ugody w stosunkach ukraińsko-polskich).

Ugoda hadziacka przewidywała przebudowę państwa polskiego na federację trzech niezależnych państw: Polski, Litwy i Ukrainy¹³. Zgodnie z nią Ukraina w granicach województw kijowskiego, bractawskiego i czernihowskiego stawała się wolnym i niezależnym państwem pod nazwą Wielkiego Księstwa Ruskiego — WKR. Wszystkie trzy narody tworzyły trzy wolne republiki zjednoczone osobą wspólnie wybieranego króla (unia personalna).

Na czele WKR stał hetman, którego wybierało dożywotnio Zgromadzenie Narodowe, stanowiące najwyższą instytucję prawodawczą. Król tylko zatwierdzał wybór hetmana. WKR miało swój najwyższy trybunał sądowy, własny skarb, monetę i armię: 30 tys. kozaków oraz 10 tys. wojska najemnego (serdiuków). Językiem urzędowym miał być ukraiński lub, jak wówczas mówiono, „ruski”. Na terytorium WKR nie mogło stacjonować ani wojsko polskie, ani litewskie. Tylko na wypadek wojny lub niebezpieczeństwa mogły one wkroczyć na obszar WKR, ale podlegały wówczas jurysdykcji hetmana.

W dalszych artykułach mowa jest o sprawach dotyczących re-

11. Co się tyczy zwolnienia chłopów z pańszczyzny, Podhorecki się myli. Po ugodzie zbaraskiej chłopstwo ukraińskie musiało powrócić do swych pól i odrabiać zniechęconą pańszczyznę. Dokładniej o tym pisze: Dmytro Doroszenko, *Narys istorii Ukrainy*, München: Wydawnictwo Chwyła, 1966, str. 23, 26.

12. Leszek Podhorecki, *Zarys dziejów Ukrainy*, Warszawa 1976, str. 270., 272., 277-278.

13. *Tamże*, str. 297: „Rzeczpospolita miała składać się z trzech równych członów Korony, Litwy i Ukrainy”.

ligii i oświaty. Cerkiew prawosławna miała być zrównana w prawach z Kościołem rzymsko-katolickim. W Senacie mieli odtąd prawo zasiadać metropolita i pięciu biskupów (lwowski, łucki, przemyski, chełmski i mścisławski). Prawa Kościoła unijnego (greckokatolickiego) będą dość ograniczone (art. III).

W artykule czwartym dotyczącym oświaty zezwolono na zakładanie kolegiów, gimnazjów z łaciną lub greką jako językiem wykładowym, w ogóle wszelkich szkół i drukarni, ile ich potrzeba, żeby tylko w książkach nie obrażano majestatu królewskiego. Akademia Kijowska miała otrzymać takie same prawa jak Uniwersytet Jagielloński w Krakowie; miała też zostać założona druga akademia, taka jak kijowska, w mieście które wybiorą jako dogodne dla tego celu król i hetman. Ugoda hadziacka została ratyfikowana i opublikowana w *Volumina Legum* Tom IV (str. 637-645)¹⁴.

Chmielnicki i jego współpracownicy chcieli pozostać w obrębie Rzeczypospolitej, po zdobyciu praw dla Cerkwi prawosławnej i wywalczeniu pewnej formy autonomii. Jak słusznie jednak zauważył L. Podhorecki, „polska magnateria była przeciw porozumieniom”, a sama unia hadziacka spóźniła się o lat pięćdziesiąt.

Chmielnicki, spostrzegłszy, że Polska nie chce dotrzymywać własnych umów, już od 1650 roku starał się oderwać od niej i szukał obcej pomocy, początkowo w Turcji, a później w Moskwie. Po przyjęciu protektoratu rosyjskiego (ugoda perejasławska z 1654 roku) Ukraina przeszła z polskiej do rosyjskiej orbity i pomogła Rosji osiągnąć hegemonię w Europie Wschodniej, a Polska nie tylko straciła status mocarstwa, ale jeszcze weszła na pochyłą drogę wewnętrznego rozkładu, który sto lat później doprowadził ją do rozbiorów.

Patrząc z perspektywy historycznej, można powiedzieć, że Polska przegapiła historyczną okazję rozwiązania problemu ukraińsko-polskiego. Miała ona dwie możliwości: 1. zaakceptować fakt dokonany stworzenia państwowości ukraińskiej w ramach unii Polski-Litwy-Ukrainy, albo 2. gdy ład polityczny i społeczny panujący w nowopowstałym państwie ukraińskim nie odpowiadał strukturze Rzeczypospolitej, mogła ona dać możliwość stworzenia niezależnego państwa ukraińskiego w XVII stuleciu. Prawda, że oznaczałoby to dla Polski pewne straty terytorialne kosztem jej ziem ukraińskich na korzyść państwa ukraińskiego. Z jednej strony istnienie państwa ukraińskiego stanowiłoby jednak gwarancję obrony Polski przed Tatarami, Turkami i Rosjanami, z drugiej zaś dobrowolna rezygnacja z województw wschodnich podkopałaby siłę magnaterii i tym samym powstrzymałaby proces wewnętrznego rozkładu oraz umożliwiłaby przeprowadzenie odpowiednich reform.

Polska wybrała jednak przeciwną politykę wobec pań-

14. Dokładniej patrz: D. Doroszenko, *op. cit.*, Tom II, str. 58-59; W. Lipiński, *Z dziejów Ukrainy*, Kraków 1912, str. 594-598.

15. L. Podhorecki, *op. cit.*, str. 299, 300.

stwowości ukraińskiej. Wspólnie z Moskwą wołała, zgodnie z traktatem andruszowskim (1667 roku) podzielić Ukrainę wzdłuż Dniepru. Wprawdzie autonomiczna Ukraina istniała jeszcze sto lat, ale nie mogła ona oprzeć się centralizacji dokonywanej przez Moskwę w XVIII stuleciu.

Odpowiedzialność za niepowodzenie rozwiązania kwestii ukraińskiej ponoszą obaj kontrahenci. Nie tylko Polacy, ale również Ukraińcy popełniali w swoich pociągnięciach politycznych błędy, które miały dalekosiężne konsekwencje. Jak twierdzi jednak śp. prof. Iwan Łysiak-Rudnycki:

„...stroną głównie odpowiedzialną za dawne niepowodzenia w stosunkach polsko-ukraińskich są Polacy. Silniejsza strona bowiem z reguły zawsze przewodzi, gdy idzie o określanie charakteru stosunków między społeczeństwami, ponosi więc większą odpowiedzialność. Dokumentacja historyczna ukazuje nieomylnie, że Polska począwszy od późnego średniowiecza w ogóle była silniejsza i bardziej rozwinięta niż Ukraina. Jej siła w porównaniu z Ukrainą wynikała nie z jakiejś przyrodzonej niższości Ukraińców czy naturalnej wyższości Polaków, lecz z ważkich czynników geopolitycznych, takich jak bezbronne położenie Ukrainy na granicy stepu, a później jej bliskość względem wzrastającej w potęgę Moskwy-Rosji. Niestety Polacy wykorzystali swą względną przewagę nad ukraińskimi sąsiadami, przejawiając mało zmysłu politycznego czy dalekowzroczności¹⁶”.

T. MAĆKIW

(Z ukraińskiego przełożył Józef DARSKI)

16. I. Łysiak-Rudnycki, *Dosvid istorii*, „Widnowa” nr 3, München 1985, str. 21. Artykuł ten po raz pierwszy ukazał się w zbiorze materiałów konferencji naukowej, poświęconej stosunkom polsko-ukraińskim, która odbyła się w 1977 roku na Uniwersytecie McMaster w Hamilton w Kanadzie, patrz: Ivan L. Rudnytsky, *Polish-Ukrainian Relations: The Burden of History. Poland and Ukraine: Past and Present*, ed. Peter J. Potichnyj, Edmonton-Toronto: The Canadian Institute of Ukrainian Studies, 1980, str. 3-31.

W sowieckiej prasie

Bywają w historii wydarzenia, których sensu współcześni — a niekiedy nawet ich inicjatorzy — nie rozumieją. Czy Gorbaczow i jego towarzysze rozumieją co robią, może być przedmiotem dyskusji. Bezsporne jest natomiast, że liczne teoretyczne

artykuły starają się wyjaśnić sens obecnych wydarzeń. Jedną z najciekawszych prób interpretacji wyszła spod pióra członka-korespondenta Akademii Nauk ZSSR, G. Smirnowa. Mam na myśli artykuł zatytułowany „Rewolucyjna natura odnowy” (*Prawda* z 13 marca 1987). Zaczyna się on od ważnego pytania: dlaczego, dokonawszy „wielkiej rewolucji, która radykalnie zmieniła bieg dziejów na świecie i w kraju”, stworzyła „ogromny potencjał gospodarczy, naukowo-techniczny i intelektualny” i zaznała „radości wielkich przemian”, „musimy dziś dokonywać krytyki i samokrytyki, i to w tak ostrej formie?”. Powody są, zdaniem Smirnowa, subiektywne. Znaczący to — tłumaczy autor — że „nie są one wpisane z obiektywną nieuchronnością w socjalistyczny system społeczny”. Subiektywnych powodów jest trzy. Pierwszy: scentralizowane metody zarządzania wprowadzone w latach 30-tych, „na które patrzyliśmy jak zaczarowani, chociaż okazały się niewydajne w zmienionych warunkach”. Drugi: „tendencja egalitarystyczna”, czyli „tendencja do zrównywania poziomu dochodów”, innymi słowy — tłumaczy akademik — „faktyczne obniżenie poziomu wynagrodzenia za pracę wykwalifikowaną, zwłaszcza inżynierów, lekarzy, nauczycieli”. Trzeci: „osłabienie kontroli wydajności pracy i spożycia w wyniku bez troski i pozwalania na wszystko”, w związku z czym „rozpowszechniły się dość szeroko grabież mienia społecznego, łapownictwo, spekulacja i nielegalne dochody, co spowodowało nawrót drobnomieszczańskiego modelu życia i drobnomieszczańskiej świadomości”.

Na podstawowe pytanie o okres, w którym „subiektywne powody” zaczęły szkodzić budownictwu socjalistycznemu, G. Smirnow odpowiada: między plenum KC z października 1960 a plenum z kwietnia 1985. Czyli od obalenia Chruszczowa do wyboru Gorbaczowa.

W artykule zwraca uwagę pochwalna ocena okresu chruszczowskiego. Zgodnie z zasadami przyjętymi w sowieckich artykułach teoretycznych, Smirnow nie wymienia nazwiska Chruszczowa, ale zwraca uwagę, że polityka Breżniewa (którego nazwisko również przemilcza) była wymierzona „przeciw realizowanej uprzednio — choć niesystematycznie i niekonsekwentnie — demokratyzacji aparatu partyjnego i państwowego”. Można z tego wywnioskować, że autor popiera chruszczowską linię walki z kultem jednostki i zarzuca jej tylko niesystematyczność i niekonsekwencję. Główna część artykułu dotyczy jednak czego innego.

Dlaczego — pyta Smirnow — mówimy o „rewolucyjnej naturze tego, co się dzieje, o rewolucyjnym charakterze przemian? Dlaczego nie można ograniczyć się do stosunkowo neutralnego pojęcia 'reforma'”? Dlaczego Gorbaczow mówi o „rewolucji”, skoro rewolucja oznacza „jakościową zmianę stosunków społecznych”, a takiej zmiany nikt w Związku Sowieckim nie planuje, bowiem „idzie nie o obalenie władzy państwowej, a o umocnienie państwa socjalistycznego...”?

Co to za rewolucja, która nie obala rządzącej partii, nie zmienia starego ustroju, a przeciwnie, stara się go umocnić? Smirnow

przytacza przykłady podobnych rewolucji w dziejach ZSSR: „narzuca się tu porównanie z kolektywizacją i rewolucją kulturalną”.

Nikt jeszcze tak jasno i uczciwie nie wskazał na fakt, że wzorem obecnych przemian jest epoka stalinowska. Kolektywizacja (1929-1934) i rewolucja kulturalna (1929-1931) były najważniejszymi elementami stalinowskiego planu budownictwa państwa totalitarnego. Kolektywizacja, która zlikwidowała chłopstwo jako stosunkowo niezależną od państwa klasę społeczną, położyła podwaliny ekonomiczne pod system stalinowski, natomiast rewolucja kulturalna, która rozbiła „resztki wpływów przeżytków dawnego świata”, położyła fundament pod władzę partii nad duchowym życiem kraju.

Pół wieku po stalinowskich „odgórných rewolucjach” nie ma być może potrzeby uciekania się do radykalnych środków, które zastosował pierwszy generalny sekretarz. Nie ma dziś w Związku Sowieckim „antagonizmów klasowych”, nie ma wrogów władzy. Dlatego też dzieło, rozpoczęte w latach 30-tych, należy kontynuować w białych rękawiczkach. Celem rewolucji Gorbaczowa jest — zdaniem Smirnowa — „umocnienie socjalistycznych podstaw, ich równomierny rozwój, doprowadzenie do końca budowy socjalizmu i przekształcenie społeczeństwa sowieckiego w prawdziwie rozwinięty socjalizm”.

Najpopularniejszym hasłem rewolucji kulturalnej była „inżynieria społeczna”, tzn. intensywna obróbka materiału ludzkiego, wykorzystanie „czynnika ludzkiego”, używając terminologii dzisiejszej. W owych latach Stalin nazwał pisarzy „inżynierami dusz”. Waga, jaką dziś przypisuje się „dziedzinie duchowej” i „twórcom kultury” wskazuje, że lekcja Stalina nie poszła na marne.

Szósty zjazd dziennikarzy ZSSR, który obradował w Moskwie w pierwszej połowie marca, poświęcony był konkretnym środkom kontroli świadomości obywateli. W zjeździe uczestniczyła armia dziennikarzy, przewyższająca liczebnością niejedną regularną armię świata. ZSSR liczy — oznajmił przewodniczący związku dziennikarzy i redaktor *Prawdy* w jednej osobie, W. Afanasjew — 100.000 dziennikarzy, z czego 85.182 należy do związku. Stanowi to osiem dywizji w pełnym składzie. Do tego należy dodać — uzupełnił Afanasjew — 6.000 nieetatowych korespondentów. Cała ta armia „z wielkim poczuciem odpowiedzialności przyjęła apel partii o rewolucyjne przemiany we wszystkich dziedzinach życia społecznego...” (*Prawda* z 17 marca 1987). To zdanie z rezolucji zjazdu dziennikarzy obnaża lepiej niż wszystkie teoretyczne traktaty charakter gorbaczowskiej „rewolucji”: rządząca partia wzywa do rewolucji, a najwierniejsi z wiernych sług usług nie odpowiadają: tak jest! Bułat Okudźawa powiedział w rozmowie z dziennikarzem w Berlinie Zachodnim, że w Związku Sowieckim toczy się rewolucja, tylko brak rewolucjonistów. Dziennikarze ochoczo zgodzili się ich zastąpić.

Dwa problemy dominowały w obradach zjazdu dziennikarzy: stosunki między prasą centralną a prasą prowincjonalną oraz stosunek do „jawności”. Pierwszy problem powstał w wyniku

zmian na szczytach. Ledwie nowy generalny sekretarz usadowił się mocno w siodle, przystąpił do rozgramiania aparatu partyjnego swojego poprzednika i zastępowania go własnym. W każdej republice, w każdym obwodzie miejscowa prasa podporządkowuje się całkowicie lokalnemu sekretarzowi partii. W walce o swoje pozycje miejscowe kacyki partyjne posługują się swoją prasą dla obrony przed „jawnością”, którą centrala wykorzystuje dla skompromitowania starego aparatu partyjnego. Najjaskrawszym tego przykładem była afera woroszyłowgradzka, gdzie korespondent lokalnej gazety a zarazem „oko Moskwy” znalazł się w konflikcie z miejscowym sekretarzem partii, który usiłował wykorzystać miejscowe KGB w walce z dziennikarzem. Moskwa zwyciężyła, miejscowe kierownictwo partyjne i KGB zostały ukarane. Opór jednak trwa, jak dowodzą przemówienia na zjeździe dziennikarzy.

Charakter drugiego problemu jest oczywisty: „jawność” potrzebna jest przede wszystkim jako instrument do walki ze starym aparatem, ale „krytyka i samokrytyka” łatwo mogą rozsadzić wytyczone im ramy. Należy więc surowo kontrolować „jawność” i umiejętnie ją dozować. „Sądząc z wyników ankiety wśród naszych czytelników — oznajmił na zjeździe dziennikarzy redaktor gazety *Noworossijskij rabociz* — najbardziej irytuje ich w prasie bezustanna krytyka, za którą nie idą żadne zmiany na lepsze” (*Prawda* z 16 marca 1987). Gorbaczow wiedział o czym mówi, kiedy wyznał w prywatnej rozmowie, że „plebs jest zmęczony krytyką”. Naruszenie tabu i krytyka niedostatków budzą zadowolenie tylko na początku. Kiedy się okazuje, że za krytyką nie idą czyny, ludzie zaczynają się irytować, mają uczucie, że ich oszukano, że słowa tylko przesłaniają niezmienną bo niezmienną rzeczywistość. Czytelnicy — wywodzi noworosyjski redaktor — „proponują: dość już tego rozrzucania kamieni, pora zacząć budować z nich nowy dom”.

Ale kto chciałby budować nowy dom? Z przemówień i rezolucji na zjeździe dziennikarzy wynika, że owszem, zamierza się wyremontować stary, odmalować go, tu i ówdzie pobielić, wymienić przegniełe doszczętnie podłogi. W pierwszym punkcie rezolucji mowa jest o tym, że zjazd „uznał działalność zarządu związku dziennikarzy ZSSR w omawianym okresie za zadowalającą”. Omawiany okres to lata 1982-1987. Przez wszystkie te lata związek dziennikarzy funkcjonował więc normalnie. Przewodniczącym związku ponownie wybrano naczelnego redaktora *Prawdy*, W. Afanasjewa.

Wszyscy mówcy występujący na zjeździe zgodnie stwierdzali, że w prasie sowieckiej pojawiło się więcej interesujących materiałów. Wszyscy też przyznawali, że związane to jest z pojawieniem się większej liczby materiałów krytycznych. „O negatywach — stwierdził Afanasjew — piszemy z rozmachem, ostro, interesująco. Pisać równie ciekawie i pozytywnie jeszcze się nie nauczyliśmy”. Dziennikarze sowieccy stają oto przed nieznanym im dotychczas problemem: jak pisać ciekawie o pozytywach,

kiedy na sąsiedniej kolumnie tej samej gazety, albo w innej, ukazuje się interesujący materiał o „negatywach”?

Jednym z przykładów, jak można rozwiązać ten problem, jest dyskusja o emigracji i emigrantach. Temat ten budzi ostatnimi czasy żywe zainteresowanie sowieckich organów prasowych (oraz zapewne i innych). Powrót do ZSSR choćby niewielkiej liczby emigrantów pomógłby utrwalić nowy obraz ZSSR i stanowiłby dowód, że rzeczywiście coś się w nim zmienia. Władze prowadzą więc zawiłą grę, mającą rozbić emigrację, skłonić jej najbardziej znanych przedstawicieli do wypowiedzi na rzecz Gorbaczowa itd. W marcu pojawiło się w największych gazetach świata oświadczenie, podpisane przez Wasyla Aksjonowa, Władimira Bukowskiego, Aleksandra i Olgę Zinowiewych, Jurija Lubimowa, Władimira Maksimowa, Ernsta Nieizwiestnego, Jurija Orłowa i Leonida Pluszcza. Autorzy wyrażają powątpiewanie co do autentyczności zmian i odwilży. Zwolnienie najbardziej znanych opozycjonistów uważają za wyraz „selektywnego miłosierdzia” zamiast amnestii wszystkich więźniów sumienia. Przypominają, że nie potępiono represji psychiatrycznych, że wojna w Afganistanie trwa, że „zrehabilitowano pośmiertnie” tylko kilku pisarzy (Gumilow, Nabokow), przywilej ten natomiast nie rozciąga się na żywych (a w szczególności na autorów oświadczenia). Autorzy uważają, że radykalna przemiana systemu sowieckiego musi się zacząć od rewizji ideologii, „bez której żadne długofalowe zmiany w Związku sowieckim nie zajądą i zająć nie mogą”. Oświadczenie kończy się pytaniem: „Jeśli — jak przyznaje Gorbaczow — od czasów Lenina żaden wódz nie zdołał zmusić [jej] do poprawnego funkcjonowania, to może pora spróbować innej?”.

Uważając, że jawność „wymaga swobody dyskusji”, autorzy oświadczenia proponują, aby na dowód autentycznej jawności prasa sowiecka opublikowała ich tekst. Wyzwanie podjęty *Moskowskie nowosti*, które opublikowały oświadczenie, mowa o nim była także w *Ogonkie*, gdzie jednak zacytowano tylko fragmenty. Także *Prawda* z 25 marca br. odnotowała je, „dając odpór” artykułom W. Korionowa „Panika w szeregach „byłych””. Opublikowanie oświadczenia jest wydarzeniem niecodziennym, reakcja na nie — normalna. Zamiast dyskusji bezwarunkowe potępienie w dobrze znanych słowach: „odszczepieńcy”, „błuznierstwo”, *made in USA*. „Ich prawdziwymi przyjaciółmi — pisze Korionow o autorach oświadczenia — są afgańscy duszmeni, nikaraguańscy *contras*, pol-potowscy mordercy”. Replikę swą kończy gniewnie i zdecydowanie: „Garstka odszczepieńców stara się w przededniu wielkiego święta, 70-tej rocznicy Października, wrzucić grude brudu do naszego promiennego domu. Nie wyjdzie!”.

W replice *Prawdy* najciekawszy jest jej autor. Witali Korionow pisze w organie KC KPZS od lat 40-tych: był komentatorem politycznym za Stalina i za wszystkich następnych generalnych sekretarzy. Dziś, przy Gorbaczowie, wciąż pisze w tych samych słowach o tym samym. Można go zrozumieć. Przewodniczącym związku dziennikarzy W. Afanasjew jest przeciwny wspomnianiu przeszłości. „Nasi przeciwnicy ideologiczni — oświadczył na zjeź-

dzie — starają się wciągnąć nas w dyskusję o przeszłości, zwłaszcza o błędach, do jakich dopuszczono w toku budownictwa społeczeństwa socjalistycznego". Afanasjewa także można bez trudu zrozumieć: żadna poważna dyskusja o teraźniejszości nie jest możliwa bez dyskusji o przeszłości.

Przekonywującego dowodu dostarcza jeden z nielicznych prawdziwie interesujących materiałów, opublikowanych w ostatnim okresie w sowieckiej prasie. Wadim Olszanski, specjalista od socjologii jednostki, ogłosił w piśmie *Socjologiczeskie issledowanija* nr 1/1987 artykuł zatytułowany „Początek zrobiony. Co dalej?”. Stwierdziwszy, że „entuzjazm boom'u antyalkoholowego” zaczął opadać, Olszanski proponuje, by dokonać „poważnej socjologicznej analizy pijaństwa”. Artykuł jest ciekawy przede wszystkim dlatego, że mówi o pierwszych rezultatach najbardziej spektakularnego posunięcia dwuletniej epoki Gorbaczowa — kampanii antyalkoholowej. „Problem pijaństwa nie został rozwiązany — podsumowuje socjolog — więcej, alkoholizm zmienił charakter, zszedł do podziemia, zlokalizował się w sferze bytu i życia prywatnego, wymknął się spod kontroli społecznej... Zakazami tego problemu nie da się rozwiązać, wpędza się go tylko w głąb”.

Olszanski nie zgadza się z rozumowaniem zwolenników surowych zakazów: „Przycisnęliśmy pijaków i poprawiło się, czyli trzeba jeszcze mocniej zaciągnąć pętlę”. Olszanski uważa, że jest to walka z symptomami, ale nie z chorobą. Kto i na co choruje? Alkoholizm zdaniem Olszanskiego „pełni funkcję kompensaty braków w organizacji społecznej”. Rozwijając tę myśl, Olszanski zwięźle wykłada, co zrodziło „braki w organizacji społecznej” ZSSR. Między innymi zwraca uwagę na powstałe w ostatnich dziesięcioleciach „sprzeczności między jakością siły roboczej a możliwościami jej zastosowania”. W 1959 roku na 1.000 robotników 401 miało średnie lub wyższe wykształcenie, w roku 1986 — 849. Tymczasem prawie połowa posad „proponuje monotonna, wymagającą niskich kwalifikacji, ręczną, ciężką fizyczną pracę”. Rezultat: „alkoholizm obniża twórcze potrzeby ludzi, sprowadza robotcy potencjał społeczeństwa do poziomu odpowiadającemu archaicznej, przed-przemysłowej bazie technologicznej”. Typowo sowiecki paradoks: państwo daje (i szczyty się tym!) wykształcenie, po czym proponuje wykształconym obywatelom pracę, która nie wymaga żadnego wykształcenia. Obywatele muszą „obniżyć swe potrzeby twórcze”, co z powodzeniem robią przy pomocy wódki.

Alkohol, kontynuuje socjolog, „pozwala zredukować przepaść między rosnącymi zasobami wolnego czasu a możliwościami inteligentnego wykorzystania go”. Więcej, właśnie alkohol pozwala „kierować aktywność społeczną w bezpieczne dla biurokratycznej dezorganizacji społeczeństwa koryto”. Nie jest żadnym odkryciem, że napoje spirytusowe pełniły (autor używa czasu przeszłego) „funkcję swoistego powszechnego ekwiwalentu ukrytej wymiany, kompensującej braki zarówno organizacji pracy jak i usług”.

Olszanski upatruje w tym sprzeczność, związaną — jak pisze — z faktem, że „wartości socjalizmu istnieją niekiedy jakby same sobie, a postępowanie ludzi ma z nimi bardzo niewiele wspólnego”. Socjolog powołuje się nawet na teorię, która rozróżnia między „normatywnym podejściem do stylu życia (sowiecki model życia) a rzeczywistym stylem życia obywateli sowieckich”. Znaczący to — rozszyfrowuje socjolog — że istnieje „trudna do przezwyciężenia przepaść między słowami a czynami”. Przepaść przezwyciężyć trudno, ale można — przy pomocy alkoholu.

Artykuł kończy się stwierdzeniem, że niezbędna jest „przebudowa życia społecznego”, której właśnie dokonują partia i cały naród sowiecki. Naród sowiecki określa dziś — w prawdziwym życiu — kompleks środków przebudowy znanym od dawna, zdezaktualizowanym, ale niezapomnianym skrótem GPU. Jest to skrót pierwszych liter głównych haseł Gorbaczowa: *glasnost'*, *pieriestrojka*, *uskorienije* — GPU.

Adam KRUCZEK

6 kwietnia 1987

Kronika niemiecka

W Niemczech Zachodnich zatrzymano transport 2 tys. ton mleka w proszku skażonego promieniowaniem czarnobylskim. Także poprzedni transport (3 tys. ton) został przyłapany w drodze z RFN do jednego z państw afrykańskich. Władze zachodnioniemieckie nie wiedzą, co z tym mlekiem zrobić. Tymczasem zmagazynowane jest w wagonach na wojskowej bocznicy. RFN poniosła w związku z katastrofą czarnobylską straty w wysokości ok. pół miliarda marek. Ogrodnikom państwo wypłaciło tytułem odszkodowania 300 mln marek, resztę przemysłowi spożywczemu. Ale to nie powód żeby radioaktywne mleko upychać w Afryce. Właściwy odbiorca jest bliżej. ■ W Wyższej Szkole Oficerskiej MSW im. Feliksa Dzierżyńskiego w Warszawie odbyła się sesja niemcomnawcza, poświęcona aktualnym zagadnieniom „rewizjonizmu niemieckiego”. Sesję zorganizowało przejawiające ostatnio sporą aktywność Stowarzyszenie „Wista-Odra” (Edmund Męclewski). Ważkowano na nowo tezę o nieistnieniu w Polsce niemieckiej mniejszości. ■ Centrum leczenia schorzeń serca w Rotenburgu (Hesja) ofiarowało poznańskiej klinice chorób sercowych i płucnych pełny sprzęt do wyposażenia oddziału intensywnej terapii. Sprzęt jest używany, ale po generalnym przeglądzie. Dar jest wynikiem starań istniejącej w Rotenburgu organizacji, która zajmuje się pomocą polskiemu szpitalnictwu. Umożliwiono również sprowadzenie do RFN i przeprowadzenie koniecznych operacji serca czworga polskich dzieci. ■ Rząd zachodnioniemiecki wykupił, płacąc gotówką o nieznanej wysokości, 80 więźniów politycznych z NRD-owskich zakładów karnych, w większości obywateli Niemiec Wschodnich. Przypuszcza się, że Bonn płaci za „głowę” od 60 do 70 tys. DM. ■ Według najnowszych danych, 56 % obywateli RFN w wieku powyżej 18 lat posiada własne samochody. W 1986 roku przybyło ich ponad milion. Obecnie w RFN zarejes-

trawianych jest ponad 28 mln pojazdów samochodowych. ■ W Bonn-Holzlar zostało założone *Polsko-Niemieckie Towarzystwo Kulturalne POLONICA*. Jego zadaniem jest „stworzenie nowych możliwości spotkań między Polakami a Niemcami oraz wzajemnego poznania odmiennych kultur. Szczególnym celem, jaki stawia sobie *Towarzystwo* jest przeciwdziałanie tworzeniu się kulturowego getta wśród przybyłych po 1980 roku do RFN Polaków”. Przewodniczącym wybrano Rolanda Freudensteina, 26-letniego studenta nauk politycznych. Jego zastępcą został Waldemar Wójcik, a skarbniczką Barbara Krzyżewska (oboje studiują na bońskim uniwersytecie). Zgodnie ze swym statutem *Towarzystwo POLONICA* będzie „popierać i pracować na rzecz coraz pełniejszej integracji Polaków i pochodzących z Polski Niemców, a z drugiej strony będzie prezentować polską kulturę realizując przy tym zasadę tolerancji i ideę porozumienia między narodami”. Niektórzy członkowie mają już skrupuły i obawy co na to wszystko powie ambasada PRL w Kolonii. ■ *Scena Operetkowa* z Krakowa wystawiła w 14 miastach RFN (30 przedstawień) *Carewicz* Lehara. Spektakl w reżyserii i choreografii Stanisławy Stanisławskiej, przygotowany został w języku niemieckim. ■ Handel PRL-RFN: w roku 1985 obroty wyniosły 5,9 mld marek; rok 1986 był znacznie gorszy, jako że wymiana była o 1 mld DM mniejsza. Polski węgiel stanowi 50 % zaopatrzenia zachodnoniemieckich elektrowni (w RFN zamykają kopalnie z powodu nierentowności). Produkty przemysłu maszynowego i elektrycznego stanowiły 40 % całego importu z RFN. Polska płaci miedzią, srebrem, siarką, chemikaliami i artykułami rolnospożywczymi. Z dostawami tych ostatnich coraz gorzej; towary węgierskie, rumuńskie i bułgarskie wszędzie widoczne i skutecznie reklamowane, polskie poznikały. Polskie przedsiębiorstwa są absolutnie nieprzygotowane do współpracy z firmami zachodnoniemieckimi, nawet w średnim i małym zakresie, pomimo ustawy o spółkach mieszanych („joint ventures”). Wiąże się to z trudnościami transferu zysku osiągniętego na rynku polskim, ciągłą zmiennością polityki w stosunku do firm zagranicznych itd. ■ Nakładem *Krajowej Agencji Wydawniczej* ukazała się książka Stanisława Hara-simiuka pt. *My, gastarbeiterzy*. Rzecz o najnowszej fali emigracyjnej z kraju do RFN. Mocno naciągnięta refleksyjna relacja lublinianina, który po dwuletnim pobycie w Niemczech Zachodnich powrócił do Polski. Oczywiście skarży się, że musiał zmywać talerze i był źle traktowany. ■ W ostatnich sześciu miesiącach dalszych 15 polskich naukowców przybyło do RFN w ramach programu stypendialnego *Fundacji im. Alexandra von Humboldta* (3.200 DM miesięcznie przez okres 1-2 lat plus mieszkanie w akademiku). Stypendystów z USA — 16-tu. ■ Rząd zachodnoniemiecki udzieli Chinom komunistycznym pomocy finansowej w wysokości 72 mln marek, przeznaczonych na modernizację przemysłu i realizację szeregu wspólnych projektów technicznych. ■ Rządy krajowe RFN planują wprowadzenie czasowego ograniczenia tzw. *tolerowanego pobytu*, udzielanego dotąd obywatelom Węgier i PRL. Według dotychczasowych przepisów obywatele krajów wschodnioeuropejskich nie mogli być wydalani nawet w przypadku odrzucenia ich podania o azyl. W miesiącu marcu br. poprosiło o azyl 3.749 osób. Jedną trzecią stanowili uchodźcy z KDL-ów. Obecnie zaledwie 10,5 % wniosków załatwianych jest pozytywnie. ■ W pierwszym kwartale bież. roku do RFN przybyło 10.219 przesiedleńców z Europy Wschodniej. ■ Laureatem nagrody miasta Rinteln k/Hanoweru został prof. dr Władysław Matuszkiewicz z *Instytutu Geografii i Przestrzennego Badania Kraju PAN*. Nagroda (10 tys. marek) została przyznana prof. Matuszkiewiczowi za sporządzenie mapy roślinności i drzewostanu w Polsce i opracowanie metody prognozowania tzw. socjologii roślin. Polski naukowiec w latach 50-tych był uczniem prof. dr Reinholda Tuexena, zachodnoniemieckiego botanika światowej sławy. ■ Grupa Polaków i Niemców zainicjowała powstanie w Kolonii organizacji pn. *Pomoc dla Ruchu WOLNOŚĆ I POKÓJ* — Grupy

Roboczej „Solidarność”. Chodzi o udzielenie pomocy represjonowanym w Polsce członkom *Ruchu WOLNOŚĆ I POKÓJ*, m.in. Radosławowi Hugetowi, skazanemu na grzywnę 81 tys. złotych za udział w demonstracji przeciwko interwencji Związku Sowieckiego w Afganistanie i Małgorzacie Gorczewskiej (grzywna w wysokości 50 tys. zł) za posiadanie biuletynów *Amnesty International*. ■ Z okazji XXX-lecia warszawska *Polityka* przeprowadziła międzynarodową ankietę — *Z czym się pani (panu) kojarzy słowo: Polityka?* Eberhard Schulz, profesor (mocno lewicujący), dyrektor *Instytutu Badawczego Niemieckiego Towarzystwa Polityki Zagranicznej* w Bonn: „(...) Drugie skojarzenie: pan Rakowski, którego poznałem w 1958 roku, w czasie mego pierwszego pobytu w Polsce”. Friedrich Dürrenmatt, pisarz, dramaturg szwajcarski: „Pytanie jest zbyt powierzchowne. Nie biorę udziału w tak powierzchownych ankietach”. ■ Nakładem *Biblioteki „Więzi”* ukazała się książka pt. *Dziesięciu sprawiedliwych. Wspomnienia okupacyjne*. Zebrali i wstępem poprzedził Jan Turnau. Na publikację składa się kilkadziesiąt relacji Polaków o „dobrych Niemcach”. Turnau: „Pojawiła się (...) dodatkowa motywacja autorska: chęć publicznego podziękowania ludziom (Niemcom — A.J.Ch.), którzy wtedy pomogli, często ratując życie. (...) Polacy potrafili żywić dobre uczucia wobec tych, którzy okazali się inni. Umieją ocenić odwagę i poświęcenie. Nie są zaślepieni”. Książka doczekała się bardzo pochlebnej recenzji pióra Gottholda Rhode, zamieszczonej w wielkim dzienniku *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. ■ „Będziemy — mając w pamięci naszą bolesną historię — kontynuować drogę porozumienia z narodem polskim” — stwierdził m.in. w wygłoszonej w *Bundestagu* deklaracji rządowej kanclerz Helmut Kohl. ■ Płótna dwóch polskich artystów-malarzy, Wojciecha Kapelańskiego i Emila Bartłomiejczaka (Wrocław), wystawiła kolońska *Galerie Grosser Bachem*. ■ Nakładem *Instytutu Kultury — Tradycja i Współczesność*, w Düsseldorfie (za tą szumną nazwą nie kryje się żadna konkretna działalność) ukazała się publikacja Henryka Olesiaka — *Polska emigracja polityczna w RFN. Szkice z psychologii społecznej*. Praca pseudonaukowa o myślnym tytule; brak w niej jakichkolwiek bliższych informacji o Polakach i ich organizacjach na terenie Niemiec Zachodnich. Ostatni rozdział nosi tytuł: *Polska emigracja polityczna wobec imperializmu sowieckiego*. Autor jest prezesem w/w *Instytutu Kultury*. ■ Aktywność Władysława Bartoszewskiego jest ogromna: w monachijskim *Zydowskim Centrum Młodzieżowym i Kulturalnym* Władysław Bartoszewski wygłosił referat poświęcony konieczności pojednania pomiędzy Żydami, Niemcami i Polakami. Prelegent podkreślił, że nie wolno przemilczać historycznych faktów i tragicznych wydarzeń, które miały miejsce w przeszłości. Konieczne jest jednak, aby młode pokolenie odczuwało jednocześnie potrzebę stałego polepszania wzajemnych stosunków, częstszego kontaktowania się, i aby młodzi Żydzi, Niemcy i Polacy podali sobie rękę w geście pojednania, aby szukali wspólnych dróg prowadzących do przyszłości; wykłady gościnne na uniwersytecie w Passau (Bawaria), w *Akademii Dyplomatycznej* w Wiedniu; w ramach dnia uczczenia pamięci straconego przez hitlerowców rodzeństwa Scholl, obchodzonego na monachijskim uniwersytecie. Odczyty na sesjach naukowych w *Politycznej Akademii Fundacji im. Konrada Adenauera* (Eichholz k/ Bonn) i *Akademii Ewangelickiej* w Berlinie Zachodnim. Ponadto Bartoszewski miał wieczory autorskie w różnych organizacjach i księgarniach w Monachium, Berlinie Zachodnim, Fuldzie, Sztutgarcie, Münster, Paderborn i Kolonii. W lutym br. ukazała się szósta książka polskiego historyka w języku niemieckim: „*Uns eint vergossenes Blut*”. *Juden und Polen in der Zeit der „Endlösung”* („Łączy nas przelana krew”. Żydzi i Polacy w okresie zagłady). Wydawnictwo — S. Fischer Verlag, Frankfurt 1987. Od dnia wręczenia *Nagrody Pokojowej Niemieckich Wydawców i Księgarzy* we Frankfurcie (5. 10. 1986) ukazało się ponad dwieście artykułów i notatek w prasie RFN o Bartoszewskim. Do tego dochodzą

liczne wywiady i wystąpienia na falach radiowych i w TV. ■ W *Ateliedreieck* (Essen) odbyła się premiera filmu Teodora Nawrockiego (produkcja i reżyseria) — *Unverlorene Niederlagen* (*Nieprzegrane porażki*), będącego przeglądem twórczości malarstwa Andrzeja Piwarskiego, polskiego artysty-plastyka mieszkającego w Essen. ■ Zachodnioniemiecka TV nadała w stałym programie *Monitor* reportaż w związku z huczynymi obchodami 100-nej rocznicy powstania firmy samochodowej *Daimler-Benz*. Wątkiem programu było stwierdzenie, że koncern w okresie hitlerowskim wykorzystywał polskich robotników przywiezionych na przymusową pracę, że winien był żyjącym wypłacić odszkodowania i że nie wywiązał się dotąd z tych zobowiązań moralnych. Reporterzy TV znaleźli świadka, który opowiedział o egzekucji pewnego Polaka oskarżonego o rzekomy sabotaż w czasie pracy w koncernie. Następnie pokazano płytę na jego grobie. ■ Władze RFN zgodziły się na wydawanie Polakom i Węgrom rocznych wiz pobytowych. Zarządzenie to ma wejść w życie w maju br. Rozszerzony na okres roku pobyt ma charakter warunkowy i zależny jest od tego, czy przebywający na terenie RFN Polak lub Węgier będzie mógł się utrzymać z własnych funduszy, w niczym nie obciążając Republiki Federalnej Niemiec. ■ W Gdańsku-Sobieszowie obradowało II Forum Młodzieży PRL i RFN, po 9-letniej przerwie. Według monachijskiej *Süddeutsche Zeitung* przerwa była spowodowana nie tyle różnicami politycznymi młodej generacji Polaków i Niemców, ile wydarzeniami z grudnia 1981 roku (organizatorzy wybrali miejsce obrad, jako że w pobliżu znajdował się kiedyś obóz koncentracyjny w Stutthofie. Chodziło o stworzenie odpowiedniej atmosfery...). 20-osobowej delegacji Federalnej Rady Młodzieży RFN przewodniczył Klaus Westermann. Polską grupą kierował sztywno przewodniczący ZG ZSMP Jerzy Smajdziński. Poglądy młodych Niemców były bardzo zróżnicowane: przedstawiciel prochadecko nastawionej organizacji upominał się słusznie o ogólnoeuropejską regulację pokojową, której warunkiem miałyby być zniesienie wewnętrznie-niemieckiej granicy; Młodzi Socjaliści natomiast wyraźnie opowiadali się za powojennymi realiami. Polscy uczestnicy propagowali oficjalny, ortodoksyjny punkt widzenia. Proponowane przez nich projekty ograniczały się do współpracy na szczeblu funkcjonariuszy. Niemcy byli za szeroką wymianą młodzieży, przeciwnie polity-biokratycznym ograniczeniom; „młodzież obu krajów na dobre odbiła się od brzegu historii, wrogości i uprzedzeń”. W końcu uzgodniono kompromisowy komunikat (w delegacji zachodnioniemieckiej przeważali lewicowcy), wymieniono koszulki i rozjechano się do domów. Tak wygląda w praktyce realizacja wspólnej umowy o rozwoju stosunków między PRL a RFN z 11 czerwca 1976 roku. W punkcie VI uzgodniono m.in. co następuje: „Obie strony potwierdzają swą wolę szczególnego popierania szerokich kontaktów młodzieżowych (...) i opowiadają się za wspólnym utworzeniem ośrodka spotkań młodzieży w Polsce”. Papier podpisali: Edward Gierek i Helmut Schmidt. O tych uzgodnieniach PRL-owscy funkcjonariusze nie pisnęli słowa, a Niemcy po prostu zapomnieli. Do zobaczenia za następnych dziewięć lat! Aleksander Kwaśniewski, minister d/s młodzieży wyraził nadzieję, że „obecne władze RFN stworzą dogodny klimat dla rozwoju i rozszerzenia współpracy polsko-zachodnioniemieckiej na odcinku młodzieżowym”. ■ W Bonn odbyły się konsultacje przedstawicieli MSZ Polski i RFN na temat współpracy kulturalnej i naukowej. Uzgodniono, że w obu krajach zorganizowane zostaną na zasadzie wzajemności tygodnie kultury („kolejna konsultacja przewidziana jest w przyszłym roku w Warszawie”). ■ Prawnicze pismo *Der Staat* (*Duncker & Humboldt*, Berlin Zachodni) opublikowało źródłową pracę Jürgena Beckera pt. *Die Rechtsgrundlagen der Zulassung und des Verbots der Gewerkschaft „Solidarität” im polnischen Verfassungs- und Verwaltungsrecht* (*Zasady prawne zezwolenia i zakazu działalności związku zawodowego „Solidarność” w polskim prawie konstytucyjnym i administracyjnym*). ■ W *Deutsches Po-*

len Institut w Darmstacie Lothar Herbst wygłosił odczyt pt. *Trzy obiegi literatury polskiej — emigracyjny, oficjalny, niezależny. Próba wartościowania*. Obszerne omówienie ukazało się w *Darmstädter Echo*. Wrocławski poeta miał również wieczory autorskie we Wschodnioeuropejskim Centrum Kulturalnym IGNIS w Kolonii oraz w *Ateliedreieck* w Essen. Wszędzie dopisała frekwencja, miejscami wywiązała się ciekawa dyskusja. ■ W Sztutgarcie działa od pięciu lat Polskie Towarzystwo Kulturalne. Przewodniczącym jest ks. Witold Broniewski (ksiądz bez parafii, na stałe w RFN, uczy religii w szkołach niemieckich). W Badenii-Wirtembergii mieszka ok. 5 tys. Polaków. Towarzystwo zorganizowało już 30 wystaw malarstwa, rzeźby (polskiej sztuki niezależnej), kilka koncertów muzyki i kiermasz książki polskiej. Odbyło się ponadto szereg spotkań połączonych z prelekcjami, m.in. z Tadeuszem Nowakowskim (Monachium) i prof. Andrzejem Vincenzem (Heidelberg — Getynga). Adres: Am Kräherwald 197, D-7000 Stuttgart 1.

Andrzej J. CHILECKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzić
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 418 — ANDRZEJ SZCZUPIORSKI

POCZĄTEK

Nowa książka autora znakomitej „Mszy za miasto Arras” jest opowieścią w pewnym sensie historyczną. Za „początek” polskiej teraźniejszości Szczypiorski uważa Warszawę pod okupacją hitlerowską w rozlicznych aspektach. Opis losów bohaterów powieści jest historią niektórych korzeni polskiego „dzisiaj”: hitlerowski „początek” rzuca cień na komunistyczny „ciąg dalszy”.

Str. 160.

Cena F. 65,00.



TOM 419 — MAREK NOWAKOWSKI

«GRISZA, JA TIEBIE SKAŻU...»

Piąta książka Marka Nowakowskiego w „Bibliotece Kultury” zawiera opowiadania: AMAZONKA, WIZERUNEK, „GRISZA, JA TIEBIE SKAŻU...”, ZAKON KAWALERÓW MAZOWIECKICH, ROZMOWA i GLOBUS.

Str. 176.

Cena F. 70,00.



W Z N O W I E N I E

TOM 128 — MAREK HŁASKO

PIĘKNI DWUDZIESTOLETNI

Wydanie trzecie fotooffsetowe

Str. 210.

Cena F. 75,00.

Kronika kulturalna

Gorzkie żale przybywajcie...

Różne „hańby domowe”

„Hańba domowa” z tytułu „rozmów z pisarzami” Jacka Trznadla (Paryż, Instytut Literacki, 1986) dobrze określa sedno sprawy — zamyka ją jednak w ramach 1949-1955, tj. latach „błędów i wypaczeń” i hegemonii socrealizmu. Rozmówcy Trznadla (np. Andrzej Braun) zwięźają ją nawet do trzech lat! W rzeczywistości schorzenie trwało o wiele dłużej i było istotniejsze w skutkach, niżby to z deklaracji niektórych rozmówców wynikało. Co więcej: *hańba domowa* nie wypełzała cichaczem z piekła i nie rozmyła się w odwilży. Miała i *ma* ciąg dalszy w twórczości Romana Bratnego czy Józefa Łozińskiego — jest chorobą endemiczną. W rozważaniach na temat „Polak jaki jest?” motyw hańby domowej powraca wielokrotnie — rysuje się on ostro w esejach Tomasza Łubieńskiego i powieściach Władysława Terleckiego. Nie zawahał się przed jej zilustrowaniem nawet Sienkiewicz, wielki krzepiciel serc; Targowica stała pod jej znakiem. Nawet w życiorysie „wielkiego Adama” dopatrzyć się można skaz, a w twórczości gorzkich żalów i usprawiedliwień.

„Hańba — domowa” z wiersza Norwida „Duch Adama i skandal” odnosiła się konkretnie do waśni emigracyjnych z lat 1850-tych i porachunków natury personalnej — i to ją do tych rozmiarów redukuje. Trznadel nadaje jej rangę wyższą: *zniewolonego umysłu*. W kilku wypowiedziach jego rozmówców tkwi w podtekście wskazówka, że prowodyrzy inspirujący młodych poetów i dziennikarzy mieli przed oczyma wyraźne wzory sowieckie — wyniki fachowego przeszkolenia. Ujawniała to także technika agitacji powrotowej, stosowana w Londynie jesienią 1945 roku. Nie bez kozery było kierowanie młodych rusycystów

na studia do Moskwy — nie brano jednak pod uwagę ewentualności drastycznych przeobrażeń w ich pozornie tylko zniewolonych umysłach. *Hańba domowa* z rozmów z Trznadlem była wypadkową „domowych” błędów i wypaczeń, skutków wojny, izolacji od Zachodu, systematycznej dezinformacji, a nade wszystko umiejętnie dawcowanej indoktrynacji i psychologicznej wojny nerwów z niepokornymi Lachami. To więcej, niż potępienie odosobnionego bądź co bądź incydentu na pogrzebie Mickiewicza. Konflikt z inaczej myślącymi rodakami występuje w rozmowach tylko drugoplanowo; od milczącej (szarej?) większości odgradza ich „szklany mur” nieufności, osobliwa umiejętność zamykania oczu na otaczającą ich rzeczywistość — a później akceptowanie żalostnej prawdy, iż „trzeba było żyć”, choćby kosztem zakłamania podszytego przeświadczeniem, że inaczej być nie może, że jakoś to będzie — albo i czarnowidztwa, bo światła w tunelu nie było widać i, jak się dziś mawia — „zaciągnęło się”.

Prehistoria socrealizmu

Przed słynnym zjazdem szczecińskim ZLP (1949) sprawnie funkcjonowała już cenzura. W czambuł potępiano pisarzy emigracyjnych, szykanowano i likwidowano wydawnictwa prywatne usiłujące kontynuować linię przedwojenną, przemilczano poetów Podziemia, a na szerszym tle ludzie z lasu toczyli nierówną walkę o wolność i honor, o Lwów, Wilno i prawdę o Katyniu. Wcześniej była lwowska jesień 1939, we wstrząsający sposób przypomniana przez Aleksandra Wata w *Moim wieku* i Olę Watową w *To co najważniejsze*, w rozmowach z Trznadlem. W czasie wojny Państwowe Wydawnictwo Mniejszości Narodów ZSSR i Związek Patriotów Polskich, nie obwijając swych intencji w bawełnę, produkowało w masowych nakładach literaturę propagandową przemieszana z próbkami twórczości Mickiewicza i wiekopomnymi utworami tow. Wandy Wasilewskiej. Jak bardzo była wstydliva twórczość skaptowanych przez nią pisarzy, świadczy fakt, że po roku 1945 nie przedrukowano nie tylko *Nowych Widnokręgów* (1941-1945), ale nawet nie wydano poświęconej im monografii czy antologii wybranych tekstów.

Wydawane w Sowietach książki i broszury w języku polskim miały charakterystyczny, ujednolicony wygląd: szarobure okładki ze słabo odbijającym od tła, rozmazanym tytułem. Wczesne wydawnictwa krajowe, choć ukazujące się na ogół w nieco większym formacie, wyglądały tak do nich podobnie, że we wczesnych latach powojennych czytelnicy Biblioteki Polskiej w Londynie, mający za sobą świeżej daty przeżycia z ZSSR albo odrzucali

je automatycznie, albo ostrożnie wypytywali, czy *Krata Gojawi-czyńskiej*, *Najeżdźcy Dobraczyńskiego*, *Z kraju milczenia* Żukrowskiego itd. nie są przypadkiem wydawnictwami moskiewskimi. Odruchy te występowały nie tylko u tych, którzy świadomie przenosili *kapitalistycznej gniot* nad mgliste obietnice poniemieckich gospodarstw na Ziemiach Odzyskanych, lecz u ogółu „dipł-sów” przierzucanych z kraju do kraju i z namiotów do „beczek śmiechu”. Byli to rodzice pokolenia, które w latach 1960-tych objawiło się na wyższych uczelniach Zachodu — pokolenia mającego za sobą, jak świadczą książki Janiny Kowalskiej, trudne okresy aklimatyzacji, nie postawionego jednak przed „szklanym murem” mnogich form zakłamania. Ich krajowi rówieśnicy poddawani już byli wówczas na całego wypróbowanym w siedemnastu republikach zabiegom deformacyjnym. O ich intensywności, tempie wdrażania i zakresie świadczą wymownie podręczniki szkolne, szparko podążające za aktualnymi wytycznymi, co rok poprawiane i uzupełniane. Gdy brakło odpowiednich tekstów polskich, sięgano do podręczników sowieckich, wyławiając z nich i tłumacząc takie np. wzruszające piosenki, jak przytoczona poniżej a wyjęta z ćwiczeń ortograficznych dla klasy czwartej szkoły podstawowej:

*Na dębie zielonym, hen, ponad przestwory,
Dwa jasne sokoły wiodły rozmowy,
A owe sokoły ludzie rozpoznali:
Pierwszy sokół — Lenin, drugi sokół — Stalin.*

Niestrudzonymi i ślepo posłusznymi wykonawcami zaleceń partii stali się w „najgorszym okresie” Ryszard Matuszewski i J. Z. Jakubowski, których zwierzenia na ten temat byłyby niewątpliwie interesujące.

Szklany mur Zbigniewa Kubikowskiego

Naiwne odruchy czytelników londyńskich są wczesną manifestacją oporu przeciw indoktrynacji. Pogląd, że są one charakterystyczne dla ogółu deportowanych do Rosji popiera Zbigniew Kubikowski (zm. 1985), którego wypowiedź otwiera *Hańbę domową*: „Pamiętajmy o jednej rzeczy — sformułował jasno swój pogląd — znakomita większość tych, którzy przeszli przez obozy sowieckie, przeszli przez *tamtą* stronę, w zasadzie została na Zachodzie. Był tutaj pewien przedziwny podział: Polacy w Kraju mieli doświadczenie okupacji hitlerowskiej, natomiast w gruncie rzeczy nie mieli doświadczenia rosyjskiego” — „to byli ludzie,

po których już przeszedł ten walec i już byli uformowani, przepuszczeni przez system" (str. 41). Sądzi, że we wczesnym okresie to, co się stało, było jednak lepsze od okupacji niemieckiej dla „całej Wielkopolski, całej Kongresówki, całej zachodniej Galicji. Poza Krajem było inaczej: przemieszani w wojsku i w obozach cywilnych 'dipisi' licytowali się niekiedy, kto więcej przecierpiał, ale zasadniczo byli zgodni w ocenie metod sowieckich”.

Kubikowski (1929-1985), kolega Trznadla z Uniwersytetu Wrocławskiego, podjął ok. 1980 roku ambitną próbę całościowego opracowania problemów *prozy* polskiej w cyklu przerwanych chorobą i przedwczesnym zgonem artykułów drukowanych w latach 1983-1984 we wrocławskim miesięczniku *Odra* pod tytułem „Szklany mur”. Ogłaszane w piśmie, ukazującym się jawnie, są one poddane, sądząc z ilości znaków (...) pracowitym ingerencjom cenzury, tak licznym, że wyraźnie deformującym sens całych ustępów. Daje się to w szczególności odczuć w omówieniach twórczości pisarzy emigracyjnych, których Kubikowski starał się jak najszerzej uwzględnić w oparciu o dobrą znajomość tekstów.

Obraz lat 1945-1956 w ujęciu Kubikowskiego uzupełnia *Hańbę domową* w tym przede wszystkim sensie, że wydobywa na światło dzienne i hierarchizuje ogół czynnych w owym okresie pisarzy — a więc ogarnia znacznie większą ilość zjawisk i charakteryzuje ich tło, podczas gdy Trznadel zmierzał do odtworzenia doświadczeń „typowych”, że się tak wyrażę, pisarzy czynnych na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Kubikowski sądził, że początki zabiegów indoktrynacyjnych wyglądały niewinnie. Wczesne numery *Kuźnicy* mogłyby ukazać się przed 1939 rokiem, a *Tygodnik Powszechny* był w początkach istnienia partnerem mającym prawo do „swoich poglądów”; sądzi jednak, iż owa pseudo-swoboda mieściła się w taktyce reorganizatorów życia kulturalnego i była tolerowana do czasu. Młodzi tego nie wyczuwali, uważa jednak że pisarze wówczas 30-letni — „seniorzy” w stosunku do przyszłych „pryszczatych” — (a więc Kazimierz Brandys, Dygat, Zukrowski) *wiedzieli* o czystkach, Jałcie, Katyniu, a przede wszystkim o przedwojennych powiązaniach polskich radykałów lewicowych z ambasadą sowiecką w Warszawie, cichym finansowaniu pism literackich itd. — odśłania je Wat w *Moim wieku*. Ale nawet „ludzie typu Żółkiewskiego” sądzili, że „społeczeństwo będzie pluralistyczne” i nie narzucali współpracownikom redagowanych przez siebie pism postulatów uniformizacji. Inaczej, sądzi Kubikowski, myśleli zapredani już wtedy: Putrament, Jerzy Borejsza („mądry enkawudysta”) zapewne i Ważyk. Słowem: aktyw lwowski. Tu jednak strzec się trzeba uogólnień.

Aktyw lwowski

Rolę tzw. aktywu lwowskiego omówił znacznie obszerniej Bohdan Urbankowski w części 1-szej „Rozdartego świata” w *Poezji* z marca 1986. Przypomina on, że we Lwowie działali „m.in. Wanda Wasilewska, Tadeusz Boy-Żeleński, Elżbieta Szemplińska, Leon Pasternak, którzy weszli nawet do zarządu Związku Sowieckich Pisarzy Ukrainy, a także Melania Kierczyńska, Jerzy Borejsza, Adam Ważyk, Paweł Hoffman, Paweł Hertz, Jerzy Putrament, Stanisław J. Lec, Mieczysław Jastrun, Adolf Rudnicki, Karol Kuryluk, Erwin Axer, Julian Przyboś, Włodzimierz Słobodnik i inni. Podobna strukturalnie, choć bardziej rozproszona grupa organizowała się wokół wychodzącego w Mińsku *Sztandaru Wolności*, w którym pisywali m.in. Janina Broniewska, Jakub Berman (także jako Jan Brylak), Juliusz Burgin, Stefan Wierbłowski, Wilhelm Billig, Feliks Papliński i in.”. Urbankowski dodaje: „Artykuły i wiersze większości tych działaczy były tak egzaltowane, że czyta się je jak niezamierzone autoparodie”. Pisano je wytrwale nawet po aresztowaniu we Lwowie Broniewskiego, Wata, Sterna, Parnickiego i Peipera. Urbankowski widzi w tym „klucz do tajemnicy owego *lobby*, które potem obejmie stanowiska w zarządzaniu polską kulturą, klucz do jego dyspozycyjności i do jego upartej wiary zamykającej oczy na fakty przeczące utopii”.

Etapy wpadania w pułapkę

We wczesnej fazie wcielania w życie metod sowieckich na plan pierwszy wysuwa się dezinformacja i przemilczanie niewygodnych tematów. Dopiero w roku 1949/1950 — pisze Kubikowski — „zamknęły się jakieś żelazne drzwi i nagle znaleźliśmy się w normalnym lagrze” (str. 46), „wpadliśmy w zasadzkę”. Uznano, co Trznadel uważa za „świadomość cyniczną”, że w systemie stalinowskim są dwa wyjścia: „albo brać udział, albo być przeciwnikiem tego wszystkiego”. Kubikowski sądzi inaczej. Na przykładzie Zukrowskiego z okresu powstawania *Mądrych ziół* ilustruje etapy pogrążania się w stalinizm, „sterowania życiem”, zgody na skreślenia cenzury, opanowanie „sztuki rezygnacji” z zakwestionowanych fragmentów. „Złamali go (tj. Zukrowskiego) pewnie bez większego oporu” — i co więcej tak umiejętnie, że się dotąd z pułapki nie wydobył, sam sobą poniewierając.

Bardzo znamienne są wspomnienia studenckie Kubikowskiego o pisarzach, których uważano wówczas we Wrocławiu (ok. 1950

roku) za „seniorów”, a był już wśród nich prof. Jan Kott, dobrze wiedzący „co mamy robić” i co może przejść przez sita cenzury „w tym ustroju”.

Taki tryb rozumowania narzucał przede wszystkim Stefan Żółkiewski, reprezentacyjny „zniewalacz”, mistrz urządzania się, autor karykaturalnych interpretacji twórczości Mickiewicza, współtwórca języka IBL-owskiego.

Urbankowski (str. 22) w refleksjach o początkach aplikowania socrealizmu, jako doktryny obowiązującej od IV (szczecińskiego) Zjazdu Literatów (20-23 stycznia 1949) przytacza anegdotę (?), związaną z ostrą krytyką poezji Gałczyńskiego. W toku dyskusji Żółkiewski porównał go „do drobnomieszczańskiego kanarka”. Urbankowski pisze dalej: „Kiedy w profetycznym zapale miał wykrzyknąć „należy ukreślić łeb temu kanarkowi”, Gałczyński, równie proroczo, odpowiedział: „wtedy zostanie wam już tylko klatka”. Ważyk solidaryzował się z Żółkiewskim, określając Gałczyńskiego jako „apologetę drobnomieszczaństwa”. Po tym wyroku — jak świadczy córka Gałczyńskiego, Kira (*Zdanie*, 1985, nr 12) — „Gałczyński mógł tylko sporadycznie drukować pojedyncze wiersze”, „życie ojca w Polsce Ludowej trwało za ledwie siedem lat, z których zabrano mu półtora”. Zmarł 6 grudnia 1953, częściowo ułaskawiony dzięki interwencji... Putramenta w dyskusji nad twórczością Konstantego Ildefonsa ocenianej na zebraniu Sekcji Poezji ZLP przez Hieronima Michalskiego. Czytając *Hańbę domową*, trzeba stale pamiętać o złowieszczym wpływie prowodyrów na otumanionych szkołą, radiem, prasą dwudziestolatków.

Isolacjonizm starszych pisarzy

Zatrzymać się warto przy starszych wiekiem pisarzach, szukających przyzwrotnego *modus vivendi*, a więc np. pozornie zaabsorbowanej przekładem Pepys'a Dąbrowskiej, rozpaczliwie pertraktujących z cenzurą członkach redakcji *Zeszytów Wrocławskich* (np. rozdwojonym na rzetelnego uczonego i władającego sprawnie językiem urzędowym prof. Tadeusza Mikulskim).

Kubikowski powraca kilkakrotnie do analizy postaw zajętych przez seniorów, pamiętających zaborców, pierwszą wojnę światową i ciągnące się długo po jej zakończeniu lata chaosu, „z których się przecież coś wyłoniło”. Sądzi, że „tak długo być nie może”, słowem stawiali na „przeczekanie”. Podobne wrażenie odniósł później Wierzyński z rozmów z Marią Dąbrowską, która — jego zdaniem — przeceniała wątpliwe oznaki rozluźnienia cenzury czy nieco większe swobody wyjazdów za granicę: „Przecież tu jestem”, powtarzała naiwnie w czasie ukradkowych spotkań

w Londynie, Paryżu czy Bernie... Rozumowanie takie tłumaczy zachowanie nie tylko Dąbrowskiej, ale i Parandowskiego, Staffa i Morstina. Zmęczeni historią, postawili na biologiczne przetrwanie, milcząc, z rzadka korzystając z ograniczonych szans druku. Oni jednak — choć Kubikowski i Urbankowski tego nie wydobywają — zapisali się w prehistorii odwilży *Zegarem słonecznym* (1953!), „Na wsi weselem” (1955), lansowaniem tematów antycznych w okresie rugowania łaciny z programów nauczania. Konsekwencją tej postawy była ostrożność w udzielaniu rad debiutantom. Dobrym tego przykładem jest stosunek Anny Kowalskiej, redaktora *Zeszytów Wrocławskich*, do „akowskiej” powieści Kubikowskiego. Odmowę umotywowano „kwestiami stylistycznymi”, a nie tematem poprzednio zaakceptowanej do druku powieści. Kowalskiej „ani przez myśl nie przeszło, żeby powiedzieć, dlaczego naprawdę mi to (tj. maszynopis utworu) oddaje”. Jednak się z tym pogodził: „Trzeba było żyć”.

Werbunek młodych pisarzy

We wczesnych latach powojennych gorączkowe zaspokajanie głodu słowa drukowanego otwierało szerokie możliwości debiutantom. W zestawieniu z dolą „dipisów” działało im dobrze. Wieczory autorskie były wielkimi przygodami, zamieszkanie w Szczecinie, Wrocławiu czy na Wybrzeżu miało charakter „poczekalni” przed posadami w stolicy. Wyłaniające się jak spod ziemi czasopisma i wydawnictwa dawały łatwe szanse druku i wręcz wabiły młodych pisarzy. Stąd mnogość debiutów, stąd idące w setki członków Sekcje Młodych ZLP, stąd laureaci najosobliwszych nagród, konkursy jednego wiersza, almanachy kreujące regionalne wielkości. Nie były to jednak wylęgarnie talentów, a raczej biura werbunkowe partii. Z ich szeregów wyszli chwalcy Stalina i Bieruta, autorzy produkcyjniaków i naśladowcy propagandowych wierszy i sztuk teatralnych sowieckich.

W rozliczeniach z socrealizmem niedostatecznie bierze się pod uwagę koszarne rozmiary ówczesnego wodolejstwa „okolicznościowego” — nie wystarczy tu stwierdzenie, że spłynęło i rozmydliło się, pozostawiając pustkę i pożałowania godną lukę. Pamiętać należy, że zdążyło zmanierować i wykołować kilka, jeśli nie kilkanaście, roczników młodzieży. W brudnej mazi tandety zagubiły się zapewne także i obiecujące debiuty. Po roku 1956 spontanicznej dyskwalifikacji uległy całe połacie literatury. Ci spośród rozmówców Trznadla, którzy się dla literatury uratowali, nagrzeszywszy w młodości, mają za sobą nie tylko „szkielety w szafach” czy udział w „Wiośnie Sześciolatki”, ale i trud odkrywania prawdy o sobie. Dla tych, którzy pozostali w Kraju i od-

żegnawali się od własnej przeszłości, oznaczało to przezwyższanie nieufności i krytyki i czytelników, szykany cenzury i wydawców. Jak „seniorzy” w latach stalinowskich, tak i „piękni, dwudziestoletni” szukali po roku 1956 tematów „neutralnych”, prac edytorskich i przekładów. I oni docenili powaby języka ezopowego rodem z „Ciemności kryją ziemię” i „Bram raj” Andrzeja Jędraszewskiego.

Tropienie winowajców

W publikacjach dotyczących okresu stalinowskiego uwaga skupia się na ocalałych z pogromu pisarzach, oczekując od nich ujawnienia metod indoktrynacji. „Jak mogło do tego dojść?”, „Jak wytłumaczyć tak daleko posuniętą zatrutą samokrytycyzm?” — to typowe pytania zadawane rozmówcom przez Torańską (*Oni*) i Trznadla. Równoległym torem idą analizy postaw tych odważnych a, niestety, nieelicznych, których od kapitulacji ze zdrowego rozsądku ocalała „potęga smaku”. „Jak zdołaliście się przeciwstawić naporowi?”.

W latach 1950-tych w licznych artykułach i notatkach omawiałam na łamach londyńskich *Wiadomości* (w rubryce pt. „Szkiełko i oko”), w *Tekach Historycznych* a nadto w zeszytach specjalnych *Kultury* prace z zakresu historii literatury takie jak np. Stefana Żółkiewskiego *Badania nad literaturą polską. Dorobek, stan i potrzeby* (1954) czy „klasyk” w tej dziedzinie, pracę zbiorową *O sytuacji w historii literatury polskiej. Wybór referatów wygłoszonych na Zjeździe Polonistów w dn. 8-12. V. 1950* (1956). Z doświadczeń owych lat wyłania się, w moim pojęciu, nieco inne widzenie problemu młodych pisarzy, którzy ulegli w owych latach zaczadzeniu. Zgadzam się z Trznadlem, Herbertem i Tyrmandem, że powinniśmy znać całą prawdę o tym zjawisku. Ale — myślę — inni szatani byli tam czynni i na nich winna się koncentrować nasza uwaga. Ci, którzy dzielą się z nami refleksjami o latach 1950-tych i chcą rozmawiać na ten temat, a podając się dobrowolnie indagacji mówią — po latach — to, co jest wynikiem wieloletnich rachunków sumienia i co zbliża się do prawdy, ale jest już jej komentarzem — ci, powtarzam, dać mogą tylko ułamkowy obraz sytuacji. Są to ponadto ci, którzy przeżyli (a zmarło zadziwiająco wielu) i nie są aktywistami partyjnymi jak Żukrowski czy Bratny. Jak reflektorem naświetlamy tych, którzy są w naszym zasięgu i nie uchylają się od szlachetnej wiwisekcji! Na ławie oskarżonych zasiąść powinien, jako główny oskarżony, Stefan Żółkiewski, wsławiony zaiste mrówczą pracą nad aplikowaniem marksizmu-leninizmu do historii literatury polskiej, autor słynnych potępień dorobku Wacława Boro-

wego, Tadeusza Makowieckiego i Karola Zawodzińskiego, którego ataki, jak się wydaje, nie były bez wpływu na daty przedwczesnych zgonów tych uczonych. Żółkiewskiemu sekundowali i fachowo go pouczali Jakub Berman (zdaniem Ważyka „przemity staruszek”), Jerzy Borejsza, Paweł Hoffman, Melania Kierczyńska, Jerzy Putrament, Adam Ważyk i z kolei, na niższym zapewne szczeblu wtajemniczenia a posłuszni ich zaleceniom, J. Z. Jakubowski, Henryk Markiewicz, Kazimierz Budzyk, Janusz Wilhelmi — a nawet, co z przykrością wypada mi wymienić dla pełni obrazu — Kazimierz Wyka, Jan Kott i kolega z seminarium prof. Ujejskiego, kameleon Bogdan Suchodolski. Znaleźli by się i dalsi.

Technika tresury

„Architekci powojennej polityki literackiej i kulturalnej” mieli zadanie ułatwione. Wystarczało sięgać do wzorów z takim powodzeniem wdrażanych przez socrealistycznych marksistów w ZSSR. Preliminaria procesu indoktrynacji nakreślił Stephen Richard Lee w *Trudnym przymierzu. Polska awangarda poetycka w kręgu idei lewicy (1918-1939)* (Warszawa 1982), co świeżo przypomniał w *Poezji* Andrzej Zieniewicz w szkicu pod ironicznym tytułem „Wiersze z marmuru. O poezji piewców sześciolatki”, ilustrującym dalsze etapy procesu zniewalania. Młodzi pisarze szkoleni byli umiejętnie w „oczyszczaniu poezji ze smaczków i pięknośnek burżuazyjnych poetyki z czasów imperializmu, ze skłonności formalistycznych i tradycji zepsutego baroku” (Ważyk na V Zjeździe ZLP, 1950). Praktyka oczyszczania nie tylko poezji ale i literatury „zastanej” znajdowała konkretny wyraz w słynnym odczytywaniu na nowo poszczególnych utworów przez znawców łączących znajomość literatury z wytycznymi polityki wydawniczej partii. Najbezwzględniej odniesiono się do pisarzy czynnych w 20-leciu, z Żeromskim włącznie. Z operacji przecen uratowało się tak niewiele utworów, że wypadało sięgać po lektury do cieszącego się szczególnymi łaskami pozytywizmu. Często, gdy utwór był „do przyjęcia”, źle wypadła biografia autora. W sukurs przychodziły krytyczne wstępy i komentarze, w których dokonywano najosobliwszych łamańców. Studenci polonistyki byli nieświadomymi uczestnikami wielkich „programów”, mających za zadanie wykrywanie właściwych tradycji. A pamiętać należy, że większość debiutantów z lat 1950-tych ukończyła studia polonistyczne i pod czujnym okiem mentorów opanowywała technikę stosowania wytycznych zawartych we *Wstępie do teorii marksizmu* Adama Schaffa (1949) i Henryka Markiewicza *O marksistowskiej teorii literatury* (1952). Gdy z kolei stawiali

się pracownikami naukowymi i recenzentami, okazywało się, że nauka nie poszła w las. Na tej glebie wyrosła kadra IBL-owców.

Monopoetyka

Gdy w okresie słynnej sześciolatki zatarła się granica między propagandą a pokorną dyspozycyjnością autorów, masowo pisano „wiersze z marmuru” i „produkcyjniaki” (powieści i reportaże), starannie omijające tematy drażliwe i wręcz zakazane, jak zsyłki, Katyń, AK, Powstanie Warszawskie, pisarze emigracyjni. Najłagodniejszą formą represji w stosunku do tych ostatnich było przemilczanie, sięgające wstecz i ogarniające twórczość sprzed roku 1939 (nawet w bibliografiach).

Kubikowski określił mianem „monopoetyki” programowe wytyczne owych lat — oczywisty eufemizm. Na pojęcie to składało się dzielenie literatury na postępową i wsteczną, popieranie i inicjowanie imprez agitacyjnych i dostarczanie nadających się do recytacji i druku w wydawnictwach rocznicowych utworów o „właściwym” zabarwieniu. Na tym szczeblu — pisze Zieniewicz — rysuje się wyraźnie dyrektywa: „w poezji przede wszystkim Majakowski, Pasternak, romantyzm ze znacznymi ograniczeniami, jedynie w aspekcie rewolucyjno-wyzwoleńczym, bez mistycznego mętniactwa, bez Norwida — bo szkodliwy, a Młoda Polska znów bez Wyspiańskiego, bo barokowo-pokretny (ale miał słuszne momenty ludowości), za to owszem Konopnicka, itd.”.

Mówi się dziś, że tak pojęta „monopoetyka” należy do przeszłości. Czy na pewno? Z półek księgarskich znikły od dawna zbiorowe wydania Krasińskiego i Wyspiańskiego, wykłady paryskie i korespondencja Mickiewicza — czytelnik krajowy wtłaczany jest na nowo w zestawy literatury „właściwej”. Jeśli w bibliotece publicznej na prowincji uchowa się egzemplarz atrakcyjnej a wyczerpanej książki, czytelnik „gubi” go i skwapliwie płaci oficjalną karę, uspakajając w ten sposób sumienie.

Podkreślić przy tym warto, że swoista selektywność występuje wyraźnie w planach wydawniczych na odcinku przekładów z literatur obcych. Jak w latach 1950-tych, rynek księgarski zalewa lawina przekładów z „języków narodów ZSSR”. Narzuca się pytanie: kiedy i w czym przekładzie — i w jakim nakładzie — ukaże się *Dr Żiwago*?

Pojęcie „właściwego” wyboru tematu odżyło w jaskrawej formie w niedawnych wypowiedziach oficjalnych Nawrockiego — Bratny i Łoziński doskonale wyczuli, skąd wiatr wieje, a Sokorski fabrykuje powieść po powieści. Pociężyć się można jedynie przeświadczeniem, że nie do pomyslenia byłby dziś wiersz

tak wzruszający i sentymalny, jak „Widokówka z miasta socjalistycznego”. Ważyka ze słynną strofą o robotnicy smarującej parowóz:

A jej tylko drgała warga,
gdy ranną porcją oliwy
maściła, czuła kolejarka,
tłoki lokomotywy

(1946)

„Jeśli któraś z umorusanych kolejarek — komentuje ten wiersz Urbankowski — przeczytała ten wiersz, to poeta mógł mówić o szczęściu, że nie spotkał jej na swojej drodze”.

Zieniewicz ma rację, pisząc w „Wierszach z marmuru”, że „... tamten okres wcale nie stał się 'minionym' epizodem (...) opowieść nie rozwija się optymistycznie, jest to historia kamieni, którymi wybrukowano drogę do piekła. Intencji obracających się w swoje przeciwieństwo, nadziei lądujących w błocie, mechanizmów wypadających spod kontroli, przegrywanych życiorysów i fałszywych spowiedzi, samobójstw i apostazji (...) *Mała apokalipsa* i *Literatura*, drugi obieg i bibuła — wszystko to tkwi korzeniami w tamtych czasach” (str. 20).

Dokumentacja zniewolenia

28 września 1950 roku o godz. 17.15 Kazimierz Brandys otworzył inauguracyjne posiedzenie Sekcji Twórczości Poetyckiej Związku Literatów Polskich, a „kolega Jerzy Putrament” wyjaśnił jej przyszłym członkom, że chodzi o zwalczanie tendencji do pisania wierszy „bezobrazowych, niewizualnych, tromtadraczkich, używających gromkich słów pośpiesznie pisanych”. Epoka ma wymagania, trzeba się do nich stosować. Związek pouczy, jak się to robi. O tym, jak zwalczano „schorzenia”, dokuczające zresztą nie tylko poetom i nie tylko pisarzom, informuje zadziwiająco odważnie zredagowany, wiarygodny, ironiczny skrót protokołów sekcji z lat 1950-1954, oparty na paru tysiącach stron stenogramów, opublikowany w roku 1986 w *Poezji*, a sygnowany inicjałami *bd, sk, jzb i bu*.

W okresie pracowitego urzędowania sekcja, licząca ponad setkę członków, odbywała po kilka zebrań rocznie. Na pierwszym z nich Broniewski, „mając pewne doświadczenia ze Lwowa, wolał od razu wiedzieć, co ma robić, żeby było dobrze”. W toku dyskusji ustalono, że sekcja ma oceniać niedrukowane wiersze z punktu widzenia artystycznego i społecznego, recenzować już wydane, omawiać problemy teoretyczne i sugerować tematy: „np. planu-

jemy, że za 2-3 miesiące każdy przyniesie teksty pieśni masowych np. o rewolucji październikowej". W dalszym ciągu „prac” sekcji poruszano takie np. sprawy, jak „wydanie czy niewydanie” poezji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Ginczanki i „poetów zabitych podczas okupacji”, co wypadło na ich niekorzyść. Na horyzoncie rysowały się wielkie wzory pod postacią wierszy Ważyka i Putramenta, którzy, jak to określił na podstawie stenogramu *bd*, „zhumanizowali poezję polską, ponieważ była niehumanistyczna, a nie była humanistyczna ponieważ estetyzowała”, wobec czego „rozkładowa liryka jako produkt rozkładowego procesu literatury burżuazyjnej domagała się jeśli nie eliminacji to przynajmniej 'oddziaływania ideowego'”. Jednych pouczano, innych, np. Gałczyńskiego, starano się „zaktywizować”. Czasem chwalono, gdy np. u Tuwima dostrzeżono „pozytywny wysiłek ideologiczny”, a u Miłosza pewne „elementy postępowe”, co zauważył Ryszard Matuszewski (str. 29). Uważano, że Różewiczowi jako obiecującemu poecie należy „pomóc w najtrudniejszym okresie zmagania się ze sobą” (str. 36). Najcięższym przewinieniem Wirpszy (w „Stoczni”) było wplatanie wieku XIX do teraźniejszości. Wirpsza wywinął się z opatów, tłumacząc, że wychował się w Gdańsku i stosunki panujące tam w roku 1948 przypominały mu wiek XIX, „bo były jeszcze pozostałości kapitalizmu w naszej epoce” — a wspomnienia jego są „realistyczne”, choć mogą się wydawać „idealistyczne”. Samokrytyka zadowolili zarząd sekcji, a Sandauer skwitował słowami „mniej z tym” smutny fakt, że Wirpsza posługiwał się heksametrem, rażącym uszy krytyka. Nie oszczędzono Przybosia; w roku 1953 okazało się, że „poeta jest dla polskiej krytyki zadaniem, które czeka na rozwiązanie od dawna”. Naprzód popadł w „upojenie cywilizacyjne” — potem poraził go „triumfalny i optymistyczny witalizm”. Referujący *casus* Przybosia Hieronim Michalski widział dla niego ratunek „w odrzuceniu uroszczeń antyrealistycznej epoki”, co by to nie znaczyło. Przyboś wyczytał w tym postulat „sprozaizowania poezji” i zaapelował do zebranych: „Nie pomiatajcie fantazją twórczą, bo ona jest warunkiem poezji” (tu stenograf zaznaczył: „oklaski”).

Przykładów takich można by wyliczyć wiele. Nie chodzi jednak o to, by bawić się cytatami i przykładać je do znajomych pisarzy. Rzecz w tym, że sztukę poetycką potraktowano jako narzędzie działań partii, a twórców jak nieporadnych czeladników. Wszystkowiedzący a tajemniczy „oni”, góra ZLP, nie byli i *napadł nie są skłonni* do rozmów z Torąską czy Trznadłem i jak mogą, zacierają ślady „minionego okresu”, zbywając je jak Ważyk oceną „nieinteresujące”. A przy tym — umierając, zamieniając się w odnowicieli „rewolucji zdradzonej”. Wiele pisano o dwuznacznym sensie *Popiołu i diamentu*; o *Pamiętce z Celulozy*

zamilczeć wolę, przypomnę tylko *pro domo mea*, że już 27 listopada 1955 omówiłam *Poemat dla dorosłych* w *Szkiełku i oku* pt. „Zażalenie drogą służbową” (*Wiadomości*, Londyn).

Na zebraniach sekcji młodzi poeci dowiadywali się — i to z ust Słonimskiego — że Miłosz przypomina mu „oberzdrajcę generała Własowa”, a zdaniem Jastruna Wyspiański w *Legionie* „nie może odróżnić Mickiewicza od Krasińskiego” (prot. z 1952, str. 79). W pasjonującej dyskusji nad recepcją Majakowskiego padły jednak trafne, dla odmiany, uwagi, iż szedł on słynnymi schodkami wersów w górę, „a u nas wielu kolegów schodzi na dół”.

Oddzielnego omówienia domagają się dyskusje nad włączeniem czy wyłączeniem wierszy do antologii czy wypisów szkolnych. Dość zacytować, że Słonimski wykrył, że w *Zarysie literatury polskiej*, II (wydanym *nota bene* w nakładzie 180.000 egz.) słynny wiersz Staffa „O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny” umieszczono w dziale „Rozkład literatury” burżuazyjnej”. „Widać chodziło — orzekł Słonimski — o wywołanie wrażenia, że rozkład burżuazji odbywał się w czasie deszczu”. Zatakowany na zebraniu prof. Wyka, gdy go próby usprawiedliwienia zawiodły, przyznał się, że on sam, po napisaniu równie przykłego „podręcznika do romantyzmu, wylądował na parę miesięcy w szpitalu” (str. 104).

Podsumowanie działalności sekcji

Od września 1950 do 19 maja 1954 odbyło się 58 zebrań, w tym 13 „monograficznych” i 3 specjalne, poświęcone pieśniom masowym. Wszystko byłoby dobrze — orzekł Pollak, gdyby nie „sekiarskie próby narzucania na ogół niesłusznych poglądów na poezję”, zwłaszcza liryczną. Zbyt mało dyskutowano poezję radziecką, co tłumaczy wpadanie w „proletkult” i „rappowszczyznę”, tj. spóźnione wpływy rozwiązane w 1932 roku RAPP-u, *Rosyjskiej Asocjacji Proletarskich Pisatelej*. Ale już Pollak, oskarżając kolegów o fabrykowanie zbyt wielu wierszy okolicznościowych i „gładko pisanych z tzw. wydźwiękiem, który spełniał rolę glejtu ochronnego”, próbuje się bronić: *Byliśmy nie-winni*.

Winni byli mityczni „oni”. Stąd uchylanie się od nazywania winnych po imieniu, stąd: „narzucano nam”, „stawiano bariery” itd. Nie godził się z nimi jednak Arnold Słucki, tak wówczas zniewolony, iż uważał że „mówienie o istnieniu systemu, który by terroryzował naszą opinię literacką jest bardzo, bardzo przesadzone” (str. 115). Sprawa „prób zgłajchsztaltowania” i „ter-

roru atmosfery" wracała jednak w dyskusji. I tak *bu* w omówieniu protokołów z 1954 roku cytuje wypowiedź Śpiewaka („młodego” poety): „Prawie wszyscy mówili, że ci młodzi to nie wielkiego, ale byli jakby pieskami, które gryzły starszych kolegów, oni przestraszyli się i to pomogło starszym poetom do tego, by stać się bardziej rewolucyjnymi”. Sposób niewątpliwie skuteczny i potwierdzający teorię, że warto trzymać w domu czujnego pieska, by porywał do akcji ośpałego brytana.

Podsumowany dorobek „starych” i „młodych” z dziesięciolecia 1945-1955 Hieronim Michalski uznał za niewypał: 80 % wierszy stworzonych w Polsce Ludowej, to wiersze „do luzu”. Nie to było winą krytyki, że „rzuciła kłody pod nogi” różnym słabym poetom, lecz to że „rzuciła ich za mało”. Jednym z zarzutów było tolerowanie wierszy o przysłowiowej „gałązce bzu” (w juveniliach Iwaszkiewicza „kitce bzu”), a nie o problemach socjalizmu. „Dojrzały pisarz — stwierdził Pollak — zawsze będzie pisał i o jednym i o drugim i zawsze będzie socjalistą”.

„Kartki z dziennika” Bohdana Drozdowskiego z 1971-1972, z okresu obejmowania redakcji *Poezji* świadczą, że w „środowisku” niewiele się zmieniło, a technika „glajchsztaltowania” weszła w krew.

Rozdarty świat Urbankowskiego

W marcowym numerze *Poezji* z 1986 jeden z współautorów relacji opartych o protokoły Sekcji Twórczości Poetyckiej ZLP Bohdan Urbankowski (*bu*) opublikował pod tytułem „W rozdartym świecie” obszerny esej, analizujący kolejne etapy wytycznych i osiągnięć poetyckich po roku 1945. Pełny tytuł brzmi: „Rozdarty świat (nie tylko poezji). I „Poeci i dworzanie”, II. „Trzydzieści lat w trzy lata / O złotym wieku pravicowo-nacjonalistycznych odchył” — łącznie 48 stron.

Wbrew porzekadłu Stachury, iż „wszystko jest poezją” Urbankowski kwestionuje uznawanie za poezję każdego tak określonego przez wydawców wyrobu. O ile „wysoka” poezja bliska jest *sacrum*, o tyle masowo produkowane wiersze mieszczą się wygodnie w sferze *profanum*. Opracowując *Szkiełce o literaturze emigracyjnej* przemycalam takie właśnie rozróżnienie między *literaturą* a szerzej pojętym *piśmiennictwem* o charakterze dokumentarnym. Urbankowski winduje poezję z prawdziwego zdarzenia bardzo wysoko, jest ona dla niego „bocznym wejściem w *sacrum*”. Moc sakralizacji spokrewnia ją z religią, „rzecz zwykłą zamienia w magiczny rekwizyt, a ludzi zwykłych w bohaterów”. I — o czym dobrze wie Miłosz — *ocala*.

Esaj Urbankowskiego jest najbardziej kompetentną próbą

podsumowania i charakterystyki zjawisk zachodzących w poezji polskiej w Kraju po roku 1945, gdyż:

A) Podobnie jak Kubikowski uważa, iż trudno przecenić konsekwencje wojny, w wyniku której „zdzięsiatkowana została elita kulturotwórcza” a powojenni debiutanci wchodzili w życie w okresie masowych przemieszczeń i „patosu odbudowy”. „Entuzjazm, który mógł pokonać zniszczenia i dźwignąć Polskę do poziomu czołowych państw Europy, został w zbrodniczy sposób zmarnowany”. „Błędny, złowrogi w skutkach decyzjom politycznym towarzyszył, niestety, głos poetów sakralizujący głupotę i kryjący przestępców w oparach kadzidłanego dymu”. Oglądający budowy młodzi poeci „nie dostrzegali brudu, wszy, nieświeżego jedzenia — oni widzieli tylko *Wiosnę Sześciolatki* i *Świt nad Nową Hutą*”. Kto wie — konkluduje Urbankowski — „może prawdziwa była przechwałka Bermiana, iż słynny *Poemat dla dorosłych* powstał z jego sugestii, gdy uznał, że przyszła pora na ujawnienie części prawdy”.

B) Konsekwencją wojną jest także dla Urbankowskiego „zaniżenie poziomu życia i twórczości polskiej we wszystkich niemal dziedzinach”. W tzw. „lukę pokoleniową” weszło „pokolenie zastępcze”, na które — zdaniem Urbankowskiego — składali się: 1) nieliczni z pokolenia Baczyńskiego, którzy przeżyli okupację (Bratny, Borowski, Różewicz, Szymborska, Białoszewski), 2) *outsiderzy* pokoleń przedwojennych (Słobodnik, Jan Wyka, Wygodzki, Pollak, Śpiewak, Putrament, Pasternak i „La Passionaria”, oślawiona Melania Kierczyńska (ur. 1888) — tudzież członkowie Klubu Artystycznego „S”: Jan Kott i Ryszard Matuszewski. Doszłusowali do nich: Hieronim Michalski, Józef Prutkowski i Wirpsza — odnajdujemy ich w roku 1950 w Sekcji *Poezji* w bliskim sąsiedztwie S. R. Dobrowolskiego i Ważyka. 3) Trzecią grupę stanowili pisarze z „awansu społecznego”, przedstawiciele „mas” i „dołów” (m.in. Tadeusz Nowak), 4) „pryszczaci”, których Urbankowski określa niezbyt trafnie jako młodszych braci poetów okupacyjnego podziemia (Burda, Woroszyński, Braun, Mandalian, Śliwiak, Urgacz tudzież Leopold Lewin, „ojciec chrzestny” grupy, autor „Pieśni przodowników pracy” („Nas postawiła Partia na czele / milionowego pochodu”). Coś dla PRON-u.

Z czterech wymienionych wyżej grup na plan pierwszy wybiła się czwarta — „pryszczaci”. Okazali się — jak pośrednio wykazała Alicja Lisiecka — najwygodniejszymi i najczynniejszymi poetami „dworskimi”, wysługującymi się partii, posuwając się do tworzenia na zamówienie słynnych „wierszy telefonicznych”.

W manifestacjach zbiorowych stawali na wezwanie jak jeden

mąż, dostarczając wiersze „dworskie” o Bierucie czy Stalinie. Mają je na sumieniu Woroszyński, Kubiak, Ficowski, Piętak, Kamińska, Międzyrzecki, Ważyk, a nawet Słonimski i Iwaszkiewicz. Różewicz i Szymborska wygłupili się setnie w „Peanie (sic!) ku czci Prezydenta Bieruta”. Na szczyty absurdu wspięli się autorzy wierszy tworzonych spontanicznie po śmierci Stalina, a przypominanych przez K. A. Jeleńskiego w *Zbiegach okoliczności* (w „Notatkach o żałobie”).

C) Konsekwencją wojny — pisze Urbankowski — „było rozbicie muru getta i wejście do kultury polskiej licznej grupy działaczy i twórców pochodzenia żydowskiego”, którzy „stawali się najwybitniejszymi poetami polskimi (Leśmian, Tuwim, Jastrun) a nawet programowo katolickimi (Brandstaetter)”. Niepodobna się zgodzić ani z kryterium oceny, ani z opisem zjawiska. Przeczy temu znajomość 20-lecia z autopsji, roczniki *Wiadomości*, poetycki autorytet Tuwima, członkostwo Akademii Literatury Leśmiana, kroniki Słonimskiego, satyra i piosenka „masowa” itd. Porównanie polskich twórców pochodzenia żydowskiego z Nietzsche, Apollinaire’em czy Dostojewskim jest kompletnym niewypałem. Leśmian, Tuwim czy Jastrun, wbrew Urbankowskiemu, nie wchodzili do kultury polskiej ale szczególnie silnie wyczuleni na urodę polszczyzny byli jej produktem i współtwórcami. Przed rokiem 1939 pisarze, których Urbankowski upolował jako przykłady, nie byli grupą „widoczną, wręcz widowiskową społecznie”. W oczy rzucał się raczej Boy, Franc Fiszer czy Gombrowicz. W literaturze 20-lecia, poza ONR-em, nie obowiązywał numerus clausus. Sandauer, na którego esej „O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego XX wieku” powołuje się Urbankowski, wprowadził rozróżnienie asymilacji przedwojennej o charakterze kulturowym i powojennej o charakterze politycznym. Po wojnie — Urbankowski cytuje Sandauera (*Pisma zebrane*, t. III, str. 497) — „mimo okupacyjnej zagłady Żydzi zjawiają się nader licznie jako pełnomocnicy nowej władzy, która nie dość, że nie przeszkadza obejmowaniu przez nich wysokich stanowisk, lecz wręcz przeciwnie, faworyzuje ich, sugerując jedynie zmianę nazwisk. Złowrogie skutki tego marranizmu dadzą znać o sobie w ćwierć wieku później”. Wśród argumentów uzasadniających faworyzowanie Żydów wymienia Sandauer i to, że „byli mniej podejrzani o konszachty z rządem londyńskim”. Dzielenie grzeszników z okresu stalinizmu według tych kryteriów jest zabiegiem zdecydowanie chybionym, kroplą dziegciu w wywodach Urbankowskiego.

D) Konsekwencją wojny było także — dowodzi Urbankowski — „paradoksalne przesunięcie Polski w Europie geograficznie na Zachód, ustrojowo i ideowo na Wschód w sferę ówczesne-

go szczególnie zwulgaryzowanego marksizmu, jakże dalekiego od humanizmu socjalistycznego głoszonego przez Ossowskich, Chałasińskiego, Suchodolskiego” „zwalczanych zaciekle przez Schaffa i Żółkiewskiego”. Oni to, wspierani przez — zdaniem Urbankowskiego — ostatnich pisarzy, „stworzyli naturalną podściółkę, na której rozwinie się stalinizm”.

E) Jeszcze innym wykwitem stosunków powojennych było „zdominowanie przez politykę sfer tradycyjnie apolitycznych: gospodarki, kultury, sportu — „nawet poezję zaczęto rozpatrywać w kategoriach militarnych, szukać wrogów i agentów wroga”. Berman tak to ujął w przemówieniu na naradzie poświęconej twórczości artystycznej (27-28. X. 1951): „Dosięgnijcie waszą ostrą bronią kułaka i spekulanta, szpiega i dywersanta, amerykańskiego podżegacza i neohitlerowca”. Słowem — jak brzmiał tytuł słynnego artykułu Bermana w nrze 48, 1951 *Nowej Kultury* — „Pokażcie wielkość naszych czasów”. „No i pokazywali, oj, pokazywali — potwierdza Urbankowski — Słucki w ‘Fantazjach antyimperialistycznych’, Szymborska w ‘Robotniku mówiącym o imperialistach’, Mandalian w ‘Wieczorze heroicznym’. W rezultacie poeta utracił nie tylko romantyczny status ‘wieszcz’ i ‘przywódcy’, ale nawet przedwojenny status ‘cygana’ i ‘wolnego strzelca’. Miał zostać urzędnikiem. Urzędnikiem dworskim”.

Nie miejmy złudzeń, że wiele się zmieniło. Urbankowski zapłacił za „Rozdarty świat” usunięciem ze stanowiska zastępcy redaktora naczelnego *Poezji*, a Bohdan Drozdowski, „naczelnym” pisma, podał się do dymisji. Ataki w *Polityce* i *Trybunie Ludu* poprzedziły rugi. Cóż? — stalinizm nie wywietrzył z mózgow Nawrockiego, Misiornego, Żygulskiego, a ministra Krawczuka okres najgorszy zapewne „nie interesuje”.

Postulaty

Rozrachunki z teraźniejszością w *Zdobyciu władzy* i *Zniewolonym umyśle* Miłosza mają ciąg dalszy w oglądanym z dystansu dwudziestu lat *Moim wieku* Wata i rosnących na naszych oczach rozrachunkach z przeszłością, laickich spowiedziach z mniej lub więcej wyraźnymi ciągotkami apologetycznymi. Bohaterami ich są albo nawróceni grzesznicy (u Trznadla) — albo ryzykanci odważający się dać świadectwo prawdzie we własnym dobrze przeżywanym ujęciu (*Oni* Toruńskiej). Poza nimi i poza rozsianymi po czasopiśmie wywiadami i wspomnieniami mgliste rysują się sylwety sprawców zła, prowodyrów, instygatorów. A przecież zasadnicze znaczenie miałby cykl portretów tych właśnie winowajców, od Żółkiewskiego i Schaffa zaczynając. Mimo inge-

rencji cenzury w „Szklanym murze” Kubikowskiego i „Rozdartym świecie” Urbankowskiego problem reżyserów tragicznego widowiska, jakim był „okres błędów i wypaczeń” rysuje się wyraźnie. W opracowaniach krajowych „oni” rysują się jednak, jak przyśłowio wy koń, który „jaki jest, każdy wie”.

I jeszcze jedno: ujawnienie całej prawdy potrzebne jest nie tylko na odcinku literatury pięknej (?), teorii i historii literatury. Ma szerokie ramifikacje: manipulacje tekstami, przemilczenia, wysokość nakładów, fałszowane biografie, luki w zestawieniach bibliograficznych, w obowiązkowych lekturach szkolnych i listach książek wprowadzanych do bibliotek publicznych.

Innym postulatem jest wyławianie z powodzi potępianych ryćzatem publikacji nielicznych, ale przedstawiających trwałą wartość naukowych wydań tekstów pisarzy staropolskich, oświeceniowych, pozytywistycznych — słowem dowody przebijania się przez zapyry „władzy” wydawców i historyków literatury, odważnie sobie poczynających nawet w osławionym IBL-u. Ale — pamiętając o reakcji na artykuł Urbankowskiego — powstrzymuję się od wyliczania nasuwających się pod pióro nazwisk.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

28 lutego 1987

Fejój pod Lizboną

Źródła artykułu: Zbigniew Kubikowski: „Szklany mur”, cykl artykułów drukowanych we wrocławskim miesięczniku *Odra* w nrach 10-12, 1983 i 1-6, 1984; Andrzej Zieniewicz: „Wiersze z marmuru”, *Poezja*, 1986; relacje o działalności Sekcji Twórczości Poetyckiej ZLP w *Poezji*, 1986 (bd): Sekcja 1950; (sk): 1952; (jzb): 1953. Być albo nie być liryki; (bu): 1954. Kluczem do inicjałów jest skład redakcji podany pod fotografią przy „Kartkach z dziennika” Bohdana Drozdowskiego z 1971; „Rozdarty świat” Bohdana Urbankowskiego, cz. I: Poeci i dworzanie (str. 3-24), *Poezja*, marzec 1986 i cz. II: Trzydzieści lat w trzy lata (O złotym wieku pravicowo-nacjonalistycznych odchyleń) *Poezja*, 1986, 4.

Książki

Nowości literatury krajowej

CUD — WSZECHOBECNY ŚWIAT

Tytuł tego szkicu o najnowszych książkach literatury krajowej, wydawanej w tzw. pierwszym obiegu, czyli „oficjalnie”, nasunął mi się podczas lektury poezji Wisławy Szymborskiej¹, której tomik ukazał się nakładem „Czytelnika”. W najogólniejszy sposób ujmuje on to, co charakteryzuje twórczość wielu wspomnianych tu pisarzy: ich zainteresowanie dla konkretnego, dla zmaterializowanego w ludzkim kształcie bytu, dla tego wszystkiego, co najbliższe ziemi. Pisarze ci z podejrzliwością traktują świat idei i nie popadają w służbę takiej czy innej ideologii, obcy jest im też estetyzm, czyli tworzenie literatury z zamiłowaniem do niej samej.

Wszystko to, rzecz jasna, brzmi ogólnikowo, może nawet banalnie, ale właśnie banał bywa często fundamentem ich świata, banał, dzięki literaturze, odbanalizowany.

1. „... a my jesteśmy tylko świadkami”

Znowu i tak jak zawsze
co widać powyżej,
nie ma pytań pilniejszych
od pytań naiwnych

— kończy się wiersz Szymborskiej zatytułowany *Schyłek wieku*. Najbardziej wprost zwerbalizował tę prawdę Adolf Rudnicki w najnowszej swej prozie², która bliższa jest dziennikowi niż esejowi czy felietonowi, bliższa wyznaniu niż refleksji.

1. Wisława Szymborska, *Ludzie na moście*, „Czytelnik”, Warszawa 1986.

2. Adolf Rudnicki, *Krakowskie Przedmieście pełne deserów*, PIW, Warszawa 1986.

„Ugiąć się, choć byłem za życia nieugięty? Nieugięty, gdyż byłem przygięty do samej ziemi od urodzenia. (...) Moralnością wysoką jest chleb, bogiem potężnym, pierwszym — życie! Bywa, że na całe wieki ludzkość zawiesza na kołku jedną filozofię i sięga po inną. Potem, gdy ta się przeżyje, zwiednie, co jest nieuniknione, powróci do poprzedniej. Co ludzkość robiła w ciągu tych pustych wieków? Ratowała życie, żyła! (...) Sama idea to za mało, potrzeba ciała. Słabość utworów, którym brakuje ziemi. Słabość utworów aluzyjnych, światów aluzyjnych...”

Świat literacki oparty tylko na aluzji jest tak lekki, że zdmuchnie go byle powiew „nowego etapu” w polityce kulturalnej. To jest też słabość literatury *sensu stricto* politycznej — jej tymczasowość, na którą choruje niestety również pewna część utworów wydawanych obecnie w podziemiu.

Pisarze, którym poświęcam uwagę, choroby tej szczęśliwie, z pewnymi wyjątkami, uniknęli. Nie byli socrealistami (z wyjątkiem Konwickiego, którego grzechem głównym stała się *Władza*), nie uwikłali też swej obecnej twórczości w takie czy inne zależności polityczne (z wyjątkiem Łozińskiego, utalentowanego prozaika młodego pokolenia, którego grzechem głównym są *Sceny myśliwskie z Dolnego Śląska*, o czym za chwilę). Określa się taką postawę jako niezależną, ale im mniej się o niej pisze i myśli, tym bardziej jest ona autentyczna. Dlatego nieufność budzi manifestowana przez Rudnickiego niezależność; wielkie jej pragnienie sprawia wrażenie kompleksu. Ma ten kompleks głębsze niż tylko polityczne uzasadnienie, wynika bowiem z psychologicznej sytuacji pisarza, zawieszonego między dwiema, nie zawsze i nie całkowicie przenikającymi się kulturami, polską, utożsamioną przez Rudnickiego z katolicką, i żydowską, z którą też do końca się nie utożsamia. Swoją niezależność opiera przede wszystkim na dystansie kosmopolity do tzw. spraw polskich. Widoczne to było bardzo wyraźnie w eseju pt. *Sto lat temu umarł Dostojewski*, wydanym ostatecznie, po perypetiach w wydawnictwach państwowych, poza obiegiem cenzury (w wyd. „Przedświt”), w którym próbował scharakteryzować atmosferę społeczną w okresie „Solidarności”, widoczne jest też we wspomnianym *Krakowskim Przedmieściu*. Ale chłód intelektualisty zabarwia się emocją, gdy porusza on temat „dysydentów”, gdy pisze o ludziach opozycji. Można sądzić, że i na tym tle ma autor *Niebieskich kartek* kompleks, chyba zadawniony, w czym przypomina niestety Artura Sandauera.

Podobny problem, ale w jakże inny sposób, wolny od kompleksów, bez złości, porusza Kuśniewicz w *Mieszaninach obyczajowych*³. Jego najnowsza proza, estetycznie wysublimowana, pełna psychologicznej finezji i kulturowych skojarzeń, bliska tym razem gawędzie staropolskiej (nawet w tytule nawiązuje do Henryka Rzewuskiego), jest przede wszystkim napisana z niebywałym poczuciem humoru, narracja — mimo melancholijnego tonu — skrzy się dowcipem.

3. Andrzej Kuśniewicz, *Mieszaniny obyczajowe*, PIW 1985.

Książka Kuśniewicza różnie została przez krytykę przyjęta. Zarzucano jej m.in. minoderyjność, kokietowanie politycznymi aktualnościami, zbytecznymi dla strumienia świadomości podążającego w przeszłość, nawet dość odległą. Najtrafniej zinterpretowała i najsprawiedliwiej oceniła utwór Helena Zaworska na łamach *Twórczości* (1986, nr 6). W zakończeniu recenzji pisała: „Smak naszego narodowego życia zawiera w sobie i takie jady. Czy to trucizny, czy odpornościowe szanse na przetrwanie? — ba, jak na to odpowiedzieć? Kuśniewicz celowo miesza różne odpowiedzi, różne możliwości interpretacyjne. Proszę uważnie czytać i wybierać, autor zrobił wszystko, żeby sprawy pozostać otwarte”.

Ramę kompozycyjną dla wyznania o wspomnieniowym charakterze, ujętego w formie gawędy, stanowi rozmowa dwojga starych przyjaciół, pochodzących z tej samej sfery towarzyskiej i związanych pokrewieństwem, prowadzona w jednej z warszawskich kawiarni w stanie wojennym. Manifestuje w niej bohater, traktowany również jako narrator (który utożsamiony jest prawie całkowicie z autorem), postawę kibica wobec rzeczywistości: „Wiatr historii obraca kartkę po kartce, a my jesteśmy tylko świadkami”. I tłumaczy ją dziedzictwem, jakie przekazali mu w spadku jego antenaci, wśród których niczym Widmo z II części *Dziadów* lub z *Wesela* straszy (ale i śmieszy) duch pradziada, dworzanina zdrajcy Branickiego. Zdrada czy lojalność, bunt czy rozważa, cierpiętnictwo czy sybarytyzm i cynizm — oto pojęcia, których jednoznaczny sens poddaje Kuśniewicz w wątpliwość. Daleki jest od namawiania do kolaboracji, nie usprawiedliwia też politycznego asekurantwa polskiej arystokracji i jej potomków. Nie proponuje nikomu przyjęcia własnej postawy, wynikającej zarówno z rodowodu, jak i ze znużenia, usprawiedliwionego wiekiem i melancholijną refleksją na temat nieuchronności procesów dziejowych. Poddaje tylko rozważaniu czytelnika, ciężko doświadczonego przez ostatnie lata i może głęboko rozczarowanego, sprawę realizmu w myśleniu o szansach i perspektywach swego narodu.

„Brak nam tego — zauważa narrator — co u innych, też będących w ciężkich warunkach narodów, nazywa się realizmem politycznym. (...) Czego — pytam — ci zawiedzeni właściwie się spodzielali? Na co czekali? Na cud? Teraz mają za swoje! W jakim świecie żyli i żyją? Nagle się przebudzili? Ocknęli?”.

Realizm to również umiejętność życia na co dzień, to stoicka pogoda ducha, czyli docenianie wartości chwil szczęśliwych, to również świadomość, że chociaż od polityki nie można uciec, to można się nią nie przejmować, zachowując zawsze i do ostatka dobry gust i właściwy styl bycia. Te cechy uchroniły narratora i jego antenatów od hysterii i przesady, od wszelkiego zaangażowania w dziejowe procesy. Narrator nie mógłby przystać do zwolenników władzy „ludowej” ze względów chociażby estetycznych, ale nie utożsamia się też z ludźmi opozycji ze względów filozoficznych. Ujmuje to w sposób dosadny i dowcipny, *à propos*

udziału w pochodzie pierwszomajowym w znamienym roku 1982 (1 maja w stanie wojennym):

„...Mają być podobno dwa: jeden prawidłowy i państwowotwórczy, legalny, a drugi paskudny, trefny i wsteczny... Otóż powiem ci, kochana (zwraca się narrator do swej towarzyszki), że ja w żadnym. Jeśli chcesz wiedzieć, siadę sobie na jakiej ławeczce w parku Ujazdowskim — i zacznę na nowo studiować Prousta!”.

Ta żartobliwie-ironiczna wypowiedź wyraźnie określa postawę narratora Kuśniewicza. Nieprzypadkowo pada w niej nazwisko Prousta: przywołane w *Mieszaninach* wspomnienia dzieciństwa i młodości posiadają tonację proustowską, są ucieczką od świata polityki i ocalają ludzką osobowość. O ile jakkolwiek ucieczka od tego świata jest w ogóle możliwa...

Jeszcze silniejsza nuta nostalgii pobrzmiewa w prozie Konwickiego⁴ i ona stanowi o wartości tego osobliwego — bo w dużej mierze opartego na wyobraźni — dziennika, napisanego w podobnej konwencji jak *Kalendarz* i *klepsydra* oraz *Wschody* i *zachody księżycy*. Dominuje w książce kpina, również z siebie samego, z lekką ironiczną sarkazm i bynajmniej nie finezyjny dowcip. Tak samo jak Rudnicki cierpi Konwicki na kompleks zależności, nie ubiera go jednak w patetyczne gesty, lecz w sposób ekshibicjonistyczny, może nawet masochistyczny, wystawia na pokaz, naigrawając się z niego. Ma bowiem pisarz przeszłość niechlubną, której nie ukrywa ani nie usprawiedliwia. Broni się kpiną, ale nie może się pozbyć ciężącego na jego świadomości piętna socrealisty. Bardzo chciałby więc być niezależny, zdaje sobie jednak sprawę, że jest to — szczególnie w warunkach polskich — zadanie niewykonalne. Dlatego lepiej — i bezpieczniej — pielegnować sferę prywatności, lepiej też być błaznem niż kapłanem, a tym bardziej „inżynierem dusz”. Ta ambicja natomiast — jak z sarkazmem stwierdza Konwicki — zżera wielu naszych twórców, po jednej i po drugiej stronie barykady:

„Jest jeszcze jedna dziedzin, trochę wstydliwa, i z pewnym skrępowaniem wkraczam w jej obręb. Myślę tu o rządzie dusz, o tym sporcie tak uwielbianym w polskiej sztuce. Do owej konkurencji stają u nas wszyscy, co władają jako tako piórem, pędzlem czy kamerą filmową. Rządzić duszami współczesnych. Prowadzić ich za sobą. Uczynić aniołami. (...) Stańc obok Mickiewicza i Wyspiańskiego i rządzić tajemniczym, kapryśnym, magicznym duchem Polaków. To jest to. Być podziwianym, wielbionym, czczonym i kopać bliźnich w zęby, spychać ich w czarny dół upokorzeń, topić w niemej rzece nicości”.

Nie wszystkich, rzecz jasna, twórców polskich ma na myśli. Z sympatią np. wyraża się o autorze *Rozmów polskich latem roku 1983*, podobną bowiem do Konwickiego przyjmuje on postawę. Jest to postawa człowieka pokornego serca, pechowca i nieudacznika. Konwicki kreuje się na postać z filmów Munka i opowiadań Stawińskiego.

Przylepiając łatki ludziom opozycji, nie byłby autor *Komplek-*

4. Tadeusz Konwicki, *Nowy Świat i okolice*, „Czytelnik”, Warszawa 1986.

su polskiego sobą, gdyby nie zakpił sobie również, i przede wszystkim, z władzy. Kpiną z niej jest już sam pomysł książki, który tak wyjaśnia na wstępie: „Teraz wracam znnowu w jarzmo. Z własnej woli poddaję się miłosnemu uściskowi tego szlachetnego urzędu, co rezyduje w Warszawie przy ulicy Mysiej (autor ma na myśli urząd cenzury — przyp. mój, M.R.). Oto już jestem bezpieczny. Oto za moim piórem wodzi czujnym okiem mój nieznan opiekun, mój intelektualny ojciec, mój duchowy przewodnik. Jak mi błogo i bezpiecznie. Wreszcie”.

Nie wiem, czy cenzor przymknął drugie oko i dał się nabrać sympatycznemu autorowi, czy też wydanie tej książki ma stanowić dowód postępującej od końca września 1986 liberalizacji kultury. Ale czy stanie się *Nowy Świat* precedensem w ruchu wydawniczym, za wcześniej wyrokować.

Konwicki nie ucieka przed sobą do literatury, przeciwnie — w literaturze ucieka do siebie, czyniąc swoją osobę faktem literatury, podobnie jak Kuśniewicz czy Rudnicki, którzy interesują się sobą również w aspekcie eschatologicznym. Eschatologia, pozbawiona właściwie metafizyki, nieobca jest też autorowi *Nowego Świata*, który, jak zwykle żartobliwie, ale w tym żarcie ukryty jest lęk przed coraz bliższą perspektywą drugiego brzegu Styksu, kończy swą zabawną i gorzką, kpiarską i smutną książkę tymi słowy: „Do widzenia robaczki. Do widzenia na tamtym świecie”.

2. „...ocalić przed nicością”

Można by rzec w pewnym sensie paradoksalnie, że proza omówionych wyżej pisarzy jest bardziej liryczna niż liryka Symborskiej, w której faktem staje się często *inny* człowiek, zagubiony wśród chaosu rzeczy i pojęć „robaczek”.

Autorka *Ludzi na moście* należy do bardzo nielicznych twórców polskiej literatury współczesnej, o których krytyka pisze w samych superlatywach, jednogłośnie uważając ją za najwybitniejszą obecnie naszą poetkę. Nie ma w tych sądach żadnej przesady. Na czym więc polega fenomen poezji wybitnej artystki słowa, że trafia ona do wszystkich krytyków i zapewne do wielu czytelników, nieprofesjonalnych, bez względu na ich przekonania artystyczne, polityczne, filozoficzne itd.? Niebywała jest wrażliwość poetki na sprawy życia szarego człowieka, bliskie osobistym doświadczeniom wielu z nas, i niebywała umiejętność nadawania tym sprawom walorów poetyckich.

„...Wielkie uogólnienie — konkluduje Jerzy Kwiatkowski, prawdziwy znawca poezji — zostaje przybliżone czytelnikowi przez język dnia codziennego i oswojone przez humor; psychologiczny konkretnie — podpatrzony tak wnikliwie i skonstruowany tak kunsztownie, że staje się rewelacją prawdy o ludzkiej psychice”.

Symborska przechodzi najczęściej od konkretnego opisu do własnej parafrazy jakiejś formuły filozoficznej. Z tego powodu

odczytywano jej poezję posługując się różnymi kluczami filozoficznymi, naginając często te interpretacje do aktualnie panującej mody. Był nią kiedyś marksizm, był egzystencjalizm, dość bliski filozoficznej aurze jej wierszy, ale poezja Szymborskiej wyłamuje się z wszelkich filozoficznych schematów, bo źródłem jej jest filozofia życia samej poetyki. Filozofia oparta na sceptycyzmie poznawczym, na pokorze w stosunku do „wszechobecnego” świata, na eschatologii przenikniętej głęboką wiarą w moc życia. W wierszu *O śmierci bez przesady* zauważa:

*Kto twierdzi, że jest wszechmocna,
sam jest żywym dowodem,
że wszechmocna nie jest.*

Dla poetki istnieje zawsze tylko początek, zjawiska lub wydarzenia, nie ma końca, czas płynie i my płyniemy z prądem czasu, zatrzymując na ułamki chwil swoje szczęście:

*Są tacy, którym i to nie wystarcza.
Słyszą nawet szum deszczu,
czują chłód kropel na karkach i plecach,
patrzą na most i ludzi,
jakby widzieli tam siebie,
w tym samym biegu nigdy nie dobiegającym
drogą bez końca, wiecznie do odbycia...*

Doskonały jest wiersz Szymborskiej o pornografii, pełen finezyjnego i perswersyjnego, ale bez kokietowania aluzykami, humoru, oparty na pomysłach, którego nie zrozumieli na szczęście cenzorzy:

*Nie ma rozpusty gorszej niż myślenie.
(...)
Zgroza, w jakich pozycjach,
z jak wyuzdaną prostotą
umysłowi udaje się zapłodnić umysł!
Nie zna takich pozycji nawet Kamasutra.
W czasie tych schadzek parzy się ledwie herbata.
Ludzie siedzą na krzesłach, poruszają ustami.
Nogę na nogę każdy sam sobie zaktadır.
Jedna stopa w ten sposób dotyka podłogi,
druga swobodnie kiwa się w powietrzu.
Czasem tylko ktoś wstanie,
zbliży się do okna
i przez szparę w firankach
podgląda ulicę.*

Analizować można by właściwie każdy utwór z osobna, każdym się zachwycać, uprawia bowiem Szymborska sztukę wiersza, który jest dziełem sam w sobie. Dlatego — wbrew pozorom — trudno jest pisać o poezji Szymborskiej nie entuzjazmując się poszczególnymi wierszami lub też nie popada-

jąc w pusto brzmiące formuły filozoficzne i artystyczne. Dlatego tak mało jest rzetelnie napisanych szkiców i studiów o poezji Szymborskiej. Ostatnio na uwagę zasługuje szkic Konstantego Pieńkosza w *Literaturze* (1986, nr 3). Krytyk poszukuje wiecznie bijących źródeł jej poezji jeszcze w najwcześniejszym okresie twórczości, przed latami pięćdziesiątymi.

To, że każdy wiersz Wisławy Szymborskiej potrafi być dla czytelnika przeżyciem nie tylko estetycznym, wynika z faktu, że jest to poezja wiecznie żywa, zwrócona ku światu człowieka i natury, podobnie jak jej wiecznie młoda duchem autorka.

„Szturchnął delikatnie patyczkiem. Za drugim razem jakby prąd przeszył mu rękę, bo coś tam ustąpiło miętko. Odrzucił patyk, którego koniec umazany był białawą mazią. On pewnie ma katar i splunął tak gęsto — wytłumaczył sobie. Ale z otworu wciąż jeszcze wystawał skraweczek skrzydła. Wziął płaski kamyczek i przykrył. Teraz nie będzie na niego padać. Jak deszcz przejdzie, to mu otworzę”.

Cytat pochodzi z utworu Jana Józefa Szczepańskiego *Motyl*, otwierającego tom opowiadań, którego pierwsze wydanie ukazało się w roku 1967, a obecnie „Czytelnik” wznowił tę świetną prozę⁵ krakowskiego pisarza, prezesa rozwiązanego przez władzę w roku 1982 ZLP. Nie jest to zwykły wybór opowiadań, jak czytamy w podtytule, lecz tom prozy skomponowany starannie, z wyeksponowaną myślą przewodnią. Zamyka go opowiadanie tytułowe, w którym odnajdujemy taki oto, w pewnym sensie analogiczny do zacytowanego fragmentu monolog wewnętrzny w mowie pozornie zależnej starszego o lat osiemnaście bohatera:

„Czas przyszedł — szeptał w nim jakiś głos. (...) Jeżeli dostanę odroczenie, nie wolno mi o tym zapomnieć — obiecywał sobie solennie i w najgłębszym milczeniu czuwał nad tlejącym w piersi płomieniem nowej, nieznanej odwagi”.

Bohaterów obydwu opowiadań dzielą nie tylko lata wyznaczone wiekiem biologicznym, dzielą ich te wszystkie doświadczenia, które stały się tematem reszty opowiadań w tomie. Doświadczenia przede wszystkim egzystencjalne, występujące jednak w specyficznych warunkach, jakie stwarza sytuacja walki z okupantem. Autor na ogół nie zmienia nawet swemu bohaterowi imienia. Michał, który pierwszy próg dojrzałości życiowej przekroczył instynktownie, gdy niechcący stał się przyczyną śmierci pięknego motyla, w tempie narzuconym przez nienormalny, okrutny czas wojny przekraczał potem kolejne progi.

Podstawowe dla bohaterów okazuje się doświadczenie śmierci, jako zaskakująca i podniecająca psychikę tajemnica bytu. Ale nie podniecająca w taki sposób, w jaki doświadcza jej wyrafinowany esteta w *Lekcji martwego języka* Kuśniewicza. Pisarz

5. Jan Józef Szczepański, *Za przełęczą*, wybór opowiadań, „Czytelnik”, Warszawa 1986.

nie przekracza granicy opisywanych faktów, stroni od komentarza, podobnie jak Borowski w opowiadaniach obozowych. W surowej i oszczędnej w literackie efekty prozie Szczepańskiego legenda romantyczna, kultywowana jeszcze podczas okupacji w dworach ziemiańskich, legenda wyidealizowanego rycerza, przełamuje się w pryzmacie rzeczywistości i rozspyna się doszczętnie. Życie w konspiracji i w partyzantce pozbawione jest nawet smaku przygody, mimo że wybierało się je z nadzieją na „ożywczy oddech”. To pozwalało trwać i współżyć, to pozwalało godzić się na śmierć”. Przedstawia on świat twardych decyzji i smutnych konieczności. Bohaterowie, tak jak bohaterowie powieści Władysława Terleckiego, poświęconych Powstaniu Styczniowemu, wydają się znużeni, ale nie porzucają życia, które wybrali — trochę świadomie, trochę instynktownie — w przekonaniu, że inaczej żyć nie można. Oto jeszcze jeden monolog wewnętrzny Michała, starszego od chłopca przejętego śmiercią motyla o wojenne doświadczenia:

„Jest tak, jakby przyszłość usunęła się sprzed nóg. Nie ma już na czym postawić następnego kroku. A jednak trzeba iść dalej. Nie myśląc o tym, wie, że musi jeszcze zrobić szereg rzeczy, które wydają mu się smutnymi, pozbawionymi sensu widmami uczynków”.

Twarde muszą być decyzje, bo twarda, okrutnie prozaiczna bywa rzeczywistość. Czasem więc żądzą porządknych, skórzanych butów staje się naczelnym motywem zachowania człowieka. W najbardziej wstrząsającym opowiadaniu *Buty* (napisanym jeszcze w latach czterdziestych) problemem dla partyzantów okazuje się nie konieczność zlikwidowania grupy własowców, którzy się dobrowolnie poddali, lecz rozdział butów i ubrania po jeńcach.

Jednak nawet w takim ponurym świecie życie ma intensywną barwę, posiadać może bezcenną wartość:

„Trudno było uwierzyć, że wkrótce ta chwila stanie się przeszłością, a nawet przepadnie na zawsze, jakby nigdy nie istniała. Nagle ogarnęło go pragnienie zatrzymania jej. Akurat tej, przypadkowo wybranej spośród tysięcy. (...) Ta chwila księżycowej nocy trwała przed jego oczyma jak upozorowana wieczność. Trwała przecież nie tylko dla niego. Czy nikt jej nie dostrzegał? Czy on sam miał ją ocalić przed nicością?”.

Smak życia zwany szczęściem można docenić dopiero na granicy śmierci, w momencie największego zagrożenia. Mimo wszechogarniającej świat prozy Szczepańskiego śmierci dopiero w opowiadaniu tytułowym bohater styka się z nią w sposób bezpośrednio mu zagrażający, gdy walka przestała być zabawą i stała się „walką na śmierć i życie”. Jest to przeżycie najmocniejsze i pozostawiające w psychice człowieka ślad najtrwalszy.

Proza Kornela Filipowicza, mistrza małych form, jest równie

surowa i oszczędna. Ostatnio ukazał się wybór opowiadań⁶, który sprawia wrażenie, że Wydawnictwo Literackie zamierza wznowić jakiś cykl jego utworów w układzie tematycznym, chociaż nie zostało to niestety nigdzie w obecnie wydanym tomie zaznaczone. Zawiera on opowiadania z kilku tomów, począwszy od jednej z najwcześniejszych jego książek, *Profile moich przyjaciół* (1955), aż po wydany w 1980 *Miedzy snem a snem*.

Filipowicz — jak zauważył przed laty Michał Sprusiński — „pisze o ludzkiej zwyczajności”, cierpliwie i konsekwentnie odgruzowuje banalną rzeczywistość, poszukując w niej tych wartości, które stanowią o człowieczeństwie. Z wszystkich omawianych tu pisarzy najdalszy jest od patosu, obce mu są wyższe tony emocji. Powierzchniowy czytelnik mógłby nawet posądzić Filipowicza o oziębłość uczuciową i może stąd właśnie wynika ów podkreślany przez krytykę fakt małej poczytności jego utworów. Myślę jednak, że jest w twierdzeniu tym dużo przesady — w każdym razie trudno byłoby uznać obecnie Filipowicza za pisarza mało popularnego, a nakłady jego książek są celowo zaniżane ze względu na postawę polityczną i moralną autora.

Interesuje go to, co powinno interesować rasowego prozaika: człowiek, jego natura i jego sytuacja w świecie, jego miejsce we współczesnej rzeczywistości i czas, w którym przeżywa swoje troski i radości. Tytuł tomu — *Miejsce i chwila* — jest celny i adekwatny zarówno do twórczości Filipowicza w ogóle, jak i do zebranych w tomie opowiadań, w których dominuje temat współczesny. Zamknął tu pisarz trzydziści parę lat rzeczywistości kraju, w którym życie jest „dzikie i niespokojne” i w którym „mała stabilizacja” przeraża beznadziejnością. Świat w książce Szczepańskiego był ponury i rządził się bezwzględnyymi prawami, świat w opowiadaniach Filipowicza jest po prostu szary, bowiem sarość jest dominującym kolorem tego kraju. W jego prozie, podobnie jak we współczesnym polskim malarstwie i grafice, pojawiają się ludzie z twarzami napiętowanymi brzydota dnia codziennego. Charakterystyczne pod tym względem jest opowiadanie *Niedzielną wycieczką, czyli o prostocie serca*:

„O pierwszej Halina jadła, czyli, mówiąc językiem sprawozdań kwartalnych, spożywała posiłek regeneracyjny, przeważnie grochówkę lub ziemniaczankę, przywożoną z centrali w wielkim, niebieskim termosie. Pięć przed trzecią chowała swoje papiery i zamykała szufladę na klucz, o trzeciej wychodziła z biura i wracała tramwajem do miasta. W pokoju wynajętym (...) piła herbatę i jadła dwie bułki z pasztetówką lub mortadellą. Potem robiła małe pranie w łazience obwieszanej bielizną gospodarzy, poprawiała włosy i jechała tramwajem na drugi koniec miasta, na trzy godziny zajęć w Wyższej Szkole Ekonomicznej”. Itd.

Tak się to opowiadanie zaczyna. Przerażająca monotonia życia

6. Kornel Filipowicz, *Miejsce i chwila*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1985.

Haliny z punktu widzenia praktyki życia społecznego nie jest w naszym kraju czymś wyjątkowym, zresztą nie tylko w naszym, stanowi raczej normę życia współczesnego człowieka, choć różne bywają sposoby urozmaicenia szarej monotonii. Bohaterka Filipowicza próbuje urozmaicić sobie życie na miarę możliwości przeciętnego obywatela PRL. Wybiera się na wycieczkę, a właściwie niedzielny wyjazd za miasto organizowany przez koło PTTK. Halina nie ma znajomych, nie ma bowiem czasu na zawieranie znajomości i nie bardzo potrafi. Na wycieczce też jest właściwie osamotniona, niewiele więc zmienia się w jej życiu. A jednak... Jednak bohaterka Filipowicza potrafiła siłą woli wyrwać się z ogłupiającego kierunku codzienności, przerwać ogniwo w łańcuchu monotonii:

„Rozumiała teraz lepiej ludzi i ludzie ją zaczęli rozumieć. Powstawały jakieś nowe, interesujące związki między słowami, myślami, rzeczami. To, z czego złożony jest cały świat i życie Haliny, aż do najdrobniejszych szczegółów, cała ta wielka konstrukcja poruszyła się i rozluźniła — i wszystko zaczęło się na nowo układać, znacznie dla Haliny pomyślniej i weselej”.

Przed laty, w dwudziestoleciu międzywojennym, Helena Boguszeńska wydała powieść pt. *Całe życie Sabiny*. To i inne opowiadania Filipowicza utrzymane są w podobnej tonacji, ale bez sentymentalizmu. Ogromne wyczulenie na szczegóły, umiejętność dostrzegania i opisanie detalu, wrażliwość na ludzkie cierpienie, objawiające się nieraz w formie nawet śmiesznej, wręcz groteskowej, zrozumienie dla niedoskonałości ludzkiej natury — nadaje prozie Filipowicza szczególny walor etyczny.

Proza Szczepańskiego i Filipowicza nie jest awangardowa. Silnie zakorzeniona w tradycji literatury realistycznej, jest tym sposobem artystycznej artykulacji, który zawsze będzie miał rację bytu.

W jednym z opowiadań o charakterze autobiograficznym Filipowicz zwierza się:

Jestem już stary (...) i czasem ogarnia mnie żal, a nawet rozpacz, że zmarnowałem w życiu zbyt wiele czasu. Jedną czwartą, a kto wie, czy nie większą część mojego życia straciłem na chodzeniu po lasach i nad brzegami rzek i jezior. (...) Na ślęczeniu dniami i nocami nad wodą. Na patrzeniu godzinami w krajobraz doprawdy tak, jakbym nie wiedział, co to jest drzewo, kamień, trawa, woda i musiał bez końca się zastanawiać, czym się te rzeczy od siebie różnią i jak się do siebie nawzajem mają!”.

Jest to wyznanie przekorne, bo właśnie ten sposób spędzania czasu uważa pisarz za godziwy, zgodny z prawem natury, i daje temu wyraz w swej twórczości. Chociaż nie traktuje go jako jedynie możliwego sposobu na życie.

Blżej polityki sytuuje się świat przedstawiony w utworach Kazimierza Traciewicza, szczególnie w najnowszej jego powieści,

zatytułowanej *Meandry*⁷, dobrze przyjętej przez krytykę niereżimową. Pisano m.in.:

„*Meandry* nie mają ambicji interpretowania zjawisk politycznych i społecznych, mówią raczej o skutkach zła niż jego przyczynach. Traciewicz ukazuje świat upadły, kierujący się spreparowaną na własny użytek hierarchią uznawanych wartości, celów i środków, jakie służą ich osiągnięciu. Ujawnia pełną pasję grę o interes jednostkowy, zdegradowaną, porażoną kondycję uwikłaną w polityczne presje inteligenta”.

Powieść Traciewicza to jakby inna nieco, bardziej upolityczniona w ukazywaniu motywacji zachowań wersja tego samego świata, który obserwujemy w opowiadaniach Filipowicza. Świata szarej codzienności, w którym bohater, wykreowany na typowego karierowicza w wydaniu komunistycznym, płynie bojaźliwie z prądem czasu, ulegając systemowi politycznemu i tłumiąc w sobie ludzkie odruchy. Nie jest on jednak kreacją satyryczną, Traciewicz zachowuje konwencję prozy realistycznej. Widoczny w tej powieści krytycyzm autora dotyka raczej systemu niż człowieka, którego podstawową winą było tylko pragnienie przystosowania się do mechanizmu rządzącego rzeczywistością, wynikające m.in. z obawy przed represjami. Nosi on popularne w Polsce nazwisko, postać jego skrojona bowiem została na miarę przeciętnego obywatela PRL-u. Gdyby napisał Traciewicz swoją książkę teraz, to prawdopodobnie albo losy bohatera byłyby inne, albo też konwencja literacka bliższa grotesce. *Meandry* ukończył pisarz w roku 1972, ale ukazały się dopiero w roku 1984, tylko dzięki krótkiemu okresowi pewnego luzu w polityce wydawniczej. Z początku lat siedemdziesiątych społeczeństwo nasze wchodziło w okres gierkowskiej stabilizacji ekonomicznej, żywa jednak była jeszcze wtedy pamięć niedawnych wydarzeń grudniowych i marcowych. Ludzie, udręczeni bezwzględnością polityką partii, woleli już z dwojga złego kolor szary od czerwonego. W takiej właśnie atmosferze powstała powieść Traciewicza o szarym obywatelu naszego kraju. Jego wiedzę o świecie i umiejętność życia przerósł system polityczny, oparty na kłamliwej, faryzejskiej propagandzie. Bohater Traciewicza jest typowym jej wytworem. Ale, jak już wspominałem, na masce karierowicza pojawiają się stopniowo ludzkie rysy, chociaż jeszcze bardzo niewyraźne, ledwo się zaznaczające. Najszlachetniejszym gestem, na jaki się Kowalski zdobył, było oddanie dziewczynie pieniędzy, które otrzymał za załatwienie przyjęcia na studia. Gest ten uskrzydlił jego świadomość:

„Pędził przed siebie, a całe miasto (...) wirowało mu przed oczami w jakimś radosnym tańcu, którego rytm przepełniał serce Szczepana dawno nie doznany ucuciem radości i swobody”.

7. Kazimierz Traciewicz, *Meandry*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984.

Tak ludzie zdejmują z twarzy maski, w ten sposób następują moralne przemiany. Pisarz pozostawił sprawę otwartą. Czas, w którym ukończył swą powieść, rodził pewne nadzieje, ale niósł też niepokój o przyszłość społeczeństwa.

3. „...nie stracić życia nigdy”

*Paulo Apostolo Mart.*⁸ jest powieścią dość niezwykłą w literaturze krajowej i zupełnie wyjątkową w twórczości Józefa Łozińskiego, o którym Henryk Bereza, krytyk lansujący niezmordowanie młodych prozaików, dokonujących, jego zdaniem, rewolucji artystycznej, pisał z zachwytem, że „uwewnętrzniona polszczyzna intelektualna jest u niego żywiołem tak dzikim, jak musiała być u Mikołaja Reja, czyli wtedy, kiedy zaczynała się rodzić. Nie uciekając się do uświęconych tradycją reguł panowania nad językiem, Łoziński włada nim pisarsko z imponującą swobodą. Zdania jego narracji, jakkolwiek i czymkolwiek szokują, są precyzyjne i ścisłe, są prawomocną literacko konstrukcją tej postaci mowy wewnętrznej, którą kształtują rozum i świadomość”.

Rzadko podzielałam zdanie Berezy, w tym jednak wypadku ma on trochę racji. Łoziński ma wielki talent prozatorski, ale nie zawsze niestety robi z niego dobry użytek. Wspomniałem już o paszkwili na „Solidarność” jego pióra, któremu w przeciwieństwie do *Roku w trumnie* grafomana Bratnego nie można odmówić walorów artystycznych. Najdziwniejsze, że paszkwil został napisany tuż po świetnej literacko i głębokiej myślowo powieści o nawróceniu św. Pawła. Być może mamy tu do czynienia z ciekawym psychologicznie — ale moralnie podejrzanym — zjawiskiem schizofrenii twórczej — te dwie bowiem książki zostały napisane jakby przez dwóch różnych autorów. Mimo to *Sceny myśliwskie z Dolnego Śląska* rzucają cień na utwór, który otwierają dwa, adekwatne do jego treści, cytaty o filozoficznym charakterze, z Oscara Miłosza oraz z Simone Weil. Nie żyjemy przecież w fantastycznej krainie i w związku z tym nie ma czynów ani dzieł, za które odpowiedzialność byłaby nam odjęta. Wysoko ceniąc *Paula Apostola Mart.*, nie można jednocześnie zapomnieć Łozińskiemu książki niesmacznej, zdecydowanie szkodliwej i w jego dorobku twórczym niezrozumiałej, nie mówiąc już o postępowaniu autora, który jako jeden z pierwszych zapisał się do nowego, reżimowego Związku Literatów. Będzie ta książka czarną plamą w biografii twórczej autora *Chłopaćkiej wysokości*, podobnie, a nawet w większym stopniu, jak w przypadku dzieł socrealistycznych, które popełnili kiedyś jego starsi koledzy po piórze.

W powieści o św. Pawle Łoziński ujął swoją pasję słowotwórczą w karby kunsztownej językowo stylizacji biblijnej, którą stosuje jednak bez przesady i nie bez literackiego polotu. Opierając się głównie na Nowym Testamencie, a w szczególności na listach św. Pawła oraz Ewangelii św. Łukasza, opowiedział —

8. Józef Łoziński, *Paulo Apostolo Mart.*, „Czytelnik”, Warszawa 1986.

posługując się przemienną narracją — dzieje nawróconego grzesznika i fanatycznego prześladowcy chrześcijan. Jest to powieść wielopłaszczyznowa, wielowątkowa i wieloproblemowa. Główny jednak jej wątek myślowy stanowi problem zderzenia dwóch idei: idei zrodzonej z nienawiści i idei, która powstała z miłości.

Szaweł odznaczał się wyjątkowo trudnym charakterem, był z natury popędliwy i wybuchowy, ludźmi pogardzał z wyżyn swego intelektu, był typowym samotnikiem i egocentrykiem. I oto pod wpływem wstrząsu moralnego, jakiego doznał, gdy ukazał mu się i przemówił do niego Ten, którego wyznawców prześladował, Jezus Chrystus, toczy do końca dni swoich walkę z sobą samym, walkę, której celem było „podniesienie osoby drugiego człowieka wyżej własnego cierpienia, wyżej każdej złej przypadłości nie plewionej w zbrodniczym sercu”. Było to więc budowanie siebie, swego stosunku do świata i ludzi, od podstaw. Porzucenie nienawiści i fanatyzmu dla miłości i tolerancji wymagało wielkiego wysiłku psychicznego, wymagało hartu ducha, wiązało się bowiem z ryzykiem prześladowania i męczeństwa.

Jest to problem uniwersalny, który można odczytywać w kontekście spraw polskiej współczesności. Trudno przypuścić, by wybierając taki właśnie temat dla powieści pisanej w latach 1982-1983 nie myślał autor o analogiach do współczesności. Chciał trzeba zaznaczyć, że nie są one eksponowane w sposób natrętny i uproszczony. To zresztą tylko jeden ze sposobów interpretacji utworu, bogatego w treści i sensy. Można więc odczytać powieść jako pean na cześć irracjonalnej nadziei na zwycięstwo Dobra nad Złem, nadziei opartej na niezłomności własnej postawy życiowej i postawy bliskich towarzyszy. Szaweł nie był już na końcu swej drogi do męczeńskiej śmierci osamotniony. Pomagało mu znosić cierpienie i prześladowanie poczucie solidarności w niezłomności. Męczeńska śmierć Szawła, któremu na chrzcie nadano imię Pawła i który został jednym z Apostołów, głoszących chwałę Pana, z historycznego punktu widzenia okazała się śmiercią zwycięską.

„Był z tobą On, książę pokoju, nie zostawił ciebie na pastwę zbrodniczych niewolników Samaela, nie oddał się temu wiecznemu niezakończeniu, w triumfie i chwale wybiegł ci na spotkanie tak wielce upragnione, był twoim życiem w całym tym krótkim życiu, a w śmierci zyskiem, był zbawieniem Objawienia i niewiednąć możnością świata żywego. Nie, nie, nie można cierpień teraźniejszości stawiać na równi z chwałą Jego królestwa, nie można nie słyszeć w płaczu Greczyna, Tymoteusza, Arystarcha i Stychusa nieprzemijającego śpiewu, że są smutni, lecz będą zawsze radośni, że są umierający, lecz będą zawsze żyjący!”.

Tak kończy się wzruszająca opowieść o człowieku, który mimo swych wad, mimo wielu słabości, a dzięki sile ducha i dzięki temu, że — jak czytamy w motcie z Simone Weil — oparł „swoje życie na samym Bogu” został świętym, czyli „nie stracił życia nigdy”.

Mikołaj RUSZKOWSKI

«Ja jestem drobiazgowym realistą...»

Jeszcze niedawno mieliśmy w polskiej literaturze tylko *Rozmowy z Gombrowiczem* i *Rozmowy z katem*. Od paru lat nie ma w niej prawie nic innego jak raporty, notatki, dzienniki i rozmowy. Z rozmów Miłosza z Aleksandrem Watem zrodził się *Mój wiek*, dwutomowe, pod wieloma względami unikalne dzieło. Potem Jacek Trznadel rozmawiał z Olą Watową, z czego powstała książka pt. *Wszystko co najważniejsze...*, piękne dopełnienie *Mojego wieku* i jedno z najbardziej wzruszających świadectw małżeńskiej miłości. Następnie Torańska rozmawiała z partyjną „wierchuszką” okresu stalinowskiego i z rozmów powstał *Oni*. I znów Jacek Trznadel odbył rozmowy z pisarzami, z których najstarszy jest Strykowski, a najmłodszy Jarosław Marek Rymkiewicz, i otrzymaliśmy *Hańbę domową*. Ostatnio Stanisław Nowicki przeprowadził tasiecowy wywiad z Tadeuszem Konwickim i tak powstało *Pół wieku czyści*¹.

Jest jasne, z jakich przyczyn powstały te rozmowy: z potrzeby świadectwa, dokumentu z tych najsmutniejszych — przynajmniej do grudnia 1981 roku — lat w życiu polskiego społeczeństwa i polskiej literatury. Chodzi w nich głównie o zrozumienie, dlaczego tak ogromna część starszych i młodszych intelektualistów przystała do komunizmu. Ale przyczyna może być także inna: brak literatury pięknej na ten temat, brak prozy tego typu, którą dał światu Milan Kundera; świadectwa i zarazem powieści. Na dobrą sprawę uprawia ją z Polaków tylko bohater ostatniej rozmowy, Konwicki. O tamtych latach Herbert powiada w *Hańbie domowej*: „Władza potrzebowała legitymizacji i legitymizacja wyszła od strony inteligencji tak zwanej twórczej, przede wszystkim literatów”. Postulat Herberta, moralne i praktyczne przesłanie, zawiera się w samym tytule jego wypowiedzi: „Wypluć z siebie wszystko...”; dokonać tego straszliwego, terapeutycznego zabiegu, który polega na tym, aby w pocie i w mękach dotrzeć do źródeł własnej, tamtejszej motywacji. Ostrzec własnym ciałem, własnym wstydem przed kolejną pułapką.

Viktor Frankl, uczeń Freuda, więzień Oświęcimia i twórca logoterapii (Miłosz w jednym z swoich esejów wspomina, że jego metodą nauczał w Berkeley literatury) opowiada, że kiedyś odwiedził go w jego wiedeńskiej klinice amerykański lekarz i zapytał, czy Frankl mógłby jednym zdaniem określić różnicę między logoterapią a psychoanalizą. Frankl spytał go, czy on sam

1. Stanisław Nowicki, *Pół wieku czyści*: rozmowy z Tadeuszem Konwickim, *Aneks*, Londyn 1986, str. 246.

potrafiłby jednym zdaniem powiedzieć, na czym polega zasada leczenia psychoanalizą. Amerykanin odpowiedział: „Podczas seansu psychoanalitycznego pacjent leży na kanapie i opowiada o sprawach, o których często bardzo przykro jest mu opowiadać”. Na to Frankl: „Logoterapia polega na tym, że pacjent siedzi na krześle i *wysłuchuje* rzeczy, które często bardzo przykro jest *słyszeć*”.

To właśnie — choć metody w końcu okazują się zawsze mieszane — stanowi różnicę między *Hańbą domową* Trznadla, a wywiadem, który Nowicki przeprowadził z Konwickim. Nowicki jest bardziej logoterapeutyczny, Trznadel bardziej psychoanalityczny. Nowicki zamyka swojego pacjenta, wyciska z niego ostatnią kroplę potu.

Jaka jest ta książka i czego dowiadujemy się z niej o Konwickim? Przede wszystkim za długa, zupełnie niepotrzebnie uzupełniona materiałami z filmu Andrzeja Titkova pt. *Przechodzień*, którego główną tkanką — jak powiada Nowicki we wstępie — jest właśnie rozmowa z Konwickim. W tym samym wstępie Nowicki pisze: „Książka pełna jest tematycznych nawrotów, retardacji, problemowych przeskoków, dygresji, a przede wszystkim — co łatwo dostrzegalne — niezliczonych sprzeczności pozornych oraz rzeczywistych”. Co, niestety, jest prawdą. Można było książkę z tych powtórzeń z powodzeniem oczyścić, sprzeczności i tak by pozostały, a dzieło byłoby krótsze, bardziej nasycone treścią. Mnie osobiście przeszkadzał jeszcze w lekturze znany czytelnikom książek Konwickiego kot Iwan, który gwoździ nadania wywiadowi fizycznej autentyczności mruczy, wskakuje na kolana, domaga się jedzenia. A także, zanotowane w kwadratowych nawiasach, reakcje uczuciowe respondenta i pytającego, co nieodmiennie przypominało mi *burnyje ałłodismienty* z drukowanych tekstów przemówień i posiedzeń KC KPZS. Może poza dwoma wypadkami, kiedy ich funkcja wydała mi się istotna. W pierwszym Konwicki opowiada, dlaczego wybrał pisanie dla obiegu pozacenzuralnego, wydawanie w wydawnictwach podziemnych: „Mój honor nie pozwala na to, by wymuszano na mnie taką literaturę, jaka jest z koniunkturalnych względów potrzebna. [nagle wybucha] Co to ma znaczyć, żeby jakiś typ brudnym palcem dłużył w mojej książce, wycinając z niej słowa, zdania i całe strony?! Nikt mi nie będzie grzebał w głowie brudną łyżką czy widelcem!! W tym momencie nie mogę się już oglądać na konsekwencje, aczkolwiek momentami rzeczywiście ogarnia mnie melancholia, że już tyle lat jestem oddzielony od czytelnika”. I w drugim wypadku, kiedy pisarz dowodzi, iż nie ma różnicy między rosyjskim a sowieckim imperializmem: „Rosyjska emigracja na Zachodzie zwariowała! Oni głoszą jawnie i bezwstydnie wielkorosyjski szowinizm! Zachwycają się Związkiem Radzieckim i chcą do niego powrócić. Chcą, aby stał się państwem nowoczesnym i sprawnym! [krzyczy] Nowym typem państwa imperialnego!!”.

„Rozmowy” powstały wiosną i latem 1984 roku. Podzielone są

na dziewięć rozdziałów, z których najbardziej interesujące wydała mi się trzy pierwsze — *Dolina*, *Wileńska wojna*, *Nowe życie* — i przedostatni, z trafnym tytułem *Buchalteria niezależności*. Czytelnik Konwickiego zna ich problematykę z jego własnych książek: nieustannie przewijający się temat Wileńszczyzny, odczynny dzieciństwa i młodości, temat okupacyjny, przynależność do Armii Krajowej, powstanie na Wileńszczyźnie (historię, którą z oporami, ale bardzo pięknie Konwicki opisał na życzenie Adama Michnika we *Wschodach i zachodach księżycy*). Wreszcie problematyka zdrady akowskiej przeszłości, opcja na rzecz komunizmu, socrealistyczne książki w rodzaju *Władzy* i *Na budowie*. Konwicki broni się zażarcie przed oskarżeniami Nowickiego, który — i to mam mu za dobre w tej książce — potrafi być niezwykle namolny i ostry. Powołuje się to na klęskę własnego pokolenia, to na własną młodość, wreszcie na krótkość całego tego okresu. Co mnie osobiście zdumiewa zarówno u Konwickiego jak u Nowickiego, to fakt, że obydwa jakby zapomnieli o tym fragmencie ze *Wschodów i zachodów księżycy*, w którym pisarz oskarżył się i zarazem obronił najgodniej jak to w ogóle jest możliwe. W sposób znacznie godniejszy niż tutaj, gdzie powołuje się na Miłosza i jego paroletnią pracę dla reżymu. (Zainteresowanych związkami bardziej subtelnymi, a zarazem bardziej konkretnymi odsyłam do rozdziału *Intermezzo z Rodzinnej Europy* Miłosza i do rozmowy Trznadla z Janem Józefem Szczepańskim w *Hańbie domowej*. Miłosz i Szczepański opisują tam ten sam epizod: spotkanie pod koniec wojny w jednym z polskich domów, gdzie akowcy spędzali urlop). Otóż we wspomnianym powyżej fragmencie *Wschodów i zachodów księżycy* pisarz tak opowiada o swoim spotkaniu z Kazimierzem Moczarskim: „Siedzi przede mną jeden z owych dowódców akowskich, jeden z tych ludzi, przeciwko któremu w czterdziestym piątym roku kierowałem swój szczeniacki gniew przegranego pokolenia, zbuntowanej generacji, co przekleża swoich ojców i swoich dowódców. Potem ja obrastałem w piórka, a jego obdzierano z piór. Później ja walczyłem z nadwagą, a on walczył z nadciągającą śmiercią. Następnie ja... następnie on... Nie, nie, w końcu on zwyciężył, na pewno zwyciężył, choć przegrał, choć dużą część swego życia stracił. (...) Czytałem już fragmenty jego książki. To był mój brat, literat polski. Lepszy ode mnie o charakter, czcigodniejszy o biografię”. Zacytowałam ten fragment między innymi dlatego, iż w końcu w tych bardzo długich i obydwa strony wyczerpujących rozmowach czytelnik Konwickiego nie znajdzie nic innego, niż to, co może wyczytać w jego własnych książkach.

W swojej komunistycznej młodości Konwicki popełnił parę powieści, które — wbrew twierdzeniu Nowickiego — nie były odbierane jako typowe dzieła realizmu socjalistycznego i nigdy, w przeciwieństwie do *Obywateli* Brandysa, *Popiołu i diamentu* Andrzeja Wajdy i klasyków literatury sowieckiej nie należały do kanonu lektur szkolnych. Moją pamięć z tamtego okresu popiera wywiad Trznadla z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem — rocznik 1935, o cztery lata starszy ode mnie i znacznie chyba star-

szy od Nowickiego — który także nie wymienia Konwickiego jako typowego autora okresu.

Dla mnie Konwicki jako pisarz zaczął się od małej, „odwilżowej” powieści z roku 1954, zatytułowanej „Trudna miłość”, którą nieoceniony *Przekrój* skomentował wtedy następująco: „Wyobraź sobie czytelniku, że leżysz na sianie z miłą i ładną dziewczyną i przez jej gładką, jedwabną bluzkę wyczuwasz obcość klasową”. Potem przyszedł *Ostatni dzień lata*, co do którego Konwicki ma zupełną rację, twierdząc w rozmowach z Nowickim, iż był to film prekursorski na światową skalę. Potem, na krótko przed moim wyjazdem z Polski, *Wniebowstąpienie*, najlepsza książka na temat surrealistyczności socjalistycznego systemu. Nie zapamiętałam nic z *Kalendarza i klepsydry*, *Zwierzoczekoupiora*, *Kroniki wypadków miłosnych*, choć pamiętam, że ich lektura sprawiła mi przyjemność. Dla mnie, po *Wniebowstąpieniu*, Konwicki zaczął się znowu jako pisarz wydając *Kompleks polski*, *Małą apokalipsę*, *Wschody i zachody księżycy*. Wreszcie *Podziemną rzekę — podziemne ptaki*, może mniej udaną od poprzednich, ale w końcu i tak jedyną w polskiej literaturze powieść na temat wprowadzenia stanu wojennego i końca epoki „Solidarności”.

Na koniec książki, o której Konwicki wspomina w rozmowach z Nowickim, wtedy chyba dopiero w zamyśle, dziś już niestety wydana: *Nowy świat i okolice* (Czytelnik 1986). Książka, jak to Konwicki sam podkreśla w wywiadzie, pisana dla cenzora, z umiarem. Książka o którą mam żal do pisarza, choć pełna jest pięknych fragmentów. Nie dlatego, że po bardzo wielu latach wydał w końcu powieść w państwowym wydawnictwie, ale że zrobił to podtrzymując swój mit „swawolnego Dyzia” polskiej literatury. Zdobył się na dowcip, może i oryginalny, ale w nienajlepszym gatunku. Niby to spoliczkował, a w gruncie rzeczy miło polecał specjalistów od literatury pięknej z ulicy Mysiej w Warszawie. Nie było się do kogo zalecać.

To, co najciekawsze w rozmowach — i tu Nowicki ma rację, choć upieram się, że ten sam efekt można było uzyskać bez tak wielu powtórzeń — to niekonsekwencje i sprzeczności Konwickiego, kiedy opowiada o motywach swojej prozy, o jej bohaterze, o swoim własnym stosunku do literatury i czytelnika, do języka i formy swoich powieści. Raz ma się za „drobiazgowego realistę”, raz za pisarza, który stwarza narodowe mity i sny, raz odżegnuje się od psychologii, innym razem ją chwali (a nade wszystko na swój własny sposób uprawia), raz szanuje czytelnika, sugerując, iż poddaje się wszelkim jego zachciankom, innym razem odsądza go od czci i wiary i jakiegokolwiek zainteresowania literaturą. Utożsamia się ze społeczeństwem i odcina od niego. Złorzeczy jego małostkowości i zarazem przyznaje się do serdecznej z nim wspólnoty. Przedstawiając społeczeństwo polskie od czasów wojny jako symboliczną trójkę, z której każdy nosi wyrok na drugiego, głęboko wierzy w polskie społeczeństwo i jego odrodzenie moralno-polityczne. Utyskuje na prozę amor-

ficzną, przyznając się jednocześnie, że innej nie potrafi uprawiać. O swoim bohaterze, a trzeba powiedzieć, że Konwicki należy do tych pisarzy, którzy znakomicie potrafią interpretować własną twórczość, powiada: „Mój bohater jest w pewnym stopniu zbiorczy i persyflażowy. Jest to równocześnie bohater i pastisz na bohatera. (...) Nieustannie staram się go osadzić w zimie, jesieni, w stanie wojennym, w jakiejś ogólnej emocji. Niemniej jest to ciągle ten sam bohater. Widocznie jest we mnie jakiś nakaz, który zmusza mnie do konstruowania wciąż tego samego bohatera, będącego w jakiejś mierze mną. Skądinąd jednak jest on jakby wyrazicielem, mandatariuszem ludzi podobnych do mnie, ludzi, którzy chcą mnie czytać i solidaryzują się ze mną. (...) Jestem bezosobowym medium złożonym z ich oczu, włosów, nosów i brodawek. To przez nich jestem zmontowany i wysłany w egzystencję. Z ich powodu przeżywam różne stany naszej rzeczywistości. Mój bohater maszeruje raz szybciej, raz wolniej w kurze, w pyle, w bólu, w umieraniu i — wstyd powiedzieć — nie bardzo wie dokąd wędruje”.

Janina KATZ HEWETSON

Ludzkie uczucia w piekle

W lutowy poranek 1942 roku młody lekarz niemiecki rusza w podróż do Krakowa. Za sobą ma habilitację na docenta w zakresie pediatrii i roczną służbę w Luftwaffe, przed sobą — dwie równoległe funkcje: kierownictwo szpitala dla dzieci polskich (powstałego w miejsce kliniki pediatricznej Uniwersytetu Jagiellońskiego) i zorganizowanie szpitala dla dzieci niemieckich. Żaden to awans, raczej cudowne ocalenie. Trzydziestoletniemu lekarzowi, zadenuncjowanemu przez kolegę, groził sąd wojenny za antyhitlerowskie uwagi, ale przełożony, urzędnik w ministerstwie lotnictwa, dawniej zwolennik, teraz nieprzejednany wróg hitleryzmu, spowodował pięć przed dwunastą owo służbowe przeniesienie.

Przystępując do swych obowiązków zawodowych, dr Josef Ströder nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jak wielką wartością moralną staną się lata krakowskie w jego życiu. W słowie wstępnym do książki pt. „Oskarżony o przyjaźń dla Polaków”^{*} przypomina, że w ciągu czterdziestu lat zwracano się doń wielokrotnie, zarówno ze strony polskiej jak niemieckiej, z prośbą o spi-

^{*} Josef Ströder, *Angeklagt wegen Polenfreundschaft. Als Kinderarzt im besetzten Krakau*. Verlag Herder, Freiburg im Breisgau 1985.

sanie przeżyć i doświadczeń z tamtego czasu. W końcu i sam doszedł do przekonania, że „skromny przyczynek do informacji o nieszczęśliwym i ciężkim okresie najświeższej przeszłości” może służyć dobrej sprawie. Gdyż — sądzi autor, posiłkując się cytatem z Faulknera — „to co przeszło nie umiera nigdy, nawet nie przemija”.

Niemiecki lekarz w okupowanym Krakowie, w dodatku pediatra — do dziś odczuwamy wewnętrzny skurcz na sam dźwięk tych słów. Toteż wypada chyba zacząć od końca.

Zaraz po zakończeniu wojny — rzecz niespotykana — Ströder otrzymuje zaproszenie do Krakowa, by objąć katedrę pediatrii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pozostaje jednak we własnym kraju. Dalsza rzecz niespotykana: w okresie, kiedy na międzynarodowych kongresach naukowych Niemcy bywali zaledwie tolerowani, przyjaciel z lat okupacji, wielki pediatra polski, Franciszek Groer, zapewnia mu „pełnoprawny” status w pediatrii międzynarodowej, a Polskie Towarzystwo Pediatriczne wybiera go na członka honorowego. Od roku 1948 Ströder jest profesorem Uniwersytetu w Würzburgu. Do prowadzonej przez niego kliniki przyjeżdżają na specjalizację lub doktoranturę synowie i córki jego krakowskich współpracowników. Z biegiem czasu Uniwersytet w Würzburgu i Akademia Medyczna w Krakowie podpisują układ o współpracy. Uczelnia jagiellońska nadaje Ströderowi tytuł doktora *honoris causa*. Kiedy zaś w roku 1977 uczestniczy on w uroczystościach z okazji stulecia kliniki krakowskiej, otrzymuje pismo pamiątkowe (z podobizną budynku w jego pierwotnej postaci) następującej treści:

Wielce Szanownemu i Drogiemu Panu Profesorowi Józefowi Ströderowi na pamiątkę uroczystości 100 lat krakowskiego Szpitala Dziecięcego, w którym wciąż bije Jego serce.

Pediatrzy Krakowa

Teraz wiemy na pewno: wielkie musiało to być serce, skoro zdołało przeobrazić ów czas pogardy w czas takiej przyjaźni.

Na przyjaźń tę czyhało tysiąc niebezpieczeństw. Już przy wstępnej wizycie w okupacyjnym punkcie zarządzającym przedstawiono Ströderowi reguły gry: „Mamy tu tylko jeden cel — możliwie najszybciej wytępić ten naród. Im więcej polskich dzieci dziennie pan zamorduje, tym pręcej dostanie pan wojenny krzyż zasługi”. W szpitalu dzieci polskie nie mają prawa do żadnych lekarstw, do żadnych produktów dietetycznych. Wszelki kontakt z personelem polskim — dotyczy to również lekarzy — należy ograniczyć do „niezbędnego minimum służbowego”. Polakom — pouczano dalej Stródera — nieprzestrzeganie tych przepisów może grozić śmiercią, a jemu samemu wysoce niebezpiecznymi następstwami.

Z takim bagażem gróźb na grzbiecie, Ströder przystąpił z miejsca do ratowania polskich dzieci. Przydziały żywności były i tak głodowe, cóż dopiero dla skazanych na wytępienie pacjen-

tów. Toteż potajemnie, z ofiarną pomocą siostr zakonnych, dostawiano żywność. Leki zdobywał Ströder podstępem. Do zorganizowanego tymczasem prowizorycznie oddziału niemieckiego przywożono bowiem często dzieci z chorobami zakaźnymi. W obawie przed zarażeniem innych, umieszczano je w oddziale polskim. A zatem przeniesienie tam wielkiej szafy, obficie załadowanej lekami, nie budziło podejrzeń. Klucz od szafy oddał Ströder swojemu polskiemu zastępcy, który w nocy zaopatrywał się we wszystko, co potrzebne było dzieciom polskim. W mieście rychło rozniosła się wieść, że Ströder traktuje pacjentów polskich na równi z niemieckimi, a więc szpital coraz bardziej się zapęniał. W obliczu niebezpieczeństw zawiązywała się przyjaźń między niemieckim szefem a polskim personelem lekarskim i pomocniczym. Nie od razu, ale w trybie szokowym: od podejrzliwości i przerażenia, kiedy Ströder zdecydował się błyskawicznie na zastrzyk do serca zagrożonego uduszeniem niemowlęcia — aż po zaufanie niemal bezgraniczne. Codziennym tematem rozmów było tragiczne niedożywienie polskich dzieci. Ströder nie krępował się, mówił głośno. Hitlerowską politykę żywnościową uważał za zbrodnię, a przysyłanych do Polski urzędników za łotrów. Nie ulegało już wątpliwości — niemiecki szef i jego polscy podwładni mieli wspólny cel i wspólnego wroga. W administracji hitlerowskiej klinika zaczęła uchodzić za gniazdo opozycji.

Powstała sytuacja paradoksalna. Polscy koledzy (wszyscy prawie zaangażowani w działalność konspiracyjną) nie tylko przekazywali Ströderowi bieżące wiadomości polityczne, zdobywane dzięki ukrytym w lokalach szpitalnych krótkofalówkom, ale — sami w jego sprawie wielokrotnie przesłuchiwanie — wzywali go do umiaru i ostrożności, nie kryli niepokoju o jego los, zbudowali wokół niego swoisty pancerz ochronny. Plenili się przecież szpicle i donosiciele, toteż pęczniała teczka z donosami na szefa kliniki. Dzięki misternie utkanej przez polski personel sieci informacyjnej Ströder zapoznał się w końcu z całym katalogiem zarzutów przeciw sobie: od częstych obecności na mszy w kościele Mariackim poprzez wymienianie co dzień ze swym polskim zastępcą uściski dłoni, wydawanie bez ograniczeń przepustek nocnych dla polskiego personelu, obraźliwe oświadczenia na temat narodowego socjalizmu i przywódców państwa niemieckiego — przy jednoczesnym pełnym zrozumieniu dla ludności polskiej — aż po ukrywanie w zakamarkach szpitala żydowskich dzieci oraz obronę posądzonych o udział w konspiracji lekarzy polskich. Ponieważ zaś pewnego dnia Ströder wstawił się osobiście w kierownictwie SS za aresztowanym lekarzem polskim, zamknął się łańcuch poszlak. Sam był odtąd podejrzany o współpracę z polskimi ośrodkami walki konspiracyjnej.

Dla dopełnienia atmosfery trzeba dodać, że cała ta gehenna toczyła się w znanej scenerii okupacyjnej, wśród łapanek, strzałów nocnych i widoku trupów na plantach czy ulicach. „Zaprawdę — pisze Ströder — ziemia i bruki w tym mieście przesiąkły krwią”.

Trapiiony donosami, na przemian szantażowany Oświęcieniem,

to znów traktowany łaskawiej (administracja hitlerowska stosowała wobec swych podwładnych metodę *divide et impera*), ustawicznie ostrzegany przez przyjaciół w Polsce i w Niemczech, iż życiu jego zagraża niebezpieczeństwo, Ströder został w Krakowie do jesieni 1944 roku. Ostatnie miesiące wojny spędził w Jenie, by udać się następnie na życzenie amerykańskie do Buchenwaldu i zapewnić tamtejszym znów dzieciom opiekę lekarską. Wreszcie dotarł do Düsseldorfu, gdzie się habilitował przed skierowaniem go do Polski.

Ale na chwilę jeszcze popatrzymy wstecz. W swoim czasie zastępcą Strödera i jego szczególnie bliski już wtedy przyjaciel, dr Nowak, usiłował odwieść go od interwencji w SS na rzecz owego zaaresztowanego lekarza polskiego. Twierdził, że ze swoją polityczną przeszłością, ze swoimi ciągłymi obciążeniami niczego przecież nie osiągnie, a sam się narazi. Kontrargumenty swoje przedstawia Ströder oto tak:

Nie dałem się przekonać, obstawałem raczej przy tym, że interwencja ta... jest sprawą mojej osobistej i zawodowej godności, i że w końcu również w oczach własnej rodziny honor zobowiązuje mnie do tego, by dotrzymać przyrzeczenia, danego polskiemu personelowi, że zawsze może liczyć na moją pomoc.

Te najprostsze słowa o ludzkiej godności określają w sposób dobitny pewien motyw stale w książce obecny: potrzebę zgody ze sobą samym wśród otaczającego piekła.

Kamila CHYLIŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

WÓLKOW (Władimir). *Montaż*. Przeł. z francuskiego Adam Zalewski. Str. 266 i 4 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1987).

ODOJEWSKI (Włodzimierz). *Zapomniane, nieuśmierzone...* Str. 137 i 3 nlb. (Wyd. Archipelag, Berlin 1987).

KŁOCZOWSKI (Jerzy). *Dzieje chrześcijaństwa polskiego*. Tom I. Str. 256 i 6 nlb. (Wyd. Nasza Rodzina, Paryż 1987).

RAINA (Peter). *Ks. Jerzy Popiełuszko, męczennik za wiarę i ojczyznę*. Część I: *W służbie Ko-*

ścioła. Str. 382 i 2 nlb. Część II: *Proces toruński*. Str. 656 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).

BEDNARCZYK (Czesław). *Szuwary*. Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1987).

BRYLL (Ernest). *Adwent*. Wiersze. Rysunki Andrzeja Wajdy. Str. 105 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1986, cena \$ US 10, £ 4).

BŁAŻYŃSKI (Zbigniew). *Towarzysze zeznaję. Z tajnych archiwów Komitetu Centralnego. Dekada Gierka 1970-1980 w tzw. Komisji Grabskiego*. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1987).

- ŁASZEWSKI** (Bolesław T.). *Wschód-Zachód. Rosja — Związek Sowiecki — Stary Zjednoczone — Polska*. Str. 144. (Wyd. Bicentennial Publishing Corp., New York 1986).
- Sprawcy byli nieobecni* (proces morderców ks. Jerzego Popiełuszki). Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Bicentennial Publishing Corp., New York 1987).
- KRZYŻANOWSKI** (Jerzy R.). *Diana*. Powieść. Str. 184. (Wyd. Bicentennial Publishing Corp., New York 1986).
- DZIEWANOWSKI** (Kazimierz). *Złom żelazny, śmiech pokoleń*. Str. 194 i 2 nlb. (Wyd. Libella, Paryż 1987).
- TOMASZEWSKI** (Adam). *Szkutery i wyspy*. Str. 199 i 1 nlb. (Wyd. nie podane, Toronto Ont. Kanada, 1987).
- INSELMANN** (Abraham). *Droga*. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Wiedeń 1987).
- WAGNER** (Helmuth). *Problem niemiecki. Próba historycznej interpretacji dylematu politycznego*. Str. 34. (Wyd. Wolny Uniwersytet Berliński, Berlin 1987).
- GŁOGOWSKI** (Waldemar M.). *Die Entwicklung des politischen Systems der Volksrepublik Polen (1981-1983). Die Legalisierung des Ausnahmezustandes*. (Rozwój systemu politycznego PRL 1981-1983. Legalizacja stanu wyjątkowego — praca doktorska w języku polskim). Str. 343 i 3 nlb. (Wyd. Wolny Uniwersytet Berliński, Berlin 1986).
- ZIOŁKOWSKI** (Marek). *Szkice o kościołach obrządków wschodnich w Polsce północno-wschodniej*. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. Oddział Uniwersytecki PTTK, Warszawa 1985).
- KORDYS** (Jan). *Mędrzec i filozof*. (Nadbitka z *Problemów wiedzy o kulturze*). Warszawa 1986; str. 225-246).
- Krytyka nr 18*. Str. 287 i 1 nlb. (Wyd. Aneks jako przedruk krajowego wydania podziemnego. Cena £ 4, \$ US 10).
- Polskie więzi kulturowe na obczyźnie*. Tom VIII Prac Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie, Londyn 14-20 września 1985. Str. 240. (Wyd. PTNO, Londyn 1986).
- ĆWIKLIŃSKI** (Krzysztof). *Idea i rzecz*. Str. 186 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1987).
- MIREWICZ** (Jerzy, T.J.). *Polskie lamentacje*. Str. 128. (Wyd. Księża Jezuici, Londyn 1987).
- Mieszanka polityczna. Dyskusje na Zachodzie*. Red. Irena Lasota. Str. 212 i 4 nlb. (Wyd. Committee in Support of Solidarity, New York 1987).
- JURKIEWICZ** (Mieczysław). *Jesienne żale. Listy i fraszki*. Str. 60 i 4 nlb. (Wyd. nie podane, Paryż 1987).
- Eucharystia w wypowiedziach papieża i innych dokumentach Stolicy Apostolskiej XX wieku*. Wyboru dokonał i komentarzem opatrzył ks. Romuald Rak, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Str. 175 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1987).
- RESZCZYŃSKA-STYPIŃSKA** (Maria). *Obczyzna*. Str. 80. (Wyd. Veritas, Londyn 1987).
- Generał Kazimierz Sosnkowski w stulecie urodzin*. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. 7 Pułk Ułanów Lubelskich im. gen. K. Sosnkowskiego, Londyn 1986).
- OBERTYŃSKA** (Beata). *Grudki kadzidła*. Str. 98 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1987).
- MACIOCHA** (Wacław, ks.). *Dlaczego jestem wierzącym katolikiem*. Wyd. II, poprawione. Str. 282, 2 nlb. i IV. (Wyd. Veritas, Londyn 1986).
- KROPIWNICKI** (Jerzy). *Zapis protestu*. Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena £ 5, \$ US 11).
- STRZAŁKOWSKI** (Wiesław). *Luźne i idee (wybór esejów)*. Str. 307 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1987).
- PIEKUT** (Stanisław). *Pod krwawym niebem. Z Polski do Rosji Stalina*. Str. 119 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1986).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-2-87

W PRL nastąpiła znaczna podwyżka opłat kolejowych i lotniczych na trasach międzynarodowych. Podróżni udający się do Wiednia płacą 3.900 zł i 400 zł za miejscówkę oraz 11 dolarów; jazda do Paryża kosztuje 5.950 zł plus 400 zł za miejscówkę i 84 dolary; cena biletu lotniczego do Montrealu wynosi 129.400 zł., do Nowego Jorku — 134.270 zł, a do Rzymu 52.690 zł.

28-2-87

Walne zebranie Związku Kompozytorów Polskich przyznało członkostwo honorowe Andrzejowi Panufnikowi (od 1954 roku na emigracji, autor m.in. „Epitafium katyńskiego” i „Koncertu na fagot ku czci ks. Jerzego Popiełuszki”) oraz Józefowi Patkowskiemu, wieloletniemu prezesowi Z.K.P. m.in. w okresie stanu wojennego. W wyborach do zarządu najwięcej głosów otrzymali Stefan Kisielewski i Witold Lutosławski, którzy jednak odmówili kandydowania na stanowisko prezesa, którym został Krzysztof Meyer.

6-3-87

Andrzej Micewski ustąpił z redakcji *Tygodnika Powszechnego*, motywując swoją decyzję m.in. tak: „ostatnio nie miałem możliwości wypowiadania się na łamach pisma, w którego Redakcji znajdowałem się formalnie”. Andrzej Micewski przebywa od dwóch lat w Wiedniu, gdzie redaguje kwartalnik *Znaki Czasu*.

12-3-87

Dyrektor Państwowego Wydawnictwa Naukowego, Rafał Łąkowski, w wywiadzie udzielonym *Życiu Warszawy* wyjaśnił, że Encyklopedię Powszechną drukuje się za granicą, gdyż drukarnie polskie są przeciążone, a Finowie czy Jugosłowianie gotowi są drukować zawsze. Innym powodem jest brak tektury w kraju. Fabryki produkujące tekturę są niedoinwestowane, a stare maszyny się sypią. Encyklopedia nie jest płacona dewizami, ale towarami w drodze przedziwnych przeliczeń. Na przykład za I tom drukowany w Finlandii Polska zapłaciła kazeiną, a za tom II — karbidem. Czym zostanie zapłacony tom III — p. Łąkowski nie ma pojęcia.

16-3-87

Życie Warszawy podaje, że w Sycynie (woj. radomskie), w której urodził się Jan Kochanowski, wybudowano chlewnię świń w samym środku wsi, na terenie sadu. W ten sposób piękny park został skazany na zniszczenie, a dwa stawy na zatrucie... Odwiedzający miejsce rodzinne Kochanowskiego muszą zatykać nosy i uciekać stamtąd. Za zgodą wojewódzkiego konserwatora zabytków postanowiono rozebrać w Sycynie jedyną ostatnią, XIX-wieczną oficynę, w której można by urządzić izbę pamiątki po Janie z Czarnolasu.

20-3-87

W ministerstwach budownictwa i finansów PRL stwierdzono, że na trzech pracowników przypada jeden kierownik, a ilość departamentów dochodzi do trzydziestu. Według opinii Mariana Wozniaka, członka Biura Politycznego KC PZPR „mamy trzy razy za dużo ministrów, a spośród 400 różnych central — co najmniej 100 jest zbędnych”. ■ Najwyższa Izba Kontroli PRL stwierdziła, że 40 % zakupionej w latach 1984-1985 za dewizy aparatury medycznej do tej pory nie zainstalowano lub nie uruchomiono.

22-3-87

Zmarł w Łodzi w wieku 73 lat Zdzisław Skwarczyński, profesor literatury. Jego zainteresowania dotyczyły głównie epoki Oświecenia.

29-3-87

Ceny żywności w PRL wzrosły średnio o 9,6 %, tak samo papierosów, wyrobów spirytusowych, benzyny i oleju napędowego. Ceny wyrobów spirytusowych podniesiono o ok. 20 %. Z dniem 1 kwietnia br. wzrosły ceny detaliczne mięsa i jego przetworów o 10 %, a także ceny detaliczne węgla, koksu, energii elektrycznej i gazu, opłaty za centralne ogrzewanie i ciepłą wodę. W połowie kwietnia br. wzrosną opłaty za przesyłki listów i paczek. Jesienią przewiduje się wzrost opłat za żłobki i przedszkola. W październiku br. podniesione zostaną o 30 % opłaty za przejazdy koleją i autobusami PKS. Ceny w komunikacji miejskiej ustalą wojewodowie i określą termin ich wprowadzenia. Ministerstwo finansów zapewnia, że w roku bieżącym nie będzie już więcej podwyżek cen urzędowych podstawowych artykułów żywnościowych, jeśli tylko produkcja rolna nie okaże się znacznie mniejsza niż przewidywano w planie na 1987 rok.

30-3-87

Otwarto nową linię lotniczą PLL LOT — Warszawa - Pekin - Warszawa. Czas przelotu będzie wynosił około 10 godzin.

4-4-87

Zmarł w Warszawie w wieku 81 lat Tadeusz Byrski. W młodych latach był członkiem zespołu teatralnego „Reduta”, prowadzonego przez Juliusza Osterwę. W czasie drugiej wojny światowej był żołnierzem AK. Po zakończeniu wojny zorganizował szkołę teatralną przy teatrze w Kielcach, prowadzoną wspólnie z żoną Ireną. Był jednym z założycieli Klubu Krzywego Koła, członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej (KIK) i jednym z sygnatariuszy listu protestacyjnego w sprawie zmian konstytucji PRL. Tadeusz Byrski był bratem naszego współpracownika, Zbigniewa Byrskiego.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-2-87

Dr Jadwiga Sprusińska otrzymała stypendium w wysokości £ 9.000 na pracę o sytuacji w Afganistanie. Stypendium zostało przyznane przez Airey Neave Memorial Fund. P. Sprusińska studiowała na uniwersytecie w Kabulu w latach 1973-1976, a obecnie przebywa w Oxfordzie.

28-2-87

Zmarł w Paryżu w wieku 83 lat prof. Włodzimierz Hodys. Był dyrektorem liceum klasycznego w Krakowie oraz wykładowcą historii sztuki w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W ostatnich latach przebywał w Paryżu, był administratorem ośrodka naukowego im. Szewczenki w Sarcelles, którego poprzednio był członkiem korespondentem w sekcji historyczno-filozoficznej. Był zaprzyjaźniony z redakcją *Kultury*, z którą współpracował.

9-3-87

Prof. Aleksander Gieysztor i Tadeusz Kantor otrzymali włoską nagrodę „Targa Europa”, przyznaną za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauki, kultury i sztuki.

20-3-87

Z. S. Siemaszko wygłosił w Instytucie Wschodnim „Reduta” w Londynie odczyt na temat „Kresy północno-wschodnie wczoraj i dzisiaj” (ziemie zamieszkałe przez Polaków, Białorusinów i Litwinów).

21-3-87

Zmarł w Londynie w wieku 90 lat Stefan Benedykt, ppłk dyplomowany, b. legionista, przed wojną dziennikarz *Polski Zbrojnej* i *Kuriera Porannego*; na emigracji był długoletnim prezesem Związku Kacetowców i b. generalnym sekretarzem Instytutu Józefa Piłsudskiego.

22-3-87

Amerykańskie towarzystwo „Przyjaciele Polski” przekazało Śląskiej Akademii Medycznej kilkakrotnie najbardziej aktualnych wydawnictw lekarskich wartości 200 tys. dolarów.

27-3-87

Stanisław Jordanowski został po raz piąty prezesem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Do Zarządu zostali wybrani: Tadeusz Pawłowicz — wiceprezes, Magda Kapuścińska — wiceprezes, Władysław Jędrzych — skarbnik, Janina Kulikowska — sekretarz, Czesław Karkowski — dyrektor i Tomasz Księżyk — wicedyrektor. Wyborów dokonała Rada Instytutu na dorocznym posiedzeniu w dniu 27 marca 1987 roku. Równocześnie Rada powzięła uchwałę stwierdzającą, że ustępujący skarbnik, p. Wiesław Domaniński, dobrze zasłużył się Instytutowi i wybrała go na członka honorowego oraz konsultanta finansowego Instytutu.

30-3-87

Karol Wojtyła — papież Jan Paweł II — otrzymał międzynarodową nagrodę literacką Camaione za książkę pt. „Poezje”. Analogiczną nagrodę otrzymał sowiecki poeta Jewgienij Jewtuszenko za tom „Poezja miłosna”.

KRONIKA SZWEDZKA

Na początku bieżącego roku wybuchnął w Szwecji skandal. Okazało się, że eksportowane legalnie do Singapuru szwedzkie rakiety obrony przeciwlotniczej Robot 70 firmy Bofors, należącej do koncernu Nobla (uważane obok amerykańskich Stinger za najlepsze na świecie) znalazły się w rękach irańskich. Sprawa Boforsu wywołała falę zaprzeczeń i wzajemnie sprzecznych komentarzy zarówno dyrekcji Boforsa i koncernu Nobla jak i członków rządu. Nobel zmuszony nawet został do przyznania się, że szmuglował w latach 1981-1985 materiały wybuchowe przez Austrię i Niemcy Wschodnie zarówno do krajów Bliskiego Wschodu, jak i do Bloku Warszawskiego. Sprawa nabrała dramatycznego aspektu, gdy w dniu 15 stycznia br., w niewyjaśnionych okolicznościach, na centralnej stacji metra wpadł pod pociąg Carl-Fredrik Algernon, emerytowany admirał, odpowiedzialny za kontrolę eksportu broni. Było to akurat kilka dni przed specjalną rozprawą powołanej do tego komisji w sprawie nielegalnego przemytu broni, gdzie Algernon miał być głównym świadkiem. Zmieniono dyrekcję Boforsu. Z całej tej afery można jednak wyciągnąć wniosek, że firma Bofors, zaopatrująca Szwecję w broń wysokiej klasy, a także eksportującą tę broń do innych krajów — co daje Szwecji duże dochody — nie może istnieć bez kontaktów międzynarodowych i sprzedazy swoich produktów. To samo zresztą można powiedzieć o każdym koncernie zbrojeniowym każdego kraju. Sprzedając broń do kraju nieobjętego konfliktem zbrojnym, jak np. Singapur, nie ma w prak-

tyce możliwości kontroli dalszych losów tej broni. Wszyscy o tym wiedzą, nie podnosząc wielkiego krzyku. To co się stało w Szwecji, może postawić pod znakiem zapytania dalszą egzystencję szwedzkiego przemysłu zbrojeniowego. ■ W związku z wizytą premiera szwedzkiego w Chinach pozytywny liberalny dziennik *Dagens Nyheter* opublikował dwa wyczerpujące artykuły sinologa Jakuba Świącieckiego, pracownika naukowego szwedzkiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. W pierwszym artykule Świąciecki analizuje znaczenie i charakter reform Teng Xiao-pinga, w innym zaś wpływ reform chińskich na *pierestrojkę* Gorbaczowa. ■ Pod wpływem sytuacji na rynku pracy i zwiększającego się napływu uchodźców, zwłaszcza z objętego wojną czy terrorem Bliskiego Wschodu, władze szwedzkie zastrzyły przepisy wobec ubiegających się o azyl, udzielany obecnie tylko w wyjątkowych wypadkach (prześladowania religijne i polityczne grożące więzieniem i prześladowania rasowe). Skłoniło to zakonnicze szwedzkie, Karin i Marianne z klasztoru w Alsike — znane z pomocy udzielanej uchodźcom — do zwołania konferencji prasowej do klasztoru. Oskarżyły one władze o „prowadzenie nie-ludzkiej polityki azylowej”. Zakonnicze pytały: „czy Szwecja chce w ogóle zamknąć swe granice?”. Wystąpienie zakonnic nie ma precedensu w tym kraju. Wobec względnego spokoju w Polsce uzyskanie azylu dla Polaków jest w tej chwili prawie niemożliwe, tym bardziej, że wszyscy Polacy ubiegający się o prawa pracy i pobytu opuszczają Polskę głównie z powodów ekonomicznych. Miejscowe władze odsyłają do Polski nawet dzieci, jak to ma miejsce z 15-letnią Anną i 10-letnim Grzegorzem, których ojciec zmarł na zawał serca na skutek szklanek polskich władz, a zrozpaczona matka wysłała dzieci pod opiekę swoich przyjaciół pp. Drewniak w Szwecji. Koledzy Anny i Grzegorza ze szkoły rozpoczęli akcję u rządu, protestując przeciw decyzji Komisji dla Cudzoziemców. ■ W dniach od 23 do 25 marca bawił w Sztokholmie biskup Jerzy Dąbrowski, sekretarz Prymasa. Biskup Dąbrowski przyjechał do Szwecji i Norwegii w celu omówienia i przygotowania wizyty kardynała Glempa. Będzie to pierwsza w historii wizyta polskiego prymasa w Skandynawii, która w dniach 18 do 20 maja odbędzie się w Sztokholmie. 20 maja Prymas odwiedzi Göteborg, a 21 maja odjedzie do Norwegii. Biskup Dąbrowski mówił również, że podróż papieża do Norwegii, Danii, Finlandii i Islandii odbędzie się prawdopodobnie wiosną 1989 roku. Według biskupa katolickiego Brandenburgii, wizyta ta odbędzie się wyłącznie w ramach działalności duszpasterskiej. W Skandynawii na 25 milionów ludności żyje obecnie 170 tysięcy katolików. ■ Opinia polska w Szwecji jest zgorszona kompromitującym zachowaniem się wycieczek autobusowych z Polski w Malmö. Ta kategoria turystów przybywa do Malmö wyłącznie w celu przemytu i nielegalnego handlu wódką. Znajdują oni najrozmaitsze pomysły uniknięcia kontroli celno-policyjnej. Co najgorsze, „turyści” nie wahają się nawet przed sprzedażą wódki nieletnim. Dzięki akcji policyjnej — a zaangażowanych było w okresie największego nasilenia „turystycznego” do 50 policjantów dziennie — handel uliczny wódką zmniejszył się. Obecnie przebywa dziennie do Malmö jeden do dwóch autobusów zamiast dziesięciu jak poprzednio. ■ Proces przeciw szoferowi ciężarówki, Lennartowi Järn, aresztowanemu pod koniec ub. roku w Szczecinie za próbę przewiezienia do Polski komputera, części maszyn drukarskich oraz książek, ma się rozpocząć przed Wielkanocą. Aresztowanie to miało w swoim czasie wielki rozgłos ze względu na wielkość transportu, a także dlatego, że potwierdziło, iż Polska nie stosuje się do podpisanego przez siebie układu w Helsinkach o wolnej wymianie myśli i wydawnictw. Do rozgłosu przyczyniły się amatorskie przeprowadzenie akcji, fałszywe dokumenty i prawo jazdy szofera, nieprawidłowa numeracja wozu i wielokrotność przyjazdów szofera do Polski, co musiało wzbudzić czujność polskich władz. Szofer był nie w porządku również z przepisami szwedzkimi. Jerzy Urban, zapytany na konferencji prasowej o tę sprawę, odpowiedział przedstawicielowi TV, że proces odbędzie

się w najbliższych dniach i że władze polskie nie mogą tolerować, aby ktoś nadużywał ich gościnności. Władze oczekują, że i Szwedzi nie będą tolerowali u siebie osób nadużywających gościnności finansowaniem tego rodzaju akcji w Polsce. Urban przybył więc do Szwecji nie tylko celem zorientowania opinii szwedzkiej o poglądzie rządu PRL na sytuację w Polsce, ale także i w celu atakowania polskiej emigracji. TV tymczasem, poza tym jednym zdaniem, nie z wywiadu Urbana nie zacytowała, przechodząc natychmiast do poinformowania tutejszego społeczeństwa o prześladowaniu w Polsce członków ochrony środowiska naturalnego, którego dewastacja zagraża także sąsiadom Polski. Przeprowadzono szereg wywiadów z przedstawicielami polskiej ludności. Ludzie wyrażali swoje zaniepokojenie zatruciem powietrza, ziemi, miast i żywności. Uważają, że niedługo ginąć będą nie tylko ptaki, ryby i zwierzęta, ale także ludzie. ■ Z Inicjatywy Biura Informacji „Solidarności” oraz Polsko-Szwedzkiego Centrum Kultury przez cały miesiąc kwiecień miała miejsce w Sztokholmie wystawa polskiej prasy podziemnej i wydawnictw niezależnych. Obok książek i czasopism, będących przedrukami polskich wydawnictw na Zachodzie (np. Instytutu Literackiego i *Aneksu*), figurują również oryginały wydawnictw zachodnich oraz przedruki wydawnictw podziemnych wykonane na Zachodzie. Wystawa, urządzona w Bibliotece Domu Kultury na głównym placu Sztokholmu, była codziennie odwiedzana przez tłumy. ■ Z inicjatywy Fundacji „Polska Kulturfonden” (kierownik Andrzej Ekwiniński, historyk sztuki) odbyła się w lutym bież. roku wystawa sztuki polskiej z udziałem następujących artystów z Polski: Leszek Brogowski, Stefan Gierowski, Jerzy Kalina, Edward Krasinski, Alfred Lenica, Andrzej Matuszewski, Julian Raczkowski, Erna Rosenstein, Kajetan Sosnowski, Rafał Strent, Ryszard Winiarski. Równocześnie pokazano fragmenty różnych publikacji dotyczących sztuki polskiej: książki, czasopisma, katalogi galerii, dokumentację fotograficzną i slajdy. Wystawa została zorganizowana przez Fundację w oparciu o własne materiały archiwalne. W najbliższym czasie Fundacja przygotowuje wystawę dokumentów z inscenizacji utworów dramatycznych St. I. Witkiewicza, które miały miejsce w Szwecji. Otwarcie wystawy połączone będzie z sesją teoretyczną na temat A. Strindberga i St. I. Witkiewicza, którą poprowadzą: dr Dag Hedman i dr Andrzej Nils Ugglą z Uniwersytetu w Uppsali. ■ W ostatnich miesiącach ukazało się na półkach księgarskich kilka przekładów z polskiego, m.in. „Kurier z Warszawy” Jana Nowaka (wyd. Carlssons), w przekładzie z francuskiego wydania Ann Gillberg ze specjalnym wstępem i posłowiem do wydania szwedzkiego. ■ Jeden z osiemnastu członków szwedzkiej Akademii, wybitny poeta Östen Sjöstrand, redaktor naczelny *Artes*, czasopisma Akademii, wydał zbiór swoich wierszy pt. „Pa väg från Jasna Góra”, napisanych po ciężkim wypadku samochodowym, jaki przydarzył się autorowi w drodze powrotnej do Szwecji z pielgrzymki do Jasnej Góry. Książka jest pięknie wydana z Matką Boską Częstochowską na okładce. Autor czytał swe wiersze 18 marca na spotkaniu w Domu Literatów Szwedzkich, które zgromadziło czołowych przedstawicieli literatury i publicystyki zainteresowanych Polską. Inicjatorem wieczoru był Polsko-Szwedzki Ośrodek Kulturalny, który przy tej okazji zaprezentował czwarty już numer kwartalnika *Hotel Örnsköld*, zawierający przekłady na szwedzki poezji i esejów Czesława Miłosza, Adama Zagajewskiego, Zbigniewa Herberta, Marka Nowakowskiego, Adam Michnika, Kazimierza Brandysa, przemówienie Lecha Wałęsy oraz inne materiały. Redakcja tego doskonałego czasopisma składa się z Marii Borowskiej, Larsa Kleberga, Agnety Pleijel i Jakuba Świącieckiego. ■ W najbliższych dniach ukaze się nr 3/1987 *Artes*, który m.in. zawierać będzie esej St. Barańczaka o Josifie Brodskim, eseje Jana Kotta o teatrze Tadeusza Kantora („Teatr esencji”) i Petera Brooka oraz esej Janiny Ludawskiej o teatrze Gombrowicza. ■ W połowie lutego odbył się wernisaż interesujących obrazów Janiny Jasińskiej-Luterek. ■ Z prac polskich

artystów plastyków zamieszkałych w Szwecji największym powodzeniem cieszą się na rynku sztokholmskim obrazy Marii Boczewskiej. Były one m.in. wystawione na tradycyjnym wiosennym wernisażu w miejskiej galerii „Liljevalchs”, a ostatnio na dorocznych kwietniowych międzynarodowych targach galerii sztuki (Stockholm ART FAIR). Zwłaszcza jej płótna sztokholmskie cieszą się mimo wysokich cen dużym popytem na tutejszym rynku. ■ We wspomnianych targach, w których brało udział wiele czołowych galerii Europy i Ameryki, uczestniczyła także stosunkowo niedawno założona sztokholmska galeria młodego historyka sztuki, Jerzego Proszynskiego. Zaprezentował znanych już tutaj malarzy Leopolda Falkowskiego oraz Adama Hawrylkiewicza. Poza tym zaprezentowano na tych targach także młodego Jana Rzepacha z galerii Trevisan w Edmonton (Kanada), który chyba po raz pierwszy wystąpił w Sztokholmie. ■ Spore zainteresowanie wzbudziła, zwłaszcza w młodym świecie artystycznym i intelektualnym, wystawa z Krakowa pt. „Erotyzm i satyra”. Wystawa odbyła się w galerii Gauss na Starym Mieście sztokholmskim. Wyróżniały się zwłaszcza doskonałe rysunki Andrzeja Mieczki. ■ Zrozumiałe i duże zainteresowanie miejscowej Polonii wzbudził Teatr Ateneum z Warszawy, który przybył na gościnne występy z „Policjantami” Mrożka. Wszystkie trzy wieczory były oczywiście wyprzedane.

Norbert ŻABA

35-LECIE ROZGŁOŚNI POLSKIEJ RADIA WOLNA EUROPA

1 maja bież. roku Rozgłosnia Polska Radia Wolna Europa obchodzi 35-lecie swego powstania.

Wielokrotnie podkreślaliśmy w *Kulturze* różne zastrzeżenia wobec Rozgłosni, tym niemniej należy docenić ogromną rolę jaką Wolna Europa odegrała w kraju. Wśród licznych rozgłosni zachodnich z programem polskim była jedyną, którą opinia krajowa traktowała jako rozgłosnię POLSKĄ. Jest to bardzo duży komplement, który jednak ZOBOWIĄZUJE. Mamy nadzieję, że Wolna Europa potrafi pokonać trudności powstałe w ciągu ostatnich kilku lat i wróci do okresu swojej dawnej świetności.

REDAKCJA „KULTURY”

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Listy do Redakcji

Saint-Germain-en-Laye, 30 marca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Marek Chlebowicz w liście pomieszczonym w nrze 3/474 *Kultury* w kilku miejscach mija się z prawdą.

1. Był on kierownikiem wydawnictwa kasetowego w regionie Mazowsze o nazwie „Radio Solidarność”, a nie kierownikiem ogólnopolskiego Radia „Solidarność”.

2. Żaden działacz „Solidarności” nie wyjechał z Polski na przymusową emigrację.

3. Marek Chlebowicz nie został pracownikiem DGB między innymi na skutek swojej złej opinii w kraju. Sam zresztą pośrednio to przyznaje, gdyż nieobecność przez kilka miesięcy w Kolonii (istotnych miesięcy w tym sporze) odebrała mu możliwości i kontakty.

4. Jako świadkowie zgłosili się do sądu m.in. Seweryn Blumsztajn, Jerzy Milewski i niżej podpisany. Otrzymaliśmy (niezależnie od siebie) informacje z kraju, że istnieją poważne zastrzeżenia w stosunku do Marka Chlebowicza, dotyczące m.in. jego postawy w okresie internowania. Nasi koledzy w Polsce jako warunek dalszej współpracy z Radiem Wolna Europa stawiali nieobecność w Radiu Marka Chlebowicza. Sąd nie wezwał nas na rozprawę.

5. Marek Chlebowicz doskonale wie, kto w Polsce i jakie ma do niego zastrzeżenia. Rozmawiałem z nim o tym w 1983 roku.

6. Z oczywistych powodów — o których jest zresztą mowa w liście Marka Chlebowicza — wyrok obcego sądu w jego sprawie nie jest dowodem przeciwko Zdzisławowi Najderowi.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia

Mirosław CHOJECKI

Monachium, 17 kwietnia 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję Panu za umożliwienie mi napisania kilku słów wyjaśnienia do listu Mirosława Chojeckiego.

1. W Polsce byłem założycielem i szefem „Radia Solidarność Regionu Mazowsze”, którego programy, kopiowane przez nas na 800-1000 kaset, docierały raz na tydzień do tyluż zakładów pracy w całym kraju, gdzie następnie były transmitowane przez radiowęzły zakładowe. Zespół Radia, składający się *nota bene* z dziennikarzy i reporterów nie tylko z ośrodka warszawskiego ale i innych województw, realizował także godzinne programy z każdego dnia I Ogólnopolskiego Zjazdu Solidarności w Gdańsku Oliwie (w drugiej turze Zjazdu realizowała swoje programy także ekipa gdańska). Radio miało więc charakter ogólnopolski, o czym M. Chojecki, udzielający nam zresztą wywiadów, wydaje się zapominać.

2. Mirosław Chojecki nie wyjechał z Polski stanu wojennego na emigrację. On na niej pozostał. Cóż może więc wiedzieć o jednostkowych losach ludzi, którzy przymuszani w różny sposób przez SB na taką emigrację właśnie zmuszeni byli się zgodzić!?

3. Kontakty z DGB utraciłem wyłącznie z powodu wyjazdu do Monachium i podjęcia pracy w RWE.

4. Seweryn Blumsztajn, Jerzy Milewski i Mirosław Chojecki nie „zgłosili się do sądu jako świadkowie”, zostali natomiast w tym charakterze zaproponowani przez Zdzisława Najderę. Poza tym Mirosław Chojecki wyrażnie nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia słowa „świadek”. Ani on ani panowie Milewski i Blumsztajn nie mogą bowiem świadczyć o niczym, co dotyczy mojej osoby podczas internowania, gdyż przebywali wówczas poza Polską. Panowie ci „otrzymali informacje z kraju” od jakichś bliżej nie nazwanych „kolegów”... ciągle jeszcze wierzę w to, że „Solidarność” nie jest organizacją mafijną i nie przeprowadza sądów kapturowych; mam wielu przyjaciół z okresu internowania i nikt nigdy nie okazał mi braku zaufania. Wręcz przeciwnie — w Białogórze współredagowałem przez pewien czas tzw. BAS (Białogórska Agencja Solidarności), mam legitymację obozową, w Jaworzu brałem udział w aktywnym życiu „internatu”, a koledzy poparli mój strajk głodowy.

Pozwalam sobie zacytować jeszcze fragment listu, który do dyrekcji RWE wysłał jeden z członków zachodnioniemieckiego korpusu dyplomatycznego (tłumacząc z języka niemieckiego):

W następstwie (...) absurdalnych i oszczerczych plotek o M. Chlebowiczu (...) pojechałem do Warszawy, gdzie spotkałem się z panami O. i G. (ze zrozumiałych względów podaję jedynie inicjały — przyp. M.Ch.), których znałem dobrze jeszcze z czasów mojej pracy w ambasadzie RFN. Na moje pytanie, czy rozpowszechniane w RWE pogłoski o M. Chlebowiczu odpowiadają prawdzie, odpowiedział mi pan O., że — po otrzymaniu od pana Chlebowicza listu — rozmawiał na ten temat ze wszystkimi wchodzącymi w grę osobami. Żadna z nich nie potwierdziła tych zarzutów. Pan O. upoważnił mnie do przekazania tego adwokatowi pana Chlebowicza a także do złożenia odpowiednich zeznań przed sądem. Jestem gotów powtórzyć to pod przysięgą.

Kopię całego listu przesyłam do Pana, Redaktorze, wiadomości.

5. Wydaje się, że Mirosław Chojecki ma pamięć równie elastyczną, co krótką i posłuszną. Rzeczywiście rozmawiał on ze mną w 1983 roku, ale zupełnie o czym innym. Przesyłam Panu kopię jego listu do mnie z 10 listopada 1983 roku, z którego cytuję tylko dwa zdania: „Praca u pana Zdzisława (Najderę) to bardzo wspaniały pomysł. Życzę powodzenia”.

6. Sąd, który wydał wyrok w moim procesie przeciwko Z. Najderowi, jest być może obcy, ale na pewno niezawisły.

Łączę wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia

Marek CHLEBOWICZ

Berkeley, 4 kwietnia 1987.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Muszę powrócić do artykułu Konstantego A. Jeleńskiego o mojej przyjaźni ze Stanisławem Vincenzem w *Kulturze* (Nr 1-2, 1987).

Wyjaśniam, że pierwsze wydanie mojej książki *The History of Polish Literature*, napisanej po angielsku, ukazało się w roku 1969 (Macmillan, New York). Następnie ukazał się przekład niemiecki jako *Geschichte der Polnischen Literatur*, w roku 1981 (Verlag Wissenschaft und Politik, Köln). Przekład został dokonany przez mego nieżyjącego już przyjaciela Artura Mandela na podstawie tekstu angielskiego oraz, wszędzie tam gdzie cytowane

są wiersze polskich poetów, z polskiego. *Nota bene* K. A. Jeleński jest cytowany w słowie wstępnym wydawcy. Drugie wydanie angielskie ukazało się w roku 1983 (University of California Press, Berkeley). Przekład francuski piora André Kozimor pochodzi z roku 1986 (Fayard, Paris).

Możliwe rozbieżności pomiędzy wersjami w różnych językach niezbyt przejmują autora, jako że z góry wyrzekł się kontrolowania tekstu liczącego za każdym razem wiele setek stron i pozostawił tę pracę wydawcom.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Czesław MIŁOŚZ

OŚWIADCZENIE

Rektor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie podaje do wiadomości, że dr Leon Jończyk, zamieszkały przy Franz-Joseph Strasse 30, 8 München 40, z dniem 10 marca 1987 roku przestał być profesorem Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Z tą samą datą afiliacja Studium Grafiki w Monachium do PUNO została zawieszona.

Prof. dr M. SAS-SKOWROŃSKI
Rektor PUNO

Londyn, 20 marca 1987.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę serdecznie podziękować za umieszczenie dwóch poprzednich tomów prac kongresowych wśród „Wydawnictw nadesłanych” w nrze marcowym *Kultury*. Mam przyjemność wysłać Panu dziś następny tom pt. „Polskie Więzi Kulturowe”, pod redakcją p. Mieczysława Paszkiewicza.

Pragnę zwrócić uwagę, że tomy kongresowe są wydawane przez PTNO (Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie) nie przez PUNO (Polski Uniwersytet na Obczyźnie).

Korzystając z okazji, pragnę skorygować dwie nieścisłości, które w swoim czasie podali korespondenci *Kultury* w sprawie nieobecności p. Czesława Miłosza i p. dr. Józefa Garlińskiego na kongresie. Jako sekretarz generalny dwukrotnie wysłałem listy zapraszające panu C. Miłoszowi, które nie zostały nawet potwierdzone. Natomiast p. dr. Garliński był w Komitecie Organizacyjnym do chwili, kiedy z powodów osobistych wycofał się ze współpracy z organizatorem sesji historycznej, prof. Jasnowskim. Zatem nie z winy organizatorów kongresu nie mieliśmy przyjemności goszczenia ich wśród nas.

Łączę wyrazy szacunku i spóźnione, ale serdeczne życzenia z okazji Pańskiego Jubileuszu

Z. E. WAŁASZEWSKI
(sekretarz generalny)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Adam Steć, prezes Zjednoczenia Łemków w Kanadzie. — Nie mogliśmy opublikować otwartego listu Panów do prymasa Glempa, gdyż nigdy go nie otrzymaliśmy.

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

B.B., NYC (USA) — na opozycję polityczną — \$ 35,00	F. 210,00
Mariusz Bryl, Monachium (RFN) — DM 40,00	F. 130,00
Dr J. Rakowski, Zurych — na rzecz prześladowanych w PRL	F.1.000,00
Edward E. Salamoński, Marlton, N.J. (USA) — \$ 20,00	F. 120,00

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kanadzie, Koło Nr 13, Winnipeg, Man. (nadesłał W. Jakiela, Skarbnik):	
— na Fundusz Kultury — \$ c. 100,00	F. 450,00
— na pomoc aresztowanym i prześladowanym członkom „Solidarności” — \$ c. 500,00	F.2.250,00

Dr Wojciech Szczygalski, Markham, Ont. (Kanada) — na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ c. 30,00 ..	F. 127,00
--	-----------

F.H., Fairfield, Ohio (USA):	
— na Fundusz Kultury — \$ 20,00	F. 120,00
— na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 12,00	F. 70,00

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1987.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 8314.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1986			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel.: 0222/93 87 222	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenume- rate do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do adminis- tracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. Donald M. Malinowski, P.O. Box 68, Roy- ston, B.C.; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopu- szanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 8,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 47,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 92,00 DM 150,00 F. 440,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6. U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewa- nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil- waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken- way Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	\$ US 7,00	\$ US 35,00	\$ US 68,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 425 — DANIEL BEAUVOIS

POLACY NA UKRAINIE 1831-1863

**SZLACHTA POLSKA NA WOŁYNIU, PODOLU
I KIJOWSZCZYZNIE**

Z francuskiego przełożyli Ewa i Krzysztof Rutkowski
„Za panowania króla Stanisława mieszkał ubogi szlachcic na Podolu”.
Ilu ogółem mieszkało tam wtedy szlachciców ubogich i bogatych?
Zapewne mniej więcej tyluż co w dobie Powstania Listopadowego:
140 tysięcy. Dalszych 270 tysięcy mieszkało na Wołyniu i na Kijow-
szczyźnie... Nikt jednak szczegółowo nie opisał historii unicestwie-
nia całej grupy społecznej, którą była uboga szlachta na prawobrzeż-
nej Ukrainie... Historii zagłady pewnej swoistej kultury, zacofanej
wprawdzie i która by uległa najpewniej powolnej erozji, ale którą
zniszczyła kultura równie zacofana, tyle tylko, że władająca przemocą”.

(Z przedmowy Krzysztofa Pomiana)

Str. 296.

Cena. F. 120,00.

TOM 426 — JAN JÓZEF LIPSKI

SZKICE O POEZJI

O twórczości poetyckiej w Polsce w ostatnich latach
Str. 200.

Cena F. 95,00.

TOM 427 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ŻMUT

„... Co to jest żmut? Żmut to beładnie poplątane włosy, sznurki,
tasiemki. Historycy literatury napisali na temat miłości Adama
Mickiewicza i Marii z Wereszczaków Puttkamerowej... niezliczoną
ilość głupstw. Sam nie wiem jak to było naprawdę, co naprawdę
wydarzyło się w Wilnie, Kownie, Bolcienikach. Ale postaram się
niczego nie zmyślać, a jeśli coś zmyślę, to zaraz powiem że to jest
zmyślone...”.

Str. 288.

Cena F. 110,00.